

PROLOG. 24 grudnia 1943, Warszawa

Wbiegał po dwa, po trzy schody, podciągając się poręczą do góry. Słyszał wyraźnie chopinowskie akordy. Zadyszany przystanął na trzecim piętrze. Ktoś zdzierać musiał mosiężną wizytówkę na drzwiach. „Dyżewi...” Muzyka zamilkła nagle. Tylko serce rozrywało mu pierś. Więcej niż sto uderzeń na minutę – pomyślał... Szesnastka, przedłużona ósemka, szesnastka i półnuta. Przewodni motyw etiudy rewolucyjnej. W takim rytmie zapukał do drzwi. To był ich sygnał. Jego i Basi.

- Jesteś. –

Barbara wyszeptała w półmroku przedpokoju, w uchylonych drzwiach.

Przywarł do jej szczupłego ciała.

W salonie rozbłysło światło i rozbrzmiały głosy.

- A Janek ?

- Żyje. Żyje- uspokoił .-Muszą odebrać w nocy zrzuty...Ja też tylko na chwilę...

- Chodźcie do stołu ! Czekaliśmy. Postawiłam dwa puste talerze. Dla Ciebie Tadziu i dla Janka. Nie wiem, czy tak można... - Mama Basi wskazała gestem - Siadaj tu mój drogi...

Jej ojciec przeżegnał się i wziął do ręki opłatek. Drugą ręką objął mamę...

- Kochani. Po pierwsze, życzymy sobie i Boga prosimy, by skończyła się okupacja, wojna... Byśmy wszyscy przeżyli...Basiu, choć kochanie. Życzę ci...

Basia odsunęła się. Podniosła i zaraz ściszyła głos.

- Muszę wam to wyjawić teraz...Chyba jestem w ciąży !

Tadeusz zauważył, że była wpatrzona tylko w niego. Wytrzymał jej wzrok.

Przez myśli przemknęło mu ich ostatnie, krótkie i szalone spotkanie. Bielański lasek.

Pierwszy listopadowy śnieg...Miała wtedy nasuniętą na czoło wełnianą czapeczkę z pomponem. Taką śmieszna. Dopiero jak ją zerwał, rozsypały się aż do ramion ciemne włosy.

Tam była mała stajenka dla saren. Pełna pachnącego siana. Do tej pory pamięta jego zapach.

- Słuchaj Basiu... Ta dziecina, która narodzi się...Oby żyła w wolnej Polsce -powiedział ojciec, przerywając milczenie wszystkich.

Tadeusz wpatrywał się w twarz Basi. Przymknęła powieki jakby zażenowana.

Mama rozplakała się bezgłośnie.

Chcąc ukryć zmieszanie Tadeusz zapytał – Czy była już kolęda?

- Słyszysz Basiu? Siadaj do pianina ! – Ojciec był prawie stanowczy.

- Może ty tato...Albo Tadzio....Gdyby był Janek, zagrałby scherzo h-moll. Tam jest kolęda. Najpiękniejsza z polskich kolęd...

Basiu. Ty też to grasz - odezwała się mama.- W naszej rodzinie tylko ja na niczym nie gram.

Basia obruszyła się. - Przecież świetnie malujesz... - No dobrze...Niech wam będzie...Póki mi brzusek nie będzie wadził..

Tadeusz podwyższył stółek. Dawno nie grała- pomyślał - Czyli to ojciec grał przed chwilą...

Szczupłe, długie palce Basi rozpełtały zawieruchę dźwięków. Trafiały precyzyjnie w poźółkłą klawiaturę z kości słoniowej. Było już za późno, by przymknąć klapę. Po burzliwym intro przyszło uspokojenie. Równoległe z motywem kolędy zabrzmiał głos Basi. Świeczka na stole dopalała się skwiercząc. Obok leżały na sianku nietknięte opłatki.

„Nie płacz maleńki, szkoda twej łezki

Ojciec niebieski niech martwi się o świat...

Czy wszystkim starczy okruszków chleba?

Śpij sił ci trzeba, byś mógł ocalić nas...

Lulajże, zmruż oczka, by nie widziały  
 Jak licha ta szopka, źłóbek zbyt mały  
 Lulajże, skiń rączką teraz pasterzom  
 Tyś dla nich nadzieją, daj znak niech wierzą...”

- To Basi słowa, czy twoje Tadeuszu ? – wyszeptała mama.  
 - Nasze...Wybaczcie Kochani. Ja nie mogę tu dłużej być z wami. Wyrwałem się tylko na krótko, a zaraz będzie godzina policyjna. Nie mogę Janka zostawić samego. Przyrzekłem mu, że wrócę. Po północy ma być zrzut... Basiu. Tak się cieszę...To najlepsza wiadomość jaką w życiu usłyszałem. Błagam...Graj dalej...

„ ...Zaśnij Maleńki, niech ci się przyśni  
 Że nienawiści nie ma na ziemi tej...  
 Niech ci się przyśni kraj Twój w zieleni  
 Dom bez płomieni- uśmiechnij się przez sen...”

Wzruszone twarze słuchających zamarły. Na korytarzu rozległy się kroki. Było ich wiele. Przeniosły się wyżej, jakby na czwarte piętro. Trzasnęły drzwi. Podniesione głosy, jak szczekanie sfory psów, ucichły. Barbara w transie nie przestała grać i śpiewać.

„Czy słyszysz Chopina moja perełko  
 To twoja kolęda, me pieścidełko  
 Spij, niech cię utuli to kołysanie  
 Śpij, niech cię nie zbudzi ludzi wołanie...”

Pukanie do drzwi było bezładne, choć niezbyt natarczywe.  
 Mama zdjęła łańcuch i otworzyła. W świetle korytarza rysowała się sylwetka w zadaszanej czapce i długim czarnym płaszczu.

- Entschuldigen...

Dostojnym krokiem oficer wszedł do salonu.

- Spiel weiter...- zwrócił się grzecznie do Barbary wstającej od klawiatury.

Basia usiadła z powrotem. Finałowa część scherzo zabrzmiała forte. Ostatnie akordy cody zbiegły się z wkraczającymi do pokoju dwoma żołnierzami.

- Was ist das ? – oficer usztywnił się i podniósł głos.

- Scherzo h moll ... odpowiedział ojciec.

- Chopin ? Ja ?

Ciszę przerwał ryk oficera – Das ist verboten !

Odsunął gwałtownym ruchem Basię i sam usiadł do fortepianu.

Zaczął grać Cichą Noc...Samą melodię.

Naraz przerwał i zaintonował barytonem...- O Tannenbaum ,o Tannenbaum ...Wie grin sind deine blettern...

Jedną ręką walił teraz w klawiaturę, a drugą dyrygował. Żołnierze podchwycili melodię.

Nawet nie fałszowali. Darli się coraz głośniejszy, podchodząc bliżej instrumentu.

Tadeusz puścił dłoń Basi. Zdecydował się.

Broń, którą miał przy sobie, pistolet VIS 35, mogłaby kosztować więcej niż muzyka

Fryderyka. Boże...i to wszystkich. Wiedział, że z pokoju można było przez kuchnię wyjść na korytarz. Drzwi na klatkę schodową były otwarte. Zbiegł po schodach. Mroźne powietrze uświadomiło mu, że płaszcz tam został. Zdawało mu się, że został tam cały. Ulica była pusta.

POWSTANIE - SIERPIEŃ. 1944 Warszawa

- Mamo !
- Spokojnie Basiu. To tak jest. Masz jeszcze co najmniej miesiąc. Co mówił doktor?
- Mówił, że połowa sierpnia... Tylko wiesz... On tego dnia operował dwóch naszych chłopaków z lasu. Oglądał mnie w pośpiechu. Bał się, że go nakryją.
- To świetny lekarz . Zresztą przyjaciel ojca.
- Właśnie. Pytał o tatę. Powiedziałaś mu?
- Nie.
- Dlaczego?
- Mamo. Ja o tacie myślę ciągle, ale wmawiam sobie, że to nieprawda, zły sen... Zresztą ten ostatni list z obozu... Tato nas uspokaja. Jak jest naprawdę , nie wiemy.
- Po co miałam jeszcze denerwować lekarza. On miał dość...
- Tak, wiem... Jego syn ...Basiu. Zrobię Ci herbatkę. Mam taką dobrą... Rozgrzewa i uspokaja. Znowu te głośniki ryczą. Przymknę okno, bo wytrzymać nie można...
- Od kilku dni naganiają do kopania rowów. Obrona przed bolszewikami. Potrzebują sto tysięcy mężczyzn. Grożą...
- Czy ktoś poszedł mamo?
- Nie słyszałam. Chyba nikt. Będą się mścić... Znowu rozstrzeliwać. Albo...
- Albo co?
- Boże! A to co za wybuch?
- Basiu. Schodzimy do piwnicy. Weź świeczkę, bańkę z wodą... Nie. Ja wezmę. Ty nic nie noś. Konserwy tam mamy.

Za oknem słyhać było pojedyncze wystrzały. W bramie, przy zejściu do piwnicy było już kilka osób. Pies ujadał. Chyba bał się najbardziej. Zamilkł nagle. W świetle bramy, ulicą, przemknął jeździec na koniu. To stało się tak szybko, że tylko tętent oddalających się kopyt świadczył, że to nie był sen. Ile informacji jednak zawierał ten grottgerowski obraz: Koń był biały. Jeździec wyglądałby jak Chrystus, gdyby nie furażerka na głowie. Siedział na oklep. W jednej ręce ścisnął długą, biało-czerwoną flagę bez drzewca, która płątała się z końskim ogonem. Wykrzyczał tylko jedno słowo:

POWSTANIE !

„...Tętent, tętent, wołanie  
Czy on tylko jest zjawą  
Jeździec na koniu białym  
Woła... Powstań Warszawo...”

Barbarze wydało się, że słyszy te słowa, które natychmiast kojarzyły jej się z tętniącym, choć rwanym, początkiem poloneza fis moll op.44. Może było odwrotnie i to muzyka tkwiąca w jej podświadomości przywołała strzępy zdań... To było ich ulubione zajęcie z Tadeuszem. Słowa do motywów Chopina. Gdy on grał, ona zapisywała je spontanicznie na karteluzkach. Potem wspólnie przepisywali strofki do notesu w twardej, drewnianej oprawce, na której wierzchu był wytłoczony klucz wiolinowy. Niekiedy też podpisywali nuty linii melodycznej. Czy to była poezja? Jeśli tak, to kto był jej autorem?

W piwnicy, a właściwie w kilku połączonych niskim korytarzem piwnicach, było już chyba kilkadziesiąt osób z tej i sąsiedniej kamienicy, która zapaliła się od wybuchającego pocisku. Okienko z korytarza wychodziło na ulicę, a przez większe, ale okratowane okno można było wyglądać na podwórko z oficyną, gdzie mieszkańcy ustawili ławkę, a sąsiadka z parteru pielęgnowała róże w pełni rozkwitające w sierpniowym słońcu. Dzień wydawał się niemiłosiernie długi i przynosił coraz to nowe wieści z miasta, gorączkowo wykrzykiwane przez mężczyzn lub szeptane przez kobiety. Znoszono z góry materace, koce i koszyki z prowiantem. Napełniano wiadra z wodą. Nagle ze ścian posypał się tynk. Potężny huk i podmuch powietrza spowodował, że rodziny i tak skupione bliżej siebie, skłębiły się w uściskach. Kazio, pijaczek z suteryny, rozpląszczył się na podłodze, kryjąc pod brzuchem butelkę. Ktoś zaniósł się histerycznym śmiechem. Gdy kurz na podwórzu opadł przez kraty okienka widać było postać kobiety leżącą na trawniku, z twarzą skierowaną do nieba, jakby opalała się w promieniach popołudniowego słońca. Nie poruszała się. Z rozdzierającym krzykiem wbiegła na podwórko dziewczynka. Mogła mieć z dziesięć lat. Przywarła do kobiety. Seria wystrzałów od strony ulicy sparaliżowały stłoczonych w piwnicy mieszkańców. Na podwórku pojawiła się jeszcze jedna postać. Przygarbiony, jakby chciał uniknąć kul, wbiegł młody mężczyzna. Objął dziewczynkę i już czołgając się z powrotem, ciągnął ją po ziemi. Kłęby dymu przesłoniły ich oboje.

- Mamo ! To Tadeusz – krzyknęła Basia. Poczwała dreszcze, które przeniknęły jej ciało.
- Nie. Jeszcze nie teraz – pomyślała.
- Zaopiekujcie się nią ! – Tadeusz rozkazującym tonem krzyknął na rozmodlone kobiety, przekazał im rozplakaną dziewczynkę i dobiegł do Basi.
- Kochanie!- Zdarł z siebie zieloną panterkę, zarzucił jej na plecy i próbował dopiąć guziki.
- Tadziu. Przestań. Przecież widzisz jaka jestem gruba.
- Mamo, daj mu się napić wody. Tadziu...Jaki ty jesteś zgrzany. Gdzie chłopcy? Gdzie Janek?
- Janek Na Stawkach, w niemieckich magazynach. Zdobyli je. Tam broń...A nawet ta panterka stamtąd...Da się poluzować. Poczta na Świętokrzyskiej też zdobyta. Wszędzie wywieszają polskie flagi...
- Pali się dach !- Sąsiadka z trzeciego pietra wbiegła do piwnicy.
- Tadziu. Mamo! Biegnijcie do mieszkania. Tam jest tyle rzeczy. Mogą wszystkie spłonąć... W fortepianie jest nasz album i dokumenty...Fortepian! Zostawcie mnie tu. Nic mi się nie stanie.

Basia rzuciła się na stary materac, z którego wzbil się tuman kurzu. Mama została przy niej. Za Tadeuszem wybiegło kilka osób, sąsiadów z wyższych pięter.

- Jak fortepian spłonie...Na czym będę grała? – To było centrum jej egzystencji. Stare, prostokątne fortepiano marki,, Green”.
- Spokojnie Basiu. Nie jeden instrument jest na świecie. W domku u Dehnelów jest nawet koncertowy fortepian i to na parterze. To blisko, a oni tacy gościnni. Tam często domowe koncerty... Chociaż, czy teraz jest czas na granie, Basieńko ? Nie czas.

Szlochająca dziewczynka wyrwała się kobietom i wybiegła znowu na podwórze.

Wycie syren zagłuszyło krzyki ludzi.

- Nikt nie wychodzi ! – zawołał starszy mężczyzna wchodzący do piwnicy.- To wyją na Bielanych. Nasi próbują odbić Niemcom lotnisko. Te ciężarówky ze szwabami tam jadą. Od ulicy słycać było także zgrzyt gąsienic.
- A ruscy? Właśnie, co z nimi ?- pojawiły się pytania.

Walą z armat na wiwat...Jakby w kierunku Radzymina.

- To może i dobrze. W trzydziestym dziewiątym jak nam pomogli, skończyła się Polska.
- Bzdura! Żyjesz ?
- ...Kiedy my żyjemy... - zainonował staruszek. Głosy wypełniły piwnicę.

Naraz powiało chłodną wilgocią. Basia schowała dłonie w obszerne kieszenie panterki. W prawej kieszeni był jakiś twardy przedmiot.

- Czemu oni nie wracają? Co tam się dzieje? – pomyślała i poczuła, że ścierpły jej nogi
- Nie wypada mi tak grzebać...-

Ciekawość zwyciężyła. Był to oprawiony w drewniane okładki notatnik. Poznała go natychmiast. Tadeusz częściej, ale i ona niekiedy, zapisywali oprócz poezji, także złote myśli i wyznania. Żadnych adresów i telefonów. To byłoby niebezpieczne. Była przekonana, że notatnik został w mieszkaniu. Zaszuszonego kwiatek wypadł na jej kolana.

Przysunęła świeczkę, by przeczytać ostatni zapis. Tak. Tych strofek nie mogła znać.

- Kiedy on to zapisał? Dziś? Mamo! Co tam się dzieje?

„... Żoliborz walczy, na barykady  
Musimy bronić skrawka wolności  
Choć skrzydłem zamiótł anioł zagłady  
Polska ma przeżyć, jeszcze w nas dość sił !”

- Pani Nowakowa ! Widziała pani moich? Jak pani ich zobaczy... Uciekłem z Woli. Z piekła...
- Co tam się dzieje? Niech pan mówi ! – Wokół osmolonego mężczyzny skupiło się parę osób.
- Pałą zwłoki. Setki...Tysiące... Wypędzili z domów .Rozstrzelali i polali benzyną. Niemcy, Ukraińcy, jakieś skośnookie diabły...
- Ja też paliłem...
- Panie, jak to?
- Pod karabinem. Kto nie palił, strzelali. Szwaby boją się epidemii...Tych co palili, też zastrzelili. We mnie nie trafił, ale padłem...Myślałem, że nie przeżyję... Zwymiotowałem jak na mnie sikał, ale nie zorientował się. Ten jego śmiech mnie uratował. Rżał jak koń. Jeszcze go słyszę...
- Pani Nowakowa. A gdzie Tadek ?
- Biegnij na strych. Oni tam gaszą ogień.
- Tylko nie to...Tylko nie to...

W przejściu ukazał się Tadeusz. Był uradowany.

- Instrument cały. Mieszkanie też. Udało nam się ugasić strych i wasz przedpokój. Bez wody. Zdusiliśmy ogień dywanami.
- Jakie to szczęście... – roześmiała się Basia zarzucając ręce na ramiona Tadeusza.
- Nie do końca...Rozstroił się od żaru. Próbowałem coś zagrać, ale...
- Liszt uwielbiał rozstrojone fortepiany – wtrąciła Basia.
- Tadziu. Co ja tu plotę ... Tragedia na Woli.
- Słuchaj co mówi Edek...To się nie mieści się w głowie.
- Dzieci rozdeptywali buciorami. Dzieci...Pojmujesz...Malutkie. Widziałem to ! Mężczyzn rozstrzelali od razu. Kobiety wcześniej gwałcili...- Edek wyrzucił z siebie jednym tchem. - Tadeusz. Zabierz mnie ze sobą. Gdzie wy teraz jesteście? Bóg mnie pokarze jeśli się nie zemszczę. Widział co robiłem. Paliłem ich zwłoki. To czemu mi pozwolił żyć? - Edziu. – Tadeusz ściszył głos.- Proszę...Niech Basia tego nie słucha ...

Kończyła się woda, kończyły się zapasy żywności. Nie kończył się tylko ten upiorny czas. Czy to był jeszcze dzień już noc? W ciemnej piwnicy gasły płomyki świec.

- Tadziu, kochanie ! Choć tu wreszcie do mnie. Znalazłam twój...Nasz notatnik. Kiedy ty to pisałeś? Powiedz prawdę...

„...Och czemu warkocz swój dziś obcięłaś  
Był jak pszeniczny kłos  
Cóż, on pod hełmem zmieścić się nie chciał  
Wybacz, nie czas na złość...”

- Basiu. Głuptasie! Dziewczyny dorwały się do sortu...Dawałem jej hełm. Chyba nie jesteś zazdrosna...Dobrze, że ten notatnik w twoich rękach. Pisz. Pisz także za mnie. Za nas oboje... Tylko teraz się nie pogniewaj. Dehnelowie pomagali mi gasić pożar. Oni tak bardzo pragną, żebym wpadł do nich zagrać. Wspaniały mają fortepian. Marki „Playel”. Chopin na takich grał... Tam się zebrało sporo osób. To blisko. Ja zagram jeden utwór i wrócę...
- Nie, nie...Tadziu...No dobrze, ale zaraz wracaj. Zagraj im Poloneza fis- moll i wracaj.
- Tak. Oczywiście...- Tadeusz prawie wyrwał jej notatnik.
- Daj mi na chwilę...Zobacz... To ten fragment poloneza...Tak mi się skojarzył.

„... A my zgarbieni jeszcze z kanałów  
Wyprostujemy grzbiety cuchnące  
Tam nie ogłuchliśmy od wystrzałów  
Teraz oślepie sierpniowe słońce...”

Jak oczy zmrużyć, dojrzymy przecież  
Za taflą Wisły Praga spokojna  
Czy oni żyją na innym świecie  
Czy dla nich już się skończyła wojna?”

W drzwiach Tadeusz minął się z Małgorzatą, narzeczoną Janka. Niekiedy zostawała ona na noc w mieszkaniu z Basią a kiedy ogłaszano alarm pomagała jej zejść do piwnicy. Od kilku dni jej nie było. Nie potrafiła ukryć zdenerwowania.

- Basiu. Miałam zły sen. Tak się boję o twojego brata. Czy macie od chłopaków jakieś wieści? Nasz ślub miał być w pierwszą sobotę września. Były już zapowiedzi.
- Małgosiu. Zróbcie to jak najprędzej. Ksiądz Marian tu zagląda. Porozmawiam z nim
- Ksiądz Marian bardzo zajęty. Spowiada gdzie popadnie, a komunii udzielał nawet na przy barykadzie w Alejach Jerozolimskich.
- To i ślub wam da.
- Basiu. Gdzie? Nasz kościółek leży w gruzach. Marzyliśmy, że właśnie tam. Akurat wszyscy byśmy się pomieścili. Tadeusz miał zagrać na organach.
- Małgosiu. On jest. Tu blisko. Właśnie gra, ale na fortepianie u Dehnelów.
- Na waszym ślubie może zagrać marsza Mendelzona. Obejdzie się bez kościółka. Zróbcie to póki co...
- O czym ty mówisz Basiu? A wy? Przecież będziecie mieć dziecko. Najwyższy czas to zalegalizować wasz związek przed Panem Bogiem.
- Wiesz dobrze Małgosiu, że jak urodzę, nie będę mogła być na waszym ślubie, a na nasz teraz też już za późno. Zresztą jaki ksiądz nas pobłogosławi. Panna z dzieckiem i szalony powstaniec. Gdyby Tadeusz tak się nie angażował w walkę, byłoby dawno po naszym ślubie.

- Basiu. Spokojnie. Wam się wszystko ułoży...Co ty tam zapisujesz?

„...Ach, miała jego być tej jesieni

Szły zapowiedzi już

Kościół legł w gruzach, los się odmienił...”

- Siostrze. Ten już bez tchu..”

Weranda u Dehnelów była otwarta i fortepian wysunięty aż pod arkadę z winoroślami. Zgromadziła się grupka sąsiadów, ale chyba i goście z pobliskich uliczek. Kilkadziesiąt osób. Oklaski zabrzmiały, gdy Tadeusz zbliżył się do fortepianu. Podniósł klapę. Od razu pomyślał, że to być może najważniejszy koncert w jego karierze. Może nawet w życiu...- Pomyślał i zaraz odrzucił, przerwał tę myśl jakby była niedorzeczna. Niedokonana.

Fortepian miał ponad klawiaturą secesyjną intarsję i złote napisy z wystaw, na których zdobywał nagrody.

- Instrument się doczekał. To może i ja kiedyś...- Chciał, żeby ktoś inny zweryfikował wreszcie jego talent. Basia nie miała wątpliwości, ale wiadomo, sprzyjała mu bardzo.

Profesor Dyżewicz, ojciec Basi, chciał przygotować go do najbliższego Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego. Sytuacja na frontach wojennych stwarzała nadzieję.

- Będzie Polska...Będzie konkurs.- mówił profesor.

Ostatnie miesiące nie sprzyjały lekcjom. Profesor nie czuł się najlepiej. Odwoływał lekcje w ostatniej chwili, ale Tadeusz i tak przychodził, by spotkać się z Basią. W mieszkaniu było jednak bezpieczniej niż na spacerach w lasku bielańskim. Ich ulubiona kawiarenka była nieczynna odkąd Niemcy nakryli na jej zapleczu radio. Piękną właścicielkę przeniesiono podobno na Aleję Szucha. Miała taką dobrą kawę i uśmiech, którym wszystkich witała od progu.

- Do diabła- pomyślał Tadeusz.- Zaczęę nieco wolniej...Tak jak grał Rubinstein.

Potem będę nieznacznie przyspieszał. W końcu to nie konkurs, a publiczność nie zauważy, tylko emocje będą wzrastały. Moje muszą opanować.

Wahał się jeszcze przez moment odliczając tempo na trzy czwarte w myśli. Przecież nie próbował wcześniej tego instrumentu. Jednak nie chciał wprowadzić przypadkowych dźwięków. Gwary przycichły. Nie zauważył na werandzie nikogo z gospodarzy. Były dwie koleżanki z jego liceum, z równoległej klasy. Obce, surowe twarze starszych mężczyzn. Z młodych nikt nie miał przy sobie broni. Grupka harcerzy Szarych Szeregów z białoczerwonymi opaskami. Literat, którego ostatnia powieść zdążyła ukazać się przed wojną, wyniósł z mieszkania krzesło dla swojej małżonki. Reszta przysiadła na ławkach za winoroślą. Weszła pani Nowakowa...

- Jednak zostawiła Basię z mamą. Tak jak i on sam. Gdyby Basia mogła tu być...

Położył ręce na klawiaturze. Wyczekał aż wybrzmiały dalekie wybuchy. Pierwsze, tętniące w prawej ręce tony Poloneza fis-mol rozdarły ciszę. Jednak po kilku taktach, pomruki i wystrzały z centrum miasta powróciły i towarzyszyły Chopinowi jak instrumenty perkusyjne niewidzialnej orkiestry. Jeden strzał był już całkiem blisko.

To było w momencie, gdy w rozedrganym polonezie pojawia się motyw mazurka

„...“

Tam przy studni była woda

Snajper strzelił prosto w dzbanek

Wody tylko trochę szkoda...

Więcej łez ronisz przez mamę...”

Tadeuszowi nieodparcie kojarzyło się to z widokiem dziewczynki przy studni.

„ Ty dziecino nie klęcz, nie klęcz  
Razem z nami skryj się w bramie  
Przy nas będzie ci bezpiecznie  
Chociaż nie tak jak przy mamie...

Chodźże my cię przytulimy  
My tu wszyscy bracia, siostry  
Popatrz ile masz rodziny  
Choć ból serce ściska ostry...”

Słuchacze nie poruszyli się z miejsc, więc grał nadal. Po finale zapadła cisza. Kiedy wychodził ściskano mu ręce. Na ulicy minęły go sanitariuszki z noszami.

- Tam w piwnicy rodzi kobieta ! – Pośród przebiegających w obie strony postaci ten krzyk nie zrobił większego wrażenia.
- Błagam! Dziewczyny pomóżcie nam ! - To był czyjś rozpoznawalny głos.
- Mamę kilku rannych, brakuje prześcieradeł, wody, wszystkiego. Oni wyją z bólu. Jeden ma urwaną nogę, wykrwawia się- krzyknął zdesperowany harcerz.
- To gdzie ja mam biec? – ruda sanitariuszka z torbą oznaczoną czerwonym krzyżem zawahała się.
- Do chłopaków ! – rozkazał mężczyzna z granatem przy pasie.
- Natychmiast ! Jak ma urodzić to urodzi...

Małgosia wybiegła naprzeciwko Tadeusza. Złapała go za rękę. Teraz dopiero pomyślał, że to chodzi o jego dziecko. Ulica wydała mu się nieskończenie długa.

- Tadeu. Szybciej. Biegnijmy.

W kamienicy słychać było krzyk Barbary.

- Mamo!
- Basiu. Spokojnie...
- Mamo-! Basia już nie krzyczała. Przez zaciśnięte usta powtarzała co chwilę –
- Zawołaj Tadeusza!
- Basiu zaraz będzie. Jest niedaleko. - Mama obróciła się do dziewczynek wtulonych w przewrócone sienniki.
- Pilnujcie jej chwilę...Ona was tak lubi...Żeby nie była sama. Ja zaraz wrócę, tylko wodę przytargam.- Zniknęła w korytarzu.

Basia nawet nie zauważyła odejścia matki. Przymknęła oczy. Znajome dziewczynki trzymały ją za ręce, przestraszone chyba bardziej od niej.

- Mamo, a gdzie oni teraz są...Tadeusz, Janek, tatuś...Dobrze, że chociaż ty jesteś ...
- Powiedz im, żeby tu nie wchodzili...Tylko Tadek. Powiedz im koniecznie...
- Mnie nic nie jest...Nic nie boli. Ojej...!

POWSTANIE - WRZESIEŃ. 1944, Warszawa

„Tętent, tętent ,wołanie  
Dudnią w kamień kopyta  
Jeszcze, jeszcze powstanie  
Jeździec, on to, już znika...”

- Już nie wierzyłam, że kiedykolwiek cię zobaczę...
- Że ty nas zobaczysz. Jak zarosłeś- Basia odsunęła twarz od brody Tadeusza.
- Tadeusz zaczął wyciągać prowianty z plecaka..
- Nie, Tadziu...Mamy tu chleb. Wypieka Nowakowa. Jest i sok pomarańczowy...Taki syrop, chyba ze zrzutów. Nie wyciągaj. Wam się przyda...Jak ty zeszczipłałeś...A ja, widzisz... jestem grubsza...Jeszcze nie wróciłam do siebie. To cud, że mam ją czym karmić .
- Ją?
- Chyba nie myślałeś, że urodzę małego powstańca...
- Janek mówił...
- Odkąd nie ma już taty, Janka i ciebie widzę tak rzadko, przeklinam to powstanie, tę wojnę, to wszystko...Chcę tylko przeżyć...Dla niej...Tylko dla niej...Dla Kasi...
- Nie spytałaś nawet jak dać mu... Jej, na imię...
- Nie było cię...Nie ma cię...
- My...- Tadeusz chciał wygłosić, to co było tak ważne dla niego.
- Tak, wiem. Ja wszystko wiem...Tylko już nic nie rozumiem...
- Basiu ! Ja będę musiał tam wrócić.
- Gdzie? Na miłość boską, gdzie?
- Kampinos. Dałem słowo „Okoniowi”, że wrócę...
- Tadziu! Nienawidzę cię !
- Basiu! Kocham was...

W korytarzu zwały się głosy wbiegających mężczyzn. Rozpoznawalny był tylko głos Janka.

- Tadeusz! Szukamy cię. Trzeba natychmiast wzmocnić barykadę. Pantera ostrzeliwuje ulicę obok. Pocisk wybuchł u Dehnelów. Nie było ich na szczęście.
- A fortepian ?
- Właśnie. To jest dobry pomysł. Przez ,szafki, krawężniki i parkany oni przejadą jak po maśle. Jest jeszcze ciężarówka Nowaka, już przewrócona i ten fortepian... Ma metalową ramę...
- Tadziu! Zaczekaj! Chcę ci coś ważnego powiedzieć. Zobacz, ona płacze...
- Zaraz. Czekać. W trzech go nie wyciągniecie. Basiu ! Wrócę...

Basia wiedziała tylko, że musi zapisać jeszcze przed karmieniem dziecka. To czego nie zapisze Tadeusz. Jakaś siła pchała ją to notowania tego co współbrzmiało z głębokim żalem, a nawet wściekłością. No i z muzyką, muzyką rozpędzonego poloneza.

„Na barykady ludu Warszawy  
Rozkaz ostatni to rozkaz święty  
Czasem ważniejsze od życia sprawy  
Wyrwijmy bruki, wynieśmy sprzęty...”

Dehnelowa wybiegła na werandę. Nie krzyczała, nie zastawiała drogi taszczącym instrument mężczyznom. Szmatką wycierała w biegu kurz, jakby udzielała sakramentu na ostatnią drogę. Płacząc bezgłośnie wyrzucała z siebie słowa półszepem i myśli.

„Zostawcie proszę, on tam w salonie  
Stoi od wieków... Na nim Chopina  
Dzieci i wnuki grały tu co dzień...  
Cóż... Jeśli trzeba... Smutna to scena...”

Tadeusz czuł jak pulsuje mu serce i to chyba nie z wysiłku. Fortepian znoszony po schodkach werandy, a potem ciągnięty po bruku, wydawał dysonansowe dźwięki. Także jęki i stęknienia, jakby się bronił. Wydawało się, że nikt nie przejmuje się jego losem. Najpierw oderwały się kółka, potem już kaleki, bez jednej nogi dopchnięty został na front barykady, jeszcze przed leżącą na boku ciężarówką. Obraz ten kojarzył się Tadeuszowi jednoznacznie.

„Popatrz wynieśli jak u Norwida  
Czarny fortepian, on w dół nie runie  
Na barykadę, teraz go widać  
Już gra, rykoszet poszedł po strunie...”

Ostatni raz Tadeusz zapragnął uderzyć w klawiaturę, ale chyba młoteczki zablokowały się i tylko poczuł wilgotną, słoniową kość pod palcami. Uderzył jeszcze raz, ale już pięścią. Nie wydobył dźwięku, za to struny zarzęziły z całą mocą, dając dowód, że to jeszcze nie finał.

Ruda sanitariuszka podbiegła do fortepianu, otworzyła klapę i zawołała.

- Graj!
- Za późno. Zaraz tu będą fryce- krzyknął młody człowiek z koktajlem Mołotowa w ręce.
- Graj- rzuciła dziewczyna w stronę Tadeusza.

Tadeusz chwycił odłamek cegły i przejechał nim po strunach. Raz, potem jeszcze raz i zaczął szarpać je rytmicznie. Brzmiałoby to jak upiorne tango, gdyby nie przeszedł na trzy czwarte, jak w polonezie. Dziewczyna rozpięła biały kitel ukazując czerwoną spódnicę opinającą uda. Zachwiała się jak biało-czerwona flaga na wietrze. Rozpostarła ręce, a jej oficerki zastukały po bruku. Na domiar złego... Tak, tak... To nie mogło się skończyć dobrze... Zaczęła podśpiewywać, a właściwie wyc niskim altem, jednak przejmującym, osadzonym mocno na wybranych tonach. Zresztą przy tej kakofonii fortepianu trudno byłoby jej zafalszować. Tadeusz zaśpiewał sam, choć nikt go nie usłyszał. W myślach chyba.

„Nie tańcz miła na ulicy  
To jest tylko chwilka ciszy  
Nie śpiewaj, bo ktoś usłyszy  
To jest tylko chwilka ciszy...”

Cisza trwała dość długo. Bez terkotu karabinów maszynowych, bez wybuchów. Wypełniona tylko jej śpiewem i łabędzią grą strun fortepianu. Tadeusz wycofał się z barykady, przemykając wzdłuż ścian w głąb ulicy. Obiecał przecież Barbarze wrócić. Mijał pędzących w stronę barykady chłopaków, których jedyną bronią były butelki z benzyną. Zawahał się po pierwszej serii od strony atakujących Niemców. Jednak nie miał przy sobie żadnej broni. Zginać tak bez broni, jak przechodzień... To byłoby bez sensu. Obejrzał się raz jeszcze.

Nie wyglądało to dobrze. Wydawało się, że tylko fortepian może obronić barykadę. Jak ranne, czarne ptaszysko ze złamanym skrzydłem, nie zamierzał się poddać. Tadeusz chciał zapamiętać ten obraz, wryć go w pamięć. Chopin i Norwid. Dziewiętnastowieczna muzyka zapładniająca słowa. Znowu spełnia się w koszarnej polskiej rzeczywistości. Znowu...

„Znowu się skrada wilcza wataha  
Trylem zagrały ich cekaemy  
Trawił w fortepian miłośnik Bacha  
Zerwał strun wiązkę...Jeszcze żyjemy!

I jeszcze seria zabrzmiał akordem  
Od kul nie chroni drewniane pudło  
Lecz rwie do walki serca tak młode  
I barykadę czyni tak dumną...

Czy to możliwe- choć pękły struny  
Nasz słuch stłumiony, pianisty nie ma  
Że z fortepianu, głucho jak z trumny  
Wciąż brzmi polonez fis-mol Chopina...”

Aż tyle zapisał Tadeusz przytulony mocno do Basi.

- Patrz, jak Kasia ładnie śpi. Czekala tak jak ja, ale nie doczekala się ojca. Błagam...Bądź jutro na ślubie Małgosi z Jankiem. Na pewno będzie, chociaż nie mają jeszcze obrączek.

Obrączek nie można było zdobyć nigdzie. Ludzie trzymają takie precjoza na ostatnią godzinę, żeby nie zginąć z głodu, albo wykupić się od śmierci. Jubiler koło placu Wilsona nie istniał od dawna, czyli od chwili, gdy zabrali do getta jego brodatego właściciela. Małgosia miała jedną obrączkę po swojej mamie i była ona na tyle gruba, że z powodzeniem dałaby się przerobić na dwie. Tylko kto miałby to zrobić? Stary Izaak potrafiłby, ale go nie ma. Pewno na tym świecie go nie ma.

Janek już wiedział co zrobić... Odkręcił duży bagażnik od swojego roweru, co go dostał za maturę. Przejechał na nim kawałek Polski tuż przed wybuchem wojny. Dojechali nawet razem z Tadkiem do Wilna i biwakowali dwa dni nad Jeziolem Trockim. Na tym bagażniku miał przytroczony cały majdan na dwa tygodnie. Do pierwszego września. Dokupywali tylko chleb i mleko. Teraz, ocenił na oko dwie śruby z nakrętkami. Nieco przyrdzewiały i musiał użyć klucza z długim ramieniem. Janek znalazł też sposób by wygładzić wewnętrzną stronę mutry. Po mozolnym doszlifowaniu papierem ściernym uzyskał dwie świecące metalicznie obrączki. Na jego środkowy palec mutra wchodziła z trudem. Na wskazujący już lepiej. Małgosia włoży swoją na...

- Czy to takie ważne na który paluszek?- Pomyślał o niej z czułością. Jak minie wojna przecież sprawimy sobie lepsze ... A może właśnie nie... Te zostaną na zawsze.

Na zawsze...- Jakie to okrutne, kosmiczne, a nie ludzkie pojęcie... Poczł niepokój.

Tadeusz i Edek, kolega Janka, byli świadkami ceremonii. Odbyła się ona na zrujnowanym podwórzu, przy małej kapliczce Matki Boskiej Błękitnej. Tak nazywali ją sąsiedzi ze względu na długą błękitną szatę zakrywającą nawet stopy. Niektórzy uważali, że jest w tej nazwie tęsknota za błękitem nieba nad Warszawą, którego nie przesłaniałyby dymy pożarów. Na cokole z granitowych kostek zapalono nawet kilka świeczek, których płomyki nikły

w jaskrawym blasku południa. Basia wyszła po raz pierwszy na powietrze ze swoim maleństwem, które wzbudziło nie mniejszą sensację pośród sąsiadów jak ślubna para.

Tadeusz zapisał potem w swoim notatniku:

„...Będę wierny ci do śmierci  
Jan za rękę wziął ją czule  
Pośród ruin ich sąsiedzi  
Książdz wygładził zmiętą stulę...

Hełm podsunął, a w nim na dnie  
Mutry dwie- dla niego, dla niej  
Czyszczone ze rdzy dokładnie  
Łzą skropiony ten sakrament...”

Wesele...Jakież ono było? Udało się posadzić przy dwóch połączonych stołach wszystkich gości. Mama zdobyła trochę konserw. Na półmisku była pieczeń podzielona na plasterki. Konina przemycona z wioski. Pokażną butlę młodego wina przynieśli Dehnelowie z winogron zebranych przy werandzie. Edek triumfalnie postawił na stole aż trzy butelki nalewki. Dwie z pigwy i jedną z derenia. Jego piwniczka znana w okolicy, była ogołocona przez powstańców. Podobno jednak harcerze nie pili.

- Gorzko, gorzko... Darł się teraz razem z Tadeuszem, który jakimś cudem przedostał się ze Starówki.

- Nie, nie pytajcie mnie...Nie lażem przez kanały. Jestem. Musiałem być. Ciągle mam nadzieję być twoim szwagrem Janku. Teraz napijmy się za wasze szczęście...

- Basiu. Ty jako matka karmiąca jesteś zwolniona.

Janek pocałował Małgosię w policzek.

- Tylko tak? Czy mam cię wyręczyć- błaznował Edek.

Alarm lotniczy przerwał uroczystość.

Janek porwał Małgosię jak ukradziony skarb. Piwniczka była mała, właściwie przeznaczona tylko na centralne ogrzewanie. Dozorca sypiał tu czasem w zimie, w czasie mroźnych nocy, kiedy musiał dosypywać węgiel do pieca. Pikowana kołdra, bez poszwy, była rzucona na koc, który przykrywał ubite trociny. Jan dał kołdrę na spód i okrył żonę kocem.

- Tak, tak ...Przecież to już nie jest moja narzeczona- uśmiechnął się sam do siebie.

Było mu przykro, że koc z wyszytym ogromnym kotem, był zwyczajnie brudny. Pod głowę podłożył za to Małgosi jej nieskazitelnie białą sukienkę ślubną.

- Jest ci ciepło- zapytał.

Otworzyła przymknięte powieki. Nad nią kłębiły się ogromne pajęczyny. Kapała woda z nieszczelnej rury.

- Boję się Janku.

- Wtul się mocno we mnie, to na pewno nic ci się nie stanie.

Objął ją i po chwili ich oddechy się wyrównały. Jej piersi nie pozwalały jednak uchwycić rytmu serca. Były ciepłe jak przystań rajskiej wyspy. Ustami dotknął jej skroni.

Tu rytm pulsującej krwi był wyraźny. Jakby jakaś żyłka, od której zależy życie przylegała do jego warg. Położył dłoń na jej ramieniu. Potem na brzuchu. Drugą ręką rozplątywał spięty jak żniwny kołacz warkocz. Włosy rozsypały się po szyi, aż po piersi. Majteczki miały mocną, sprężystą gumkę.

- Musiały cię uwierać kochanie. – Wyszeptał i w tej samej chwili poczuł, że wszystko ich uwiera. Jego uwiera. Trzeba przerwać te okropne więzy z rzeczywistością tam na górze,

gdzie jest piekło bezustannego lęku, nienawiści, obowiązków, które nie pozwalają żyć choćby jeden tylko dzień normalnie.

Odpywali od tego wszystkiego gwałtownymi ruchami, w porywach szaleństwa, całkowitego zapomnienia i oddania. Stali się jednością, która była im zadana od chwili, gdy zobaczyli się po raz pierwszy na Krakowskim Przedmieściu, spoglądając z dwóch różnych stron na pomnik Mickiewicza. To był pierwszy dzień wojny. Byli przeznaczeni sobie i ta wojna była ich przeznaczeniem.

„...Zamiast kromki chleba długi pocałunek  
Wreszcie się przytulą w tej mrocznej piwnicy  
Splotą się dwie dusze, zniknie i frasunek  
Chwila ta na całe życie niech się liczy  
Niech się liczy...”

Tak Tadeusz opisał scenę, której przecież nie mógł widzieć. Pewnie w tym rymowanym zapisie zawarła się nuta zazdrości, że jego ślub z Basią odłożony jest znowu do Świętego Nigdy, chyba że... Ale nie... Małgosi i Jankowi nie było czego zazdrościć, a jego noc poślubna z Basią już dawno przepadła, choć przecież tylko dlatego na świecie jest Kasia. Po tym co stało się z młodą parą, wiedział już, że taka zazdrość była całkiem nie na miejscu. Kiedy wynosili ich z piwnicy płakał, nie wstydząc się łez. Tak nie zanosił się płaczem od dzieciństwa. Potem uspokajał szlochającą Basię i jej mamę, a przecież także mamę Janka. Wiele dni później, bo wcześniej nie miałby odwagi, Tadeusz dopisał:

„...Ze snu nie zbudził ich głos syreny  
Ani przekleństwa w twardym języku  
I pozostaną tam tak uśpieni  
Na zawsze zwarci w miłosnym krzyku.

Przedtem jednak wydarzyło się wiele. Sowieci wkroczyli na Pragę. Nadzieje na ich dalszą ofensywę okazały się płonne. Zalegli, czekając na wykrwawienie się miasta.

„...Przyjdą dni inne, słońce przebije  
Dym czarny, wszędzie świt  
Niech nas nie przeklnie ten co przeżyje...  
Polska będzie żyć !”

## LEŚNICZÓWKA. 1946 Góry Świętokrzyskie.

- Byłoby nawet całkiem dobrze, gdyby nie to, że musimy tu siedzieć. Cały dzień i noc, i następny dzień. Patrząc na tego wypchanego jelenia... Gdyby to był wypatroszony generalissimus Stalin, to przynajmniej mielibyśmy pełną satysfakcję – Rafał ciągnął swój wywód od kilkunastu minut.
- Ilu on naszych wymordował... Ilu posłał na Sybir... Mój tata przepadł po siedemnastym wrześniu. Jeszcze zdążył napisać, że u nich siedzi. I co? Takich jak on było tysiące. Ech, szkoda gadać...- zamachnął się siekierą.
- Po pierwsze: Nie musimy tu siedzieć. Nikt Ci nie każe. Po drugie: Nie wychodziłeś narąbać drzewa ?
- Może ja pójdę, a ty dokończysz. -Tadeusz usiłował wyrwać Rafałowi siekierę.
- Uważaj, bo piątek jest feralny.
- Może dla ciebie. Ja poznałem swoją w piątek.
- To ci się udało. Nie pamiętam w jaki dzień poznałem Baškę.- Tadeusz wstał od stołu.- W piątek Niemcy zamordowali naszych z grupy Kampinos. Zginął Okoń. Ze dwie setki chłopaków. Przydali by się teraz...Pamiętacie Ignaca, Romusia, tego...jak mu tam... Zajączka, co miał tę wargę... Czy ktoś ich pochował? Ten szturm szkopów na Żoliborz...Nie mieliśmy szans.
- To było następnego dnia – burknął Michał. – Pułkownik „Wachnowski” już pertraktował o poddaniu Żoliborza z tym, co nazywał się jak kompozytor, no...
- Bach – wtrącił Tadeusz
- Właśnie. Z von dem Bachem. Oba szkopy. - Edek włączył się w rozmowę.
- Edziu. Tylko jeden to genialny muzyk, a drugi to morderca. Poza tym pułkownik taki miał rozkaz od „Bora”.
- A ty Tadziu jakoś się wysmyknałeś.
- Ja chciałem tylko...
- Wiemy. Chciałeś do Basi...Jej już tam nie było.
- Edward ! -Tadeusz poderwał się.- Co chcesz mi powiedzieć?
- Całą kamienicę pędzili do Pruszkowa. Wiem to na pewno.
- No nie całą. Janek z Małgosią zabici. Ojciec Basi...Podobno z Auschwitz przewieziony do Gross Rosen. Stamtąd już żadnych wieści. Mama, czyli babcia ...Ja nawet nie zapamiętałem jak wygląda moja córeczka.
- Tadziu, wybaczone, takie maleństwa są wszystkie do siebie podobne. Widziałeś tę wnuczkę leśniczego.
- Edziu. Tak się boję o nich. Jak sowieci tu wejdą, to wszystkich zatłuką.
- Nas przed wszystkimi.
- My się możemy bronić.

Rafał zajęty był rozniecaniem ognia w kominku. Michał czyścił broń. Potrafił to robić przez cały dzień. Edward zasnął nagle, albo udawał, że śpi. Tadeusz chwycił akordeon, starego Hohnera i ćwiczył palcówki prawą ręką. Czasem dodawał basy lewą, osiągając brzmienia potwierdzające, że nie trafia w odpowiednie guziki. Te dysonanse zaczęły mu się podobać. Rozciągał miech w jedną i drugą stronę w coraz dłuższych odstępach. To był jednak zupełnie inny instrument niż fortepian. Związany z ciałem, jak kobieta z mężczyzną. Drżący. Dygocący. Dziki w jego dłoniach, może właśnie dlatego, że grał na nim po raz pierwszy. Zaczęło mu się to granie podobać coraz bardziej. Gdy w końcu zdecydował się zagrać prawą ręką motyw poloneza fis-mol dodając rżężącą lewą rękę, był zafascynowany tym co wydobył z gąszczu dźwięków. Chłopcy przysnęli. Tylko Rafał obserwował go raczej niż słuchał.

- Przydał by ci się koncertowy fortepian.
- Żeby chociaż pianino miał.
- A ty od małego grałeś?
- Od zawsze. Odkąd pamiętam
- Rodzice cię gonili?
- Nie musieli. Szkoła muzyczna... Wiesz, matematyka tam nie była ważna...
- Potem już profesor, ojciec Basi mnie prowadził. To był mój mistrz.
- Był?
- Mam nadzieję, że jednak żyje. Chciałbym dalej grać... Wiesz... Jak rok nie grasz, cofasz się o lata. Czy ja to kiedyś nadrobię? Bez profesora to niemożliwe. Po wojnie pewnie będzie kolejny konkurs chopinowski. Międzynarodowy.
- Jest po wojnie.
- Chyba żartujesz.
- Tak, czy owak, na tej cyji chyba tam nie zagrasz.
- Ale tu mogę. Prawa ręka chociaż. Prawa ręka.- Tadeusz podniósł rękę i sam ją o obejrzał z namaszczeniem. Widziałeś pomnik Chopina w Łazienkach?
- Ten z wierzbą?
- To nie tylko wierzba. Przypatrzyłeś mu się dobrze. To dłoń pianisty zwisająca z pnia tej wierzby.
- Żałuję, ale nie przyjrzałem się dokładnie i już się nie przyjrzę. Niemcy go zwalili, pocięli na kawałki i podobno przetopili w hucie.
- Wiem Edziu, wiem. Jak można tak nienawidzić archanioła muzyki. I za co? Za to przecież, że był Polakiem. Tylko za to.
- Ja bym im powycinał... Tym Bachom, Bethowenom... Temu, jak mu tam, co go Hitler tak uwielbia...
- Uchowaj Boże, Edziu... To byś zrobił to samo co te skurwysyny. To samo.
- Sowietci nie będą lepsi... Ćwicz Tadziu prawą rękę i oko. Rękę, żebyś zdążył pociągnąć za spust. Oko, byś nie spudłował.
- Ćwiczę. Słuchaj tej melodii. – Tadeusz zagrał motyw przewodni poloneza fis- mol.
- To jak piosenka. Jakaś taka nawet bojowa. Teraz to zmajstrowałeś?
- Nie. To Chopin. Sto lat temu skomponował. Ja teraz ułożyłem słowa.
- Dawaj.

Tadeusz rozciągnął miech i dał głos od razu ostro i pewnie.

„...Znów skrzydłem zamiótł anioł zagłady  
 Ojczyznę deptcze czerwona banda  
 Chociaż może zalewa nas zdrady  
 Jeszcze wznosimy wolności sztandar...”

Jeszcze walczymy, choć bez nadziei  
 Że nas wspomogą alianci w boju  
 Oni wiedzieli jak nas podzielić  
 Za krew przelaną dla ich pokoju...”

Edziu zaczął przytupywać nogą. Okazało się, że chłopaki nie śpią. Słuchają. Tylko Michał zachrapał. Tadeusz przerwał, zajrzał w kartkę z tekstem, poprawił paski na akordeonie. Przechylił klawiaturę skośnie, tak by widzieć klawisze znacznie węższe jednak od fortepianowych. Przełączył register na barytonowy i szarpnął miechem, powtarzając ostatni wers.

„...Za krew przelaną dla ich pokoju  
Och przelaną tak...”

Dalej śpiewowi towarzyszyło już kilka głosów. Buczeli murmurando,  
bo niby jak mogliby inaczej, tworząc tło dla górującego głosu Tadeusza.

„...Marzyć możemy, że zwyciężymy  
Choć tak z Warszawy wieści złowieszcze  
My prędzej życie niż broń złożymy...  
Duchy przeżyją we wnukach. Jeszcze...”

W drzwiach stanął wartownik Gustaw. Chwilę słuchał zanim się odezwał.

- Zatrzymaliśmy przed leśniczówką jakąś dziewczynę. Mówi, że szuka męża.

Wszyscy wybuchli śmiechem, a najgłośniej zaśmiał się Tadeusz. Gucio speszył się.

- Wygląda na bardzo zmęczoną.

- Wprowadź ją. – Tadeusz odłożył akordeon.

Nieśmiało weszła Barbara. Dostrzegła Tadeusza, rzucając mu się na szyję.

- Gdzie dziecko? – Tadeusz wyrwał się z jej objęć.

- Nie denerwuj się. Jest z moją mamą.

- W Warszawie?

- Nie. W Krakowie. Są u cioci Dziuni. Tam jest bezpiecznie. Domy stoją całe.

A ty? Nie wracasz?

- Jeszcze coś tu mamy do załatwienia.

- Tu w lesie?

- Już tylko w lesie. Chociaż odbiliśmy chłopców z więzienia w miasteczku.

- Jechałaś przez Kielce ?

- Od Kielc szłam na piechotę. Zawsze chciałam być w Puszczy Jodłowej.

- Tak wiem, Żeromski...

- Widziałam po drodze ciężarówki z wojskiem.

- Z jakim wojskiem? – Edzio wtrącił się w rozmowę.

- Z polskim... No...Barbara zawahała się.

- Polskie wojsko to my Prawda chłopaki? - Nikt nie odpowiedział Tadeuszowi.

- Basiu. Siadaj koło pieca. Jesteś cała sina. Zrobię ci coś do jedzenia. Przynoszą nam tu jajka, mleko i chleb. Trochę czerstwy. Adam złamał na nim zęba.

- Adasiu! Pokaż... Zapuścisz węża jak Piłsudski. Jemu wybili ruscy na Syberii. Zapuścisz tak jak on i panienki ze wsi będą cię całować jeszcze chętniej.

- Mnie tam się tylko Irka podoba.

- Mnie też tylko jedna...Prawda Basińko.

Adasiu, zrób to dla mnie. Nastaw wodę. Zobacz czym możemy poczęstować moją żonkę. Zanim się zagotuje muszę jej przedstawić naszą sytuację. Tadeusz chwycił akordeon i zaintonował :

„...Widzisz jak tu mamy dobrze  
Niczego nam nie potrzeba  
Daj nam tylko Panie Boże  
Więcej wiary prosto z nieba...”

Więcej wiary, więcej broni  
 Co ważniejsza jest od chleba  
 Nikt nad nami łez nie roni  
 I Ty na nas się nie gniewaj...”

- Jak mogła bym się na ciebie gniewać? Na was... - wtrąciła Basia
- Basiu, nie zrozumiałaś. To ja Boga proszę, by się na nas nie gniewał. Przy ataku na więzienie w miasteczku zastrzeliliśmy milicjanta i dwóch klawiszy. Nie było innej możliwości. Oni codziennie robili egzekucję.
- Tadziu graj, nie smęć – zachęcał Edzio.
- Już gram dalej, Teraz specjalna zwrotka, którą napisałem dla mojej żony.

„...Słuchaj Basiu, pono nasi  
 Wnet uderzą w tarabany  
 Wódz na białym koniu wjedzie...  
 Ech, do czorta tam z wodzami !

Już nikt nie chce nowej wojny  
 Kraj po starej liże rany  
 Czas pokoju przyjdzie podły...  
 Słuchaj Basiu...Mów co z nami ?

Mów co z naszą będzie Polską  
 Czy znów lat czterdzieści cztery  
 Nim wyrośnie z wnuków wojsko  
 I rozstawi tu kwatery...

Nim komuna szczeźnie, minie  
 Własnym ścierwem się zadławi  
 Polska przetrwa i nie zginie  
 Krzyż niesiemy co ją zbawi .”

Wszyscy milczeli. Zdjęty gwałtownie akordeon wydał jednak swoje tchnienie rozciągającego się miecha. Tadeusz przytulił Basię do siebie.

- Nic nie pojadłaś Basieńko. Połóż się, ledwo stoisz na nogach.
- Nie mogę. Nie zasnę. Mam ci tyle do powiedzenia, a w głowie taki zamęt.
- Mów Basiu, mów. Przede wszystkim... Jak Kasia? Czy mama da sobie radę z nią? Nie karmisz już jej, bo inaczej, by cię tu nie było... Prawda?
- Nie karmię jej już od miesiąca. Straciłam pokarm od chwili, kiedy dowiedzieliśmy się, co z stało się z tatą. Z Gross Rosen pędzili ich w głąb Niemiec... To wiedziałeś. Załadowali ich na statek w Hamburgu. Stali na redzie. Nie wiem co chcieli z nimi zrobić. Nadlecieli alianci i zbombardowali ten statek. Nie wiedzieli, że tam są ludzie z obozów koncentracyjnych.
- Boże. Straszna pomyłka.
- To nie koniec tej tragedii. Wielu rzuciło się do wody i usiłowali dopłynąć do brzegu.
- Ojciec też. ?
- Tak. Pływał świetnie. Przed wojną jeździliśmy nad morze do Wielkiej Wsi Hallerowo

koło Gdyni. Raz przepłynął z Pucka na Hel. Miał szansę. Niestety na od brzegu przywitał ich grad kul.

- Niemcy się mścili...Na bezbronnych ofiarach ich zbrodni.
- To byli chłopcy z Hitlerjugend. Kilkunastoletnie wyrostki. Chcieli jeszcze powojować. Strzelali jak do kaczek. Nikt nie widział jak ojciec utonął.
- Tak mi przykro Basiu. Nieraz czuję jak układa mi rękę na klawiaturze. Na swój sposób go kochałem. Szkoda, że nie zobaczył Kasi. Ona mówi coś? Mama...tata...
- Coś chce nam powiedzieć, ale nie wie co to „tata”. Mówi wyraźnie „dada”, chociaż dziadzia nie poznała i mówi „daj”, kiedy chce mleczka. Rozpuszczamy jej mleko w proszku z amerykańskich paczek, ale aż się boję, co będzie jak się skończy. Władze już nie wpuszczają dostaw do Polski.

Hałas w sąsiedniej izbie narastał. Zajrzał podpity Edzio.

- O przepraszam. Tadeusz, choć do nas. Daj jej się wyspać. Chłopaki chcą, żebyś zagrał ten twój numer, no wiesz...O piecu...
- Może to dobry pomysł Basiu. Połóż się. Ja zaraz przyjdę...
- Nic się nie zmieniłeś. Och Tadziu !

Ściany były drewniane. Barbara usłyszała po chwili prawdziwy partyzancki chór z akompaniamentem akordeonu. Ryczeli, ale nikt nie fałszował.

„...Ech naprawdę dobrze mamy  
Ogień w piecu się rozpala  
A my napaleni sami  
Od miasteczka całkiem z dala...

A w miasteczku panny miłe  
Co za chłopców mają tchórze  
Jak by nas tak zobaczyły  
Spąsowiały by jak róże.

Ej, my tutaj lato, zima  
Pomarzymy sobie jeszcze  
Wesz za dnia nas się nie ima  
W nocy tylko z nią się pieszczę...

I do broni się przytulę  
Co mi leży pod poduchą  
Jak mnie w dołku wezmą bóle  
To mnie koleś trąca lufą...”

- Tadziu, tylko błagam. Nie mów nam, że to też Chopin. Nikt tu nikogo lufą nie trąca – obruszył się Edzio.
- Nie słyszycie, że to mazurek. A tekst...No cóż...Licentia poetica.
- Nie mogę zasnąć Tadziu.

Barbara, w narzuconej na ramiona chuście podeszła do gasnącego kominka. Chłopaki bez słowa pochowali się po kątach.

- Basiu. Wyrzycmy na chwilę na dwór. Tu pełno dymu z kominka i papierosów. Odetchniesz. To ci dobrze zrobi. Tylko ubierz kozuch.

Powietrze było rześkie, chociaż wcale nie było zimno. Księżyc już całkiem blisko pełni

rozświetlał polanę przed leśniczówką. Słysząc było dalekie wycie. Tadeusz uspokoił Basię.

- Tu nie ma wilków. To psy z wioski.

Przeszli obok wartowników.

W leśniczówce rozmowy ożyły.

- Tadeusz to ma szczęście. Baba do niego przyszła. A moja dziewczyna...

- Żeby ta Tadziowa chociaż flaszeczkę przyniosła.

- Mam coś. Irka z wioski to przynajmniej o nas pamięta. Choć jej szwagier to kawał sukinsyna. Do nowej władzy się przykleił. Opaskę założył i posterunek obok kościoła instaluje.

- Adasiu... Czy to od ciebie słyszałem? Ksiądz podobno mówił z ambony, żeby do czasu wyborów nastąpiło pojednanie... I co? Nie ma już księdza. Wywlekli go nocą...

Podobno pod tą amboną miał skład broni.

- E tam... Pojednanie... Niby kogo z kim. Okupanta z nami. Kogo mielibyśmy wybierać? Tych zdrajców z Lublina... Jedną to my się możemy z Panem Bogiem i to jedyne w czym oni nam chcą pomóc... Sami będziecie obciążać tę flaszeczkę?

Dajcie tu, zanim wróci Tadeusz.

- On tak szybko nie wróci. – Edzio odkorkował butelkę. – Ta Basia to niezła... No wiesz...

- Ale Irka...

- Daj spokój. Już niedługo tu posiedzimy. Będą rozkazy. - Adaś spowaźniał.

- Słyszeliście? Te psy szczekają niedaleko. Warta stoi?

- Warta zmarzła i prosi chociaż o jeden łyk...

Seria z pistoletu maszynowego zaterkotała za oknami. Zniekształcony głos

z megafonu z wyraźnym, rosyjskim akcentem zmroził wszystkich i butelkę z alkoholem.

- JESTEŚCIE OTOCZENI! WYCHODITIE Z PODNIMANYMI RUKAMI I

PRZESŁUCHANIA. Wrzesień 1949, Warszawa

Przebiegając palcami po klawiaturze, Tadeusz starał się nie myśleć o niczym. Udawało mu się tak wyłączać świadomość i skupiać pamięć na kolejnych taktach. Terazniejszość już wybrzmiała, a następstwo jeszcze się nie dokonało. W sekundach dźwięki żyły, umierały i rodziły się nowe, a przecież już zapisane w pamięci. Ułamki jego życia. Ożywione po raz setny, także mgnienia życia kompozytora, który ten utwór stworzył. Zapis świadomości kogoś, kto umarł sto lat temu

Tak. Dokładnie tyle lat minęło i przecież ten konkurs, na którym za wszelką cenę chciałby zaistnieć, odbędzie się za miesiąc w zrujnowanej Warszawie. Tak długo czekał na tę możliwość. Na eliminacjach, świadkowie potwierdzili jego tożsamość. Dokumentów z Akademii Muzycznej nie odnaleziono. Grał... Urzędnik z ministerstwa kręcił głową, ale profesorowie nie mieli wątpliwości.

Tadeusz oderwał ręce od fortepianu. Splótł palce patrząc na przebijające spod skóry żyłki. Pomyślał o dłoniach Chopina. Widział taki odlew, a właściwie marmurową kopię odlewu. Były martwe, w odróżnieniu od jego własnych.

- Pozwalam mu żyć na nowo. Tylko wtedy, kiedy gram... Kiedy gramy go, żyje. Jakie to szczęście być wiecznym. Szczęście... A może i ból istnienia ponad miarę... Czy to tylko kod zapisany w nutach? W moim mózgu? We krwi? Wyrażony drżeniem palców biegnących po klawiaturze ?

Te przedłużone ponad miarę pauzy, pozwalały Tadeuszowi przemyśleć nieodległą przeszłość. To wszystko co wydarzyło się w ciągu ostatnich lat, a było przecież dominantą jego młodości.

Powstanie. Narodziny Kasi. Las... Ciągłe powracały wyrzuty sumienia. Jego wyjście z leśniczówki na wieczorny spacer z Barbarą, uratowało im wolność, a może i życie.

Im tak, ale przecież nie wie co stało się z wszystkimi chłopakami. Edzio i Adaś siedzą nie wiadomo gdzie. Gustaw miał niedawno proces. Utajniony. Udowodniono mu szpiegostwo i łączność radiową z Londynem. To bardzo źle wróży, a dobrych wieści nie za wiele...

Rozrastająca się, jak nowotwór w osłabionym ciele Polski, komuna. Jednak to jedno...

Tak szczęśliwe i tak nieprawdopodobne. Ocalenie profesora Dyżewicza, ojca Basi. Jego powrót do kraju i długie wieczorne opowieści, kiedy wszyscy cieszyli się sobą, a Kasia wyrывała się do kolan dziadka.

Kiedy banda młodzików z Hitlerjugend ostrzeliwała ze wściekłością rozbitków ze zbombardowanego statku, płynących desperacko do hamburskiego brzegu, ojciec Basi zawrócił. Nie było to łatwe, bo rozpoczynał się przypływ morza. Uratowała go samotna boja, w którą wczepiony resztką sił przeczekał całą noc modląc się, by nie zasnąć. Na szczęście kwietniowe morze nie było tak chłodne. Ciepleszy prąd omiatał niemieckie wybrzeże. O świcie zdecydował się płynąć w kierunku lądu. Na brzegu stały wojskowe ciężarówki z plandekami. Studebackery, na których były wymalowane białe, amerykańskie gwiazdy. Jeden z żołnierzy wskoczył w mundurze do wody, by wyciągnąć topiącego się człowieka na betonowe nadbrzeże. Ojciec Basi opowiadał to wielokrotnie wszystkim i każdemu z osobna.

-...Zobaczyłem diabła i pomyślałem, że jednak w moim życiu było zbyt wiele zwątpień i niedowierzania, bym po śmierci zasłużył na lepsze miejsce niż czyściec. Ale żeby piekło? Diabeł miał na głowie hełm, a z czarnej jego twarzy pobłyskiwały najbielsze, jakie widziałem kiedykolwiek, zęby.

- He is alive ! Tak powiedział i dlatego tu jestem...

Tadeuszu. Nie martw się. Jeszcze zdążę przygotować cię do konkursu. Palce, palce ! Odłóż natychmiast młotek. Ten wasz ślubny portret zawieszę osobiście. Pokoik mały, ale musicie się pomieścić.

Budynek teatru „Roma” chroniony był przez milicjantów. Autobusik z napisem „Polskie Radio” zacumowany był kablami elektrycznymi do frontonu, na którym powiewały flagi osiemnastu krajów. Spóźnieni goście wchodzili okazując zaproszenia. Podjechała limuzyna rządowa z premierem Cyrankiewiczem. Podobno tylko on zaglądał tu na przesłuchania już po oficjalnym otwarciu. Szpaler tajniaków stworzył żywy korytarz. Wyfraczony dziennikarz, który wciskał się za premierem, zapomniał przepustki.

- Sprawdzimy na liście, ale proszę okazać jakiś dokument.

- Nazywam się Waldorff. Jerzy Waldorff.

Wchodzący juror, profesor Ekier podał mu rękę.

- Bardzo proszę... Wpuście pana redaktora.

Widownia była już wypełniona. Profesor Ekier dosiadł się ostatni do rozległego jak na ostatniej wieczery stołu. Był on oddzielony wielką żaluzją, złożoną z drewnianych elementów, od estrady na której stały fortepiany. W taki to sposób niewidoczni dla jury pianiści mieli wyrównane szanse. Za to publiczność mogła ich podziwiać, poczawszy od drugiego etapu. Pierwszy etap Tadeusz miał już za sobą, ponieważ uczestniczył w przesłuchaniach polskich pianistów, które odbyły się wcześniej na zgrupowaniu w Łagowie Lubuskim. One wyłoniły polską ekipę. Od tego czasu minęły dwa tygodnie. Każdego dnia oprócz wczorajszego, grał pod okiem profesora Dylewicza wiele godzin. Czuł zmęczenie i narastający niepokój. Bolał go kręgosłup. Barbara robiła mu masaże. Jej ojciec mobilizował go do ostatniej chwili. Nawet teraz przy ówczesnym fortepianie.

- Musisz zebrać w sobie całą energię życia jaką posiadasz. Przypomnieć te najlepsze chwile jakich doświadczyłeś, odrzucić złe doświadczenia, odrzucić nienawiść... Pomyśleć o tych, których kochasz. Zrobić to dla nich... Koncentracja przyjdzie sama i wszystko popłynie... Nie powiem- jak z nut... Będziesz grał także dla mnie, jakbyś grał także i przede wszystkim dla Chopina. Przecież te lata, kiedy mogliśmy razem służyć jego muzyce, muszą się spełnić. Jak nie teraz, to kiedy ?

- Masz rację. Dobrze, tato. Dobrze, że jesteś tu ze mną. Modliłem się o twoje zdrowie, o twoje życie prawie każdego dnia. Razem z Basią. Powiedz mi... Ten finał... Sama coda... Forma jest oczywista, ale crescendo ma chyba wyrazić... Mogę to zagrać?

- Teraz? Zagraj ten finał za chwilę. Za parę minut. Na scenie... Z całą mocą !

Ja idę posłuchać cię na widownię. Wiem, jest pełna, ale stanę sobie z tyłu.

Głos spikera był słyszany za kulisami niewyraźnie.

- ...Informuję zatem szanowne jury, że kolejne wykonanie nosi numer 11. Będzie ono rejestrowane w zapisie dźwiękowym. Zapraszamy osobę uczestniczącą, która zagra na instrumencie marki Steinway. Będzie to polonez fis-moll opus 44...

Pośród jurorów, których było więcej niż apostołów na ostatniej wieczery, zapanowało jakieś zamieszanie. Pojawił się Jerzy Lefeld, sekretarz jury, jedyna osoba, która znała personalia uczestników. Podeszedł do spikera, który po chwili obwieścił...

- ...Przepraszam państwa, także radiosłuchaczy... Muszę dla porządku przedstawić jeszcze nową wiceprzewodniczącą jury, znakomitą pianistkę i pedagoga panią Marguerite Long. Reszta jurorów obraduje w składzie niezmiennym. A teraz już słuchamy naszego uczestnika numer...

Tadeusz wszedł pewnie i sam zdziwił się, że już gra. Jak to możliwe, że przestały dla niego istnieć okoliczności tego występu, tej sali, publiczności, ukrytego za zasłoną jury, a liczyła się tylko klawiatura, powiązana z jego mózgiem bardziej niż z rękoma ? Tak było do momentu, kiedy zagrał motyw uparcie kiedyś powtarzany na akordeonie. Nie musiał kontrolować wzrokiem przebiegu palców. To było głęboko wryte w jego pamięć wraz z głosem, który dopisał ponad prawą i lewą ręką w zapisie nutowym. Właściwie z głosami chłopaków, których twarze zobaczył nagle całkiem wyraźnie.

„ Jeszcze za Polski rozdarte serce  
Którego nigdy nikt już nie scali  
Jeszcze za życie w tej poniewierce  
I za śmierć, której na imię Stalin.

Za prawdę, która nie zmartwychwstanie  
Bo ją zakleją plakatów płachtą  
Za to powstanie co trwa skazane  
Za tę modlitwę, co jest ostatnią...

Marzyć możemy, że zwyciężymy  
Choć tak z Warszawy wieści złowieszcze  
My przedziej życie niż broń złożymy  
Duchy przeżyją we wnukach. Jeszcze...”

Te frazy w myślach zrosnięte z głosem, skończyły się równie nagle, jak się pojawiły. Grał w transie aż do potęgującej się cody. Wreszcie z ulgą oderwał się od instrumentu. Schodził ze sceny otępiony, nie słysząc wzmagających się braw. Wpadł w objęcia oczekującej go Barbary. Oprócz niej za kulisami czekało na niego dwóch mężczyzn z identycznymi krawatami. Nie znał żadnego z nich.

- To było wspaniałe wykonanie. Wielkie gratulacje – krzyczał jowialnie jeden z nich. Drugi był jakby zawstydzony. Nachylił się do Barbary.
- Świetnie, świetnie. Wróżę sukces. Czy pozwoli pani, że na chwile porwiemy przyjaciela?
- To mój mąż.
- Och proszę wybaczyć...Jesteśmy zaszczytzeni...To nie będzie długo trwało...

Przy stole jurorów zapanowało ożywienie, skądinąd naturalne w tego typu konkursach. Nawet skupiony zazwyczaj przewodniczący jury, Zbigniew Drzewiecki, wydawał się zaskoczony ostatnim wykonaniem.

- To dziwne. Ta coda...Można by z tego uczynić zarzut. Bardzo podobnie jednak grywał polonezowe cody Artur Rubinstein. Także ,jak dobrze pamiętam, profesor Dyżewicz. Nie zdziwiłbym się, gdyby to był jego uczeń. Profesor siedziałby tu pewnie z nami, gdyby nie to dziwne jego zniknięcie. Mówiono przecież, że wrócił...- Drzewiecki ściszył głos
- Radziecki juror wtrącił się poprawną, ubarwioną tylko akcentem, polszczyzną.
- ...O ile mi wiadomo profesor Dyżewicz, od czasu wyzwolenia waszego kraju przez naszą niezwyciężoną armię, nie zaistniał w życiu muzycznym. Czy w ogóle żyje? Mam przekonanie graniczące z pewnością, że to nie grał wcale Polak, choć może jednak był to Słowianin.

Ta polska szkoła chopinowska, to wasz wymysł.

Oborin nachylił się do przewodniczącego.

- Mieliśmy zapewnienie od towarzysza Bieruta, że docenicie, tak jak na to zasługuje, radziecką pianistykę. To był warunek naszej przychylności dla otwarcia konkursu na świat.. W oczywisty sposób buduje to naszą wieczną przyjaźń.
- O tym będziemy rozmawiać po trzech etapach...- Zachnął się Drzewiecki.

Sekretarz jury podszedł podekscytowany.

- Muszę przeprosić. Mamy małe zamieszanie. Jeden z uczestników przed chwilą wycofał się. Dzwoniono do nas. Chyba ze szpitala, ale to pewna wiadomość.
- Czy on już grał? – Zaniepokoił się Ekier.

- Zaraz sprawdzimy jak formalnie wygląda sytuacja. Drzewiecki podenerwowany zwrócił się do Lefelda.
  - Trzeba ustalić, czy zachowujemy numerację na tym etapie. Słyszeliście państwo? Mam nadzieję, że ten ktoś jeszcze nie grał... To byłaby prawdziwa szkoda.
- Profesor Stompke podniósł głos.
- No, to nie może tak być! Musimy mieć jakieś potwierdzenie, jakieś dane...
- Lefeld natychmiast odnalazł się w swojej roli.
- To właśnie jest nierealne. Wszelkie dane personalne są dla państwa zastrzeżone. Po zakończeniu tego etapu ogłoszona zostanie lista zakwalifikowanych dalej.

x x x

Secesyjna willa przy ulicy Strzeleckiej nie była oznaczona numerem posesji. Na parterze obu mężczyzn w jednakowych krawatach podmienił jeden żołnierz z pistoletem maszynowym. Wchodzili na pierwsze piętro. Tu Tadeusz został energicznie pchnięty w obite skórą drzwi. Nikogo nie było wewnątrz, więc mógł się rozejrzeć. Nad wielkim biurkiem wisiały dwa portrety. Stalina rozpoznał natychmiast. Ten drugi miał wąsik nie większy niż Hitler. Za biblioteką w stylu gdańskim były jednak jakieś drzwi, z których wyłonił się mężczyzna drobnej postury. Nie mógł mieć więcej jak trzydzieści lat. Na naramiennikach miał jednak dwie belki i gwiazdkę.

- Zapraszam. Proszę siadać. Słyszałem, że występ był bardzo udany.
- Tadeusz milczał i właściwie nie był zdolny o czymkolwiek myśleć.
- Proszę się nie denerwować. Szanuję pański talent. Wiele o panu słyszałem. Chciałbym tylko uzupełnić tę wiedzę... Podobno brał pan udział w powstaniu. Czy tam było więcej artystów? Jeśli tak... To by tłumaczyło dlaczego przegraliście tak sromotnie. Walczył też pan w Kampinosie... Czy stąd ta blizna na policzku?

Milczenie Tadeusza zdawało się nie irytować majora.

- Niech ta rozmowa będzie satysfakcjonująca dla nas obu. Mam o panu dobre zdanie i chciałbym przy takim pozostać. Pokazano mi pańską małżonkę. Zazdroszczę. Piękna. Słyszałem, że także gra. Moglibyśmy zaaranżować takie spotkanie towarzyskie z muzyką dla znakomitych gości. Nasz generał uwielbia Czajkowskiego. Ja zresztą także... ten koncert... Pa, pa, pa, pa... Tam, tam, tam... Chociaż my kochamy Chopina. Prawda? Co pan na moją propozycję? Nie musi pan teraz odpowiadać. Tymczasem mam dla pana niespodziankę.

Major wyciągnął spod biurka akordeon.

- Trochę też na tym gram, no, ale nie tak jak pan tam w Górach Świętokrzyskich. Tu mamy pańskiego wiernego słuchacza z leśniczówki. Nie wszyscy przeżyli oczywiście... Nie potrafię ich szczerze żałować, bo mojego starego przyjaciela zabrali wtedy ze sobą do nieba. Panu się wtedy udał spacer. Można by rzec... Spacer życia z bandycką kurwą... Tadeusz rzucił się na majora. Nie zdążył doskoczyć. Żołnierz, który w międzyczasie dyskretnie powrócił do gabinetu, złapał go za nadgarstki usiłując założyć kajdanki.
- No wreszcie. Już myślałem, że usnąłeś na stojąco. Wywijałeś się ptaszku. Nie daj Bóg, wygrałbyś ten konkurs i co wtedy... Byłby międzynarodowy skandal. Samobójstwo laureata, czy coś w tym rodzaju... Borys! Pomóż mu usiąść.

Major podsunął osuwającemu się na ziemię Tadeuszowi krzesło od gdańskiego kompletu.

- Kapral źle mnie zrozumiał. Przepraszam. Teraz artysto słuchaj uważnie... Więksi od ciebie muzycy mieli kłopoty... Taki Rachmaninow na przykład. Musiał spierdalać na saniach do Finlandii...Aaaa...Dziwisz się, skąd to wiem? Wiem o wiele więcej. Studia w Moskwie, przyjacielu. Wykształcenie to podstawa i my tego nie zaniedbamy. Wasze elity zdechły, albo za chwilę zdechną. Takie są wyroki historii. Ja już mądrzejszy nie będę, ale moje dzieci...Będą znały nie tylko „Kapitał” Marksa i historię WKPB. Będą grały, śpiewały, tańczyły, ubierały się w Paryżu i mówiły kilkoma językami. Będą podróżowały daleko. Wy, najwyżej w jednym kierunku. Na Syberię...Jak dobrze pójdzie, bo na moje rozeznanie, to was czeka czapa...Nie wierć się jak do ciebie mówię. Wstań!...Zresztą siadaj tam... Do pianina...
- Kapralu odkręćcie mu ten stołek niżej, bo tu dziecko wcześniej grało... Kurz! Zetrzyjcie kurz z klapy... No śmiało artysto. Publiczność wam nie odpowiada? Ja jestem prawdziwym melomanem, a i kapral chętnie posłucha.
- Odkręćcie mu jeszcze i podłóżcie poduszczkę. Tak. Tę z mojego fotela... Taki wysoki, chudy, to i dupę ma kościstą. Ale paluszki...Jak u księżniczki. Białe i delikatne. Trochę przydługie. Prawdziwej roboty nie zaznały. Patrzcie na moje. Pokancerowane, co? Trochę się naharowałem w życiu. Niejeden tą pięścią dostał w mordę. Teraz po dobroci proszę jeszcze...Zagrajcie coś przepięknego. Co tam graliście na konkursie? No...Dalej!

Tadeusz zdjął poduszkę ze stołka, usiadł i chwycił się obu rękoma za głowę, jakby rozważał w myślach cały swój repertuar.

- Może być mazurek?
- O tak! Towarzysz Stalin wyraził to dobitnie...Sztuka może być narodowa w formie, ale w treści...No, wiecie jaka...

Ręce Tadeusza opadły gwałtownie na klawiaturę. Zaczął grać mazurek Dąbrowskiego „Jeszcze Polska nie zginęła...” Major powoli, krok po kroku, w rytmie muzyki, zbliżył się do grającego. Wydawał się być zasłuchany w kolejną frazę hymnu.

Nagle z całą siłą zatrzasnęła klapę pianina. Tadeusz zdążył cofnąć lewą rękę. Strużka krwi wypłynęła spod klapy i ściekła pod pianino..Omdlały osunął się na podłogę.

- Kapralu ! Zmyjcie te klawisze. Wołaj dyżurnego i znieście artystę do celi na parter. No już, bo się wyrzygam!
- Felczera też wezwać?
- Bez przesady. Klawisze mają być zmyte dokładnie. Do białości !
- Czarne też ?

x x x

- ...Wreszcie pozwólcie państwo, że ogłoszę najważniejszą decyzję. Otóż przedstawione przed chwilą jury Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego imienia Fryderyka Chopina po wysłuchaniu w konkursowym finale dziewiętnastu osób z sześciu państw, postanowiło przyznać pierwszą nagrodę Halinie Czerny Stefańskiej z Polski, oraz ex aequo, pianistce reprezentującej ZSRR...
- Burzliwe oklaski na widowni Teatru Roma pomieszały się z pojedynczymi gwizdami.
- Dodać jeszcze chciałbym, że specjalna nagroda została przyznana za wykonanie Poloneza fis-moll opus czterdzieste czwarte, radzieckiemu pianiście...
- Teraz już gwizdy zagłuszyły na dłuższą chwilę odczytywanie werdyktu.

Miara czasu? Tu żaden zegar nie tykał. Pobudka. Spacer. Tydzień nie kończył się niedzielą. Tadeusz przyłożył rękę do wydrapanej na parapecie klawiatury. Za okratowanym oknem widać było nagie jeszcze gałęzie starego kasztana. Pomyślał, że ta krata jest wielkim krzyżykiem na jakiejś niepojętej pięciolinii i oznacza dokładnie tonację w jakiej powinien zagrać. Lewą ręką przebiegał sprawnie klawisze, choć brakowało mu odpowiedniej różnicy pomiędzy czarnymi i białymi. Próbował także przesunąć śmieiej prawą rękę i nie sprawiało mu to bólu, a tylko z trudem powstrzymywał się od przekleństw. Lewa dłoń dudniła z mocą po parapecie. Nagle zdało mu się, że słyszy podobny odgłos dochodzący zza ściany. Tak jakby ktoś go naśladował, albo przedrzeźniał.

- Zagoiło się? -

Michał nie był dobrej myśli, widząc kikut serdecznego palca Tadeusza. Pozostałe palce prawej dłoni też nie wyglądały dobrze.

- Nie bardzo. Gdyby od razu poskładano mi palce...Zrastały się krzywo. O graniu mogę pomarzyć. Widzisz, próbuję trochę rozruszać stawy. Jeden palec, może dwa...Butów pewnie też nie zasznurowuję...

- Dlatego nie masz sznurowadeł.

- Jeszcze byś się na nich powiesił - wtrącił Piotrek, którego tu wrzucili przed tygodniem zmasakrowanego, bez paznokcia.

- Tak, czy owak, mnie powieszają.

- Prędzej rozwalą. Byłeś żołnierzem. - Michał uznał ten argument za pocieszający.

- Byłem bandytą.

- Chyba ci uszkodzę drugą rękę...

- Nawet bez obu rąk...Ja będę nadal grał.

Teraz wybuchli śmiechem wszyscy, także Tadeusz.

- Musicie mnie zrozumieć. Muzyka jest we mnie tak jak miłość i śmierć.

Tę pierwszą zaznałem. Tej drugiej niebawem doznam. One przychodzą pewnego dnia. Nagle...A muzyka jest zawsze. Przez cały czas. Kiedy śnię i kiedy się budzę w tej wilgotnej norze. Tyle, że raz jest pauzą, wyciszeniem, a innym razem wybucha jak wulkan. Doświadczam tego w dobrych i złych chwilach. Masz więc rację.

Nie jestem bandytą, choć wyklęto mnie tak samo jak was.

- Zazdroścę ci. Będziesz pewnie słyszał muzykę po śmierci. A my? A oni?

Michał wskazał na wydrapanie na ścianie imiona i daty.

- Na pewno słyszą pauzę .

Pukanie zza ściany było teraz wyraźne.

- To dziewczyny. One nie wytrzymują. Bez mężów, bez chłopaków, bez ciuchów.

Czy wiecie, że nie zaopatrują je nawet w środki higieny. Raz w miesiącu krwawią w sienniki.

Michał zastukał w ścianę z całą mocą. Odpowiedź była natychmiastowa.

- Słyszycie. Już chyba lepiej być mężczyzną

..., Ej, my tutaj lato, zima

Posiedzimy sobie jeszcze

Wesz za dnia nas się nie ima

W nocy tylko z nią się pieszczę..."

- Nie fałszuj Michał. Słowa jak słowa...Ale muzyka. Wtedy miałem chociaż akordeon. Była jakaś nadzieja...

Szczęk drzwi przerwał wspomnienie. Ukazał się w nich klawisz, a za nim... Wysoki mężczyzna w mundurze podoficera KBW. Twarz wydała się Tadeuszowi znajoma. Brakowało jej tylko zarostu.

- Adaś, kurwa...Adaś..

Michał rozpoznał go natychmiast. Piotrek nie mógł go znać z leśniczówki.

Adam poprawił kaburę i rozejrzał się po celi.

- Osadzony...

Zwrócił się do Tadeusza z kamiennym wyrazem twarzy, tak jakby go nigdy w życiu nie widział. Ani jego, ani Michała, ani...

- Tak. Wy ! Nie zabierajcie rzeczy. Założyć osadzonemu kajdanki !

A do was zaraz trojka przyjdzie osądzić. Zróbcie tu klar!

Korytarz wydał się Tadeuszowi najdłuższą drogą w życiu. Rozwahał, czy nie rzucić się na Adama i nawet dać się zastrzelić. Potem zdawało mu się, że stopy nie odrywają się od posadzki, a przecież skute miał tylko ręce. Wyszli na zewnątrz. Patrzył na obłoki, jakby chciał je zapamiętać na zawsze. Przed bramą stał wojskowy gazik. Jechali przez Warszawę pośród wyjących syren. Teraz pomyślał, że zaczyna się trzecia wojna światowa. Nalot. Może więc to jeszcze nie koniec. Most przez Wisłę był odbudowany. Praga. Strzelecka. Nie. To niemożliwe.

Tu już był. Ta sama willa. Ten sam gabinet. Pianino. Ten sam major...No nie.

Coś się jednak zmieniło. Majorowi przybyły dwie gwiazdki, a portret Stalina...

...Przetrzyjcie przy okazji z kurzu...Kapralu...Zero rozumu i poczucia estetyki !

Czarna szarfa nie może przesłaniać twarzy. Powieście to w końcu, zanim ja was powieszę i rozkujecie naszego gościa.

- Już wiecie. Towarzysz Stalin nie żyje. To wielka strata dla ludzkości...Prawda artysto? Nie musicie odpowiadać. Tego dnia powinniśmy sobie wiele wybaczyć. Jestem nawet gotów wybaczyć wam te stukania do więźniarki. Miała wyjść, a tak posiedzi sobie w karczerze. Co chcieliście jej przekazać? Informacje dla Londynu? Nie macie szans. Was już tam nikt nie słucha.

- Pan pułkownik znowu chce mi coś wybaczyć...Niestety, żal mi serca nie ściska. Może tylko taki, że nie przyłożyłem ręki, do tej śmierci. Żałobnego marsza Chopina też nie zagram, bo nie wystarczy mi palców.

- Jak śmiesz ! Zamilcz ! Mam kogoś kto zagra. Jak poćwiczycie...Kapralu przyprowadźcie Aleksandra. Na szczęście sobie o was, artysto, przypomniałem. Czeka was praca pedagogiczna. Tak, tak...Poznajcie mojego synka, a właściwie maminsynka, bo matka rozpuściła go jak dziadowski bicz. Jednak obrzezać go nie pozwoliłem. Ma być Polakiem. Porządnym oczywiście. Nie takim jak wy skurwysynem. Tylko spokojnie, bo każę zaraz zakuć was z powrotem. Dobrze już...

Przecież nie znałem waszej matki, a kobiety, sami wiecie, są różne...

Ta zza ściany raz dostała w pysk i sypnęła was. Treści, powiem szczerze, nie zrozumiała chyba, ale wasz upór ją zdumiewał.

Aluś. Siadaj do pianina. Pokaż co potrafisz.

- Tato. Czy ty musisz panu mówić takie rzeczy?

- Ile on ma lat? – Tadeusz starał się odwrócić uwagę od swojej sytuacji.

- Dziesięć mam...

- No jeszcze nie ma. We wrześniu będzie miał. Drugiego września.

- Aleksandrze. To ważna data. Moja córka ma urodziny drugiego sierpnia.

W tym roku skończy dziewięć... Od kiedy grasz?

- Od trzech lat. Od razu do szkoły muzycznej poszedłem, jak tylko ją otworzyli. Mama tak bardzo chciała, żebym grał... Teraz to już nawet to lubię.
- Zagraj nam coś wreszcie synu. Tego, no Mocarta. Marsz turecki !
- To gram z panią na cztery ręce. Nuty stoją, ale...
- No widzisz. Przez ten wypadek razem nie zagrać.
- Przez ten wypadek? Możemy spróbować na trzy ręce. Zagraj Alku swoją partię, a ja się przymierzę.

Tadeusz przysunął krzesło do pianina. Słuchał przez chwilę wstępu i naraz przytrzymał delikatnie dłoń Aleksandra.

- Jak grasz, przedramiona nie mogą być sztywne. Rozluźnij je. O tak! Ładnie czytasz nutki, ale tu widzisz, jest napisane stacatto, czyli... O właśnie. To wcale nie taki prosty utwór. Także dla mnie. Spróbujmy od początku.
- Właśnie artysto! To twoja ostatnia szansa. Do pierwszego maja... Och, nie... Do lata ma grać marsz żałobny. Jeszcze nie wiadomo kto umrze. Czasy nie są pewne. Waszego pogrzebu też bym nie wykluczał.

Koła pociągu dudniły po moście. Zardzewiała konstrukcja przesuwiała się przed oczyma Tadeusza, przecinając taflę dużej rzeki ujętej w kamienne karby. Chciałby, żeby to był Wisła, ale i tak cieszył się głębokim oddechem wolności. Tego dnia, może już za godzinę, zobaczy swoich najbliższych. Barbara z Kasią za namową rodziców, choć oni już sami nie potrafili żyć gdzie indziej, przenieśli się do Wrocławia, licząc na spokojniejsze życie. Urwały się nierzadkie w Warszawie wizyty bezpieki. Była szansa na stałą pracę, na szkołę, w której nie wytykano by Kasi, że jest córką bandyty. Tadeusz na ostatnim widzeniu też namawiał je na taką zmianę. Obiecywał dojechać jeśli tylko go wypuszczą. Tymczasem jego kilkunastoletni uczeń uczynił duże postępy, choć wydawało się, że nuży go muzyczna klasyka. Być mogło, że w tym właśnie tkwiła przyczyna dalszego osadzenia. Choć tych spotkań z Alkiem było coraz mniej, to on właśnie wstawiał się u ojca, aby ułatwić jego nauczycielowi zwolnienie z więzienia. Właściwie ci, którzy przeżyli z jego współwięźniów, skorzystali już z amnestii. Jemu ciągle zarzucano kontakt z Londynem. To było znamię gorsze niż leśna wojna z komuną. Mityczny świat zachodu, Europa, Ameryka, jak burzowe czarne chmury zawisł nad liżącą się z ran Polską. Miał jej zagrażać każdego dnia. Tak informowały nagłówki gazet. Jednak przecież jechał od wielu godzin na zachód. Patrzył teraz jak pasażerowie z jego przedziału ściągali z półek wielkie walizy. Sam miał tylko zszyty w celi z brezentu plecak i przeszywającą go na wskroś tęsknotę za bliskimi.

Dworzec Nadodrze. Miasto ujawniło się odartymi z tynku, rannymi murami kamienic. Zamalowane niezdarnie niemieckie napisy przebijały się, jakby szydząc z takich jak on przybyszy. Do tego dziwne uczucie lęku powstrzymywało go od spotkania z rodziną. Chciałby tam biec nie czekając na żółty tramwaj, a kiedy ten w końcu podjechał, nie wsiadł. Ruszył na piechotę w kierunku centrum ulicą, której nazwa zaczynająca się imieniem Józefa była świeżo zamazana. Nie był to zapewne święty Józef, a tym bardziej Józef Piłsudski. Białą farbą dopisano „Bohaterów Węgierskich”.

Tadeusz nagle poczuł głód. Zachłyśnięty wolnością nie jadł niczego od bez mała doby. Nie może przecież rzucić się na jedło w chwilę po przywitaniu. One przecież nie są wcale przygotowane na jego powrót. Może mają pustą spizarkę, a sklepy już pozamykane. W zapadłym szybko zmroku zapalały się okna mieszkań. Skreślił na plac, skąd dobiegała muzyka. Plac nie zmienił nazwy. Engels nikogo osobiście nie zamordował. Co więcej, domagał się niepodległej Polski, zwłaszcza po krakowskiej nieudanej rewolucji w 1846 roku. Jego pisma zebrane, to jedna z niewielu ksiązek, które w więzieniu były dostępne. Jednak był współtwórcą komunistycznego manifestu. Czy mógł przewidzieć jak teoria się zmaterializuje milionami ofiar, z których Tadeusz, tak niewiele brakowało, byłby jedną? Nie o tym myślał, kiedy zauważył szyld SYRENA. Czy to restauracja, czy kawiarnia? Sentymenty warszawskie, czy sygnał ostrzegawczy?

Kuchenne zapachy zawładnęły jego zmysłami. Miejsca przy stolikach były zajęte. Usiadł niepewnie przy barze, obok czarnowłosej, młodej kobiety w wieczorowej sukni. Wydała mu się piękna jak madonna Rafaela. Dopiero, gdy zerkając ukradkiem na jej twarz, dostrzegł sine obwódki pod oczyma i pierwsze zmarszczki w powtarzającym się uśmiechu, poczuł jej rzeczywistą obecność. Nie zwracała na niego uwagi. Zajęta była rozmową z barmanem. Może zresztą był to właściciel lokalu, bo zachowywał się pewnie, a nawet nonszalancko.

- I co pani Alicjo? Znowu nie przyszedł?
- Słaby był. Oddał krew na tych Węgrów...

- Zapił. Zapije się na śmierć.
- Jakby pan całą rodzinę stracił w powstaniu, to też...
- W którym powstaniu?
- Czy to nie wszystko jedno?

Od stolika podniósł się otyły klient i lekko zataczając się podszedł do baru.

- Całuję raczki...Pani dziś nie śpiewa?
- Nie ma pianisty.
- Przecież grali dopiero co...
- A tak, ale ja z akordeonem nie zaśpiewam.
- Proszę jakie wymagania...
- Ja bardzo lubię ten instrument, ale musiałabym zrobić wcześniej próbę.
- No wie pani...Moglibyśmy razem zaśpiewać. Takie ładne piosenki grają teraz w radio, a nawet słyszałem koło dworca w megafonach. O...Czerwony autobus po ulicach mknie...

Zna pani to?

- Czerwone maki...Mogę zaśpiewać sama. A capella...
- Słyszałem raz...W radio...Nie, nie...Sam nie wiem gdzie to słyszałem. To takie smutne.
- ...Ale czerwone ! Nie pasuje? Inne śpiewam tylko z pianistą.

Grubas machnął ręką i wrócił to stolika.

- Nuty pani ma? – Tadeusz wtrącił się w rozmowę.
- Mój pianista grał szlagiery bez nut.
- Wie pani...Ja nie znam tych nowych piosenek.
- Był pan za granicą ?
- Można by tak powiedzieć.
- Rozumiem. Ja też byłam.
- Na zachodzie, czy na wschodzie?
- W Warszawie. Getto...
- Przepraszam.
- Za co? Śpiewałam ...W getto był taki lokal...„Casanova”.
- Pan nie wie...Początek nie był taki zły...Niektórzy wierzyli, że ten mur nas ochroni.
- Przed czym? Od kogo? Jak się pani uratowała...
- Należałoby spytać- kto mnie uratował...
- Zapytam, więc...
- Ci, od których miał nas chronić ten mur.
- Miała pani szczęście.
- Mama i tatuś też się wydostali za mur. Do Treblinki.
- Jest pani sama?
- O nie! Mam synka. Męża też miałam. Rozeszłam się...
- On dużo mógł. Pomógł mi, ale potem...Teraz utrudnia mi kontakt z synem.
- Nie pozwala mu wyjechać z Warszawy. Jeszcze nie jest pełnoletni.
- Po co ja to panu mówię?
- Proszę...Przez parę lat słuchałem tylko mężczyzn.
- Pan gra, prawda ?
- Zdarzało się.
- Chciałabym kiedyś zaśpiewać to...
- Mam nuty, ale nie ma tekstu. Chodzi to za mną...

Tadeusz pokazał jej pokiereszowaną rękę.

- Ojej! Teraz ja przepraszam.
- Proszę pokazać te nuty...To przecież Chopin.
- Kiedyś to grałem bez trudu...Chyba miałbym kłopot.

A jaki pani ma głos, skalę, barwę?

- Proszę posłuchać.

Rozejrzała się po sali i czystym altem zanuciła, a właściwie zaśpiewała, przeciągając mocno frazę.

- Czerwone maki na Monte Casino...

Zamiast rosy piły polską krew...

Mężczyzna za barem natychmiast zareagował.

- Pani musi takie piosenki śpiewać? Tu różni przychodzą, a ja mam przedłużyć koncesję. Wie pani jak oni prywaciarzy traktują... Barek na dworcu już mi zamknęli.

- Już nie śpiewam. Finito. Niech pan go udobrucha, panie...

- Mam na imię Tadeusz.

- Alicja... Zagra pan tego Chopina. To chyba wolno...

- Pani Alicjo. Boję się iść do domu, ale już muszę...Nie byłem z rodziną prawie siedem lat.

- ... I nic pan nie zjadł. Mają świetne flaczki.

- Siedem lat...Pani rozumie...

- Chyba rozumiem. Niech pan tu jeszcze zajrzy. Na pewno mielibyśmy sobie wiele do opowiedzenia. Mój synek...Tak bardzo bym chciała, żeby pan posłuchał jak on ładnie gra...Na fortepianie.

Tadeusz doszedł na piechotę do Rynku. Palilo się tu kilka gazowych latarni, których wątle światła migotały poprzez rusztowania jak poświata księżycy w pozbawionym liści lesie. Takie miał skojarzenie. Obrazy ze świętokrzyskich lasów, z Jodłowej Puszczy powracały uparcie. Doszedł do placu PKWN. Tu było jaśniej, odczytał więc tabliczkę z nazwą. Nie kojarzył co oznaczał ten skrót, ale podejrzewał, że ma to związek z komunistyczną władzą. Reflektory rozświetlały teren budowy, a nawet ramię dźwigu przesunęło się tuż nad jego głową. Przystrojony, o dziwo, białą-czerwoną flagą gigantofon umiłał pracę snującym się robotnikom, rycząc patetyczną, masową pieśń. Rozglądał się, w którym miejscu odchodzi z placu ulica Grabiszyńska i mimo woli słuchał.

- ... Mimo późnej pory nie milknie aplauz po wystąpieniu pierwszego sekretarza PZPR... Ten skrót nie był mu już obcy.

-...Warszawiacy gremialnie podchwycili tę wspaniałą pieśń... -

relacjonował bardzo emocjonalnie głos spikera.

Rzeczywiście słyhać było refren „Międzynarodówki” intonowany przez niewiele głosów wzmocnionych mikrofonami. Jednak równocześnie inna pieśń rozbrzmiała w tle i nie było wątpliwości, że podchwycił ją tłum. Tadeusz stał nadal, coraz bardziej zdumiony. Przez chwilę dwie pieśni zmagaly się ze sobą jak walczące o życie stwory, ale mimo wsparcia tej pierwszej dętą orkiestrą, śpiewny pomruk tłumy rósł i zagłuszył wszystko.

-...Marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi włoskiej do Polski...

Relacja z placu została stopniowo, ale skutecznie wyciszona, a głos spikerki, już na pewno ze studio, zabrzmiał z kameralną życzliwością.

-...Zapraszamy teraz radiosłuchaczy do wysłuchania muzyki Fryderyka Chopina.

Grać będzie wielka pianistka radziecka Bella Dawidowicz. W programie wysłuchamy... Tadeusz znowu nie poczekał na tramwaj i ruszył ulicą Grabiszyńską w kierunku dzielnicy Oporów. Tam przecież, w ponemieckiej willi, wynajmują dwa pokoje Barbara i Kasia.

- To w końcu nie może być tak daleko, a jakiś tramwaj może podjedzie po drodze -

myślał idąc pośród ciągnących się po obu stronach szpalerów gruzów. Tramwaj z numerem „4” minął go między przystankami. Był pełny. Nawet na stopniach wisieli młodzi mężczyźni. Może skończył się jakiś mecz na stadionie miejskim. Gdyby podbiegł może udałoby mu się wsiąść. Był jednak już mocno zmęczony, kiedy dotarł do ogromnego parku.

Po dłuższej chwili zorientował się jednak, że ceglany mur odgradza po obu stronach ulicy rozległy cmentarz. Tu zresztą była także pętla tramwajowa. Tramwaj nie dojeżdżał do willowej

dzielnicy i około kilometra trzeba było przejść między cmentarzami. Mżawka zmusiła go do wyciągnięcia z plecaka wojskowej peleryny kupionej jeszcze na warszawskim bazarze. Ledwo założył kaptur dostrzegł dwie postacie, stróżujące jak anioły, na mostku, przez który musiał przejść.

- Ech! Grażdanin ! Kuda idiosz ? Imiejesz diengi?

Tadeusz natychmiast wsunął gwałtownym, demonstracyjnym gestem prawą rękę do kieszeni i krzyknął jak mógł najgłośniej ...

- Ruki w wierch !

W kieszeni miał tylko blaszaną, cylindryczną latarkę. Duchy zniknęły, jednak z głośnym tupotem podkutych butów po mostku. Podekscytowany wszedł w uliczki pomiędzy willami. Kołtąta 14. Ten adres znał na pamięć. Numer na furcie był oświetlony. Dwa ogromne jałowce przed gankiem pachniały mokrą żywicą. Nacisnął klamkę. Przez drzwi na ganku wymknął się wypuszczony do ogrodu biały pies. Nieśmiało wszedł na parter i zapukał w drzwi nad którymi zawieszona była Matka Boska Ostrobramska.

- Zaraz, zaraz...Proszę wejść.

Tyłem odwrócona kobieta stała na stołeczku przy białym kredensie. Talerze z hukiem posypały się na podłogę, rozbijając się na kawałki.

- Boże! Jesteś. Wreszcie.- Barbara z trudem utrzymała równowagę..

Kasia tuliła białego psa z całej siły, aż pisnął zdeorientowany, nie poczuwając się do winy.

- Nie zrób mu krzywdy córeczko. Nie zrób mu krzywdy...- wyszeptał Tadeusz.

Przez cały tydzień Tadeusz wychodził tylko z Daisy, czyli białą labradorką, do ogródka. Popołudniami Kasia, która z ulgą rzucała w kąt tornister, wyprowadzała ojca przez dziurę w parkanie na dzikie alejki, które ciągnęły się za ogrodami. Tu można było Daisy spuścić ze smyczy. Niekiedy szli dalej, nad rzeczkę Słężę, która płynęła między szuwarami i po listopadowych słotach rozlewała się na pola.

- Ona wypływa ze świętej góry Słowian, Słęży. – objaśniała Kasia. Pani mówiła nam, obrzędach, które tam czyniono, czcząc Światowida.

- To naszego Boga tu nie było? – pytał prowokacyjnie Tadeusz

- Był, ale znacznie później. A potem był bóg niemiecki...

- Niemiecki...To jaki on był...

- Niedobry. Na pewno niedobry. Jak by był dobry nie pozwoliliby tak męczyć mojego dziadka w tym obozie...

- W Gross Rosen.

- O tym pani też nam mówiła.

- Mądra pani. Ale z tym Bogiem to trochę jest inaczej.

- To możliwe. Pani już w naszej szkole nie pracuje.

- Dlaczego?

- Nie wiem, ale mówiła nam, że Rosjanie nie męczyli tak Polaków...

- Tak mówiła?

- Tak. Tylko, że ich szybko zastrzelili w tym ...Katyniu? Pani nam to mówiła po cichu, ale potem rozpląkała się głośno. Wybiegła z klasy. Następnego dnia przyszedł pan dyrektor i powiedział, żebyśmy się nie martwili, bo będziemy mieli nową panią. Lepszą.

- I ta nowa jest lepsza ?

- Jest dobra. Mówiła, że będzie coraz lepiej. Możemy wszyscy wstąpić do harcerzy. Tylko tej co była mi żal.
- A skąd pan dyrektor wiedział co ona mówiła?
- No nie wiem. Tato Włodka był u pana dyrektora wcześniej. Może Włodek coś mu powiedział. On taki przemądrzały jest.
- A skąd wiesz, że to był ojciec Włodka?
- Bo on już raz był wtedy jak Włodka koledzy zbili. Mówili, że on kapie.
- Może kapuje?
- Tak. Właśnie tak. Zresztą on teraz jest drużynowym w harcerzach.
- A ty wstąpisz do nich?
- Przecież wiesz. Ja chcę dalej grać na fortepianie. Chodzę do pani Jarosińskiej trzy razy w tygodniu. Ona mówi, że naprawdę mam talent. Miałabym zmarnować to co mnie nauczyła. Chcę grać tak jak ty.
- Może tak jak grałem kiedyś. Pogramy razem... Na trzy ręce.
- Tato ! Pani Jarosińska znalazła taki utwór tylko na jedną rękę. Dla mnie za trudny, ale ty...
- Pamiętasz kto go skomponował?
- Nie. Wiem, że to było dla takiego pianisty co stracił rękę na wojnie.
- Tak córeczko. Są takie utwory. Ravel skomponował na lewą rękę koncert fortepianowy dla Paula Wittgensteina, Austriaka. On rzeczywiście był wojennym kaleką, a ja... Ja jestem kaleką powojennym. Ech, kochanie... Pożycz te nuty koniecznie.

#### FORTEPIANO.

Tadeusz wiedział, że musi zdobyć dla Kasi instrument. W ponemieckich willach musiało być wiele pianin, a nawet fortepianów. To niepojęte jak naród tak muzykalny, a więc w pewien sposób wrażliwy, dał się opętać obłądną ideologią. Czy mieli w genach tą barbarzyńską, germańską pogardę dla obcych, zwłaszcza mieszkających na wchód od Odry. Tu zadomowili się na dobre dopiero w czasach pruskich, zbudowali kamienice, pałace i kościoły. Te ostatnie na fundamentach piastowskich świątyń. Budowali przez wiek, a burzyli w ciągu nocy, poczynając od podpalenia żydowskiej synagogi. To fakt, że zabytki padały ofiarą bombardowań w czasie Festung Breslau. Potem jednak wycofując się z miasta wysadzali i palili wszystko. Jak w Warszawie. Wielokilometrowa ulica Grabiszyńska, która wiodła z Oporowa do centrum, była burzona przez Niemców dom po domu. – Tadeusz nie mógł tego pojąć, kiedy próbował oswoić się z miastem po tygodniu bezruchu, do czego tak przyzwyczaiła go cela.

Skierował się na Plac Nankiera, który był sercem handlowym Wrocławia. W straganach można było dostać wszystko co dało się zjeść i czym można się przyodziać. Pomiędzy straganami snuli się także szabrownicy i oszuści. Grano w trzy karty. Oferowano starocie. Tu właśnie zobaczył to cudo. Prostostrunny instrument marki „Green”. Stało to fortepiano na czterech, nieco beczkowatych nogach i służyło raczej jako lada do wystawienia małych bibelotów.

- To gra?
  - A ja panie nie wiem. To kuzyn tu przywiózł i już stoi drugi tydzień. Jak się zwijamy to przykrywamy go ceratą, a i tak zawsze ktoś zagląda do środka.
  - Mogę?
  - No wie pan... Pan nie kupi, a ja to wszystko muszę ściągać.
  - Jak będzie tanio, to wezmę. Choćby na stół się przyda. Ściągaj pan to.
- Po podniesieniu klapy okazało się, że klawiatura z kości słoniowej jest do trzech czwartych długości.

- Nie ma ośmiu oktav.
- Nie znam się.

Wspaniała, choć zanieczyszczona intarsja zdobiła fronton nad klawiaturą. Podniesiona, dwuczęściowa kłapa odsłoniła zaśnieżone struny. Żadna z nich nie była zerwana.

- Zagra pan coś?
- Po co? Ja go biorę. Zresztą nie potrafię grać. Ile?
- O panie! To zabytek. Któż wie ile wart?
- A za to ?

Tadeusz ściągnął z ręki szwajcarski zegarek marki Atlantic, który dostał za wygrany konkurs pianistyczny w Łodzi, tuż przed wojną. Chwyciło. Ustalili jeszcze dodatkową opłatę za transport na Oporów.

- Zadatek by się przydał.
- Może być ?- Tadeusz odzepił od zegarka srebrny pasek.- Tylko na gumowych kołach przywieźcie. Błagam, bo inaczej się rozleci.

Zadowolony z siebie, poszedł dalej w kierunku Ostrowa Tumskiego, który straszyl ciągle ruinami Najświętszej Marii Panny i katedrą ukrytą w rusztowaniach. Wysoko, pod strzelistą wieżą kościoła Świętego Krzyża wypatrzył piastowskiego orła wykutego w kamieniu, którego nikt pewnie nie odważył się strącić stamtąd przez dwa stulecia.

- Dziewiętnasty wiek, dziewiętnasty wiek, połowa dziewiętnastego wieku...- powtarzał szeptem, jakby się bał, że ktoś usłyszy. – Myślał oczywiście o fortepianie marki Green. Stąd miał już tylko parę minut do lokalu o dźwięcznej nazwie „Syrena”. Gwar buchnął otwartymi drzwiami. Znowu wolne miejsce było tylko przy barze. Gdy jazzowy kwintet przestał grać wyłoniły się strzępy rozmów, zwłaszcza ta przy najbliższym stoliku, gdzie obaj mężczyźni podnosili głos, wyraźnie inspirowani leżącą na stole gazetą i kolejną kolejką czystej do nienaruszonych schabowych.
- Nie wierzę mu. Teraz trochę śrubę popuszczą, a potem znowu ścisną.
- Tłum wiwatował ? Ludzie spragnieni są zmiany. W końcu on też posiedział parę lat, a teraz ruskie czołgi zawrócił...
- Jechały, albo nie jechały...W głowach wam zawrócił. Te czołgi są tu cały czas. Mogą na Warszawę jechać z każdej strony. Z Legnicy także i nawet z Oporowa. Mogą zmiażdżyć nas tak jak w Budapeszcie.
- Polska to nie Węgry. To kosztowało by ich dużo krwi...I po co? Taki transparent wisi na moście kolejowym: PRZYJAZN ZE ZWIĄZKIEM RADZIECKIM PO WSZE CZASY. Widziałeś. Wysoko wisi i nikt go nie tknie.
- To jakiś kosmiczny wymiar czasu. Przecież w końcu czasoprzestrzeń się zakrzywi. Einstein twierdzi...
- Ty nie bądź taki filozof. Da Bóg, to będziemy mieli więcej swobody. Kardynałowi już dał...

Muzycy wrócili na estradę. Perkusista nabił rytm dla kontrabasu i piana. Gitarzysta nie dopasował się jeszcze do reszty i wyczekiwał. Saksofonista punktował oszczędnie dźwięki, aż nagle załkał dwunastotaktową frazą tradycyjnego bluesa.

- Będzie więcej swobody, czy wolności?
- Kak zwał, tak zwał...
- O nie ! Ta muzyka...Posłuchaj ...Ci co ją grali pierwsi, czy już byli wolni, czy tylko swobodni ? To była ich tęsknota za prawdziwą wolnością.
- Hitler ją zakazał grać. Komuniści słuchać. Dlaczego? Bo jest w niej pierwiastek wolności. Swobodnie, to możesz mi nalać.
- Nie przesadz
- Tego nie zabraniał ani Hitler, ani Stalin.

- A Chopina zabronili. Przynajmniej w Polsce.
- Z Rosjanami to przesadziłeś. Niby kiedy?

Tu Tadeusz nie wytrzymał i wtrącił się do coraz bardziej intelektualnej rozmowy.

- W sto lat od jego urodzin Chopina nie wolno było grać w Warszawie publicznie. Rocznicę we Lwowie obchodzono. W austriackim zaborze była więc swoboda.

Tak więc, gdyby zagrać jazzowo Chopina w czasie niemieckiej okupacji to...

- Rozstrzelać. Podwójnie rozstrzelać. Józiu, nalej panu... Dobrze mówi.

Tadeusz wdrygnął się. Przyjrzał się wnikliwie nalewającemu. Okrągła, nalana twarz.

Ostrzyżona do skóry głowa. Wąsy ze śladem siwizny. Wydało mu się, że skądś go zna.

W tej samej chwili muzycy przestali grać, a do estrady podeszła Alicja. Położyła nuty na pianinie i odwracając się dostrzegła Tadeusza.

- Przyszedł pan...

- Pani Alicjo. Chętnie bym usiadł, ale w domu... Żona chora. Jakieś porażenie nerwowe. Był już lekarz... Córeczka nie poszła do szkoły. No i pracy nie mam... Pomyślałem, że może pani coś wie... Akompaniator się odnalazł ?

- Panie Tadeuszu. Muszę pomyśleć... Oni tu nie grają codziennie.

Muzycy pakowali instrumenty. Pianista ruszył w kierunku baru.

- Alu. Ja tego nie zagram. Nie czuję. Za dużo kwitów.

Nuty rozsypały mu się po podłodze. Alicja z Tadeuszem zaczęli je zbierać.

- Tadek! Na miłość boską. Zupełnie cię nie poznałem. Ty żyjesz ? Grasz gdzieś?

Taki pianista jak ty...

Tadeusz podniósł prawą rękę do jego twarzy.

- Powstanie?

- Prawie zgadłeś.

- Mówiono, że grałeś w czterdziestym dziewiątym na Konkursie Chopinowskim.

Bzdura. Jak mógłbyś grać z takim palcami ?

- To prawda. Grałem wtedy... Dla mnie powstanie się nie skończyło.

- Przesadzasz... Wylazłeś z kanału? Gdzie twoja barykada?

- Cześć kolego. Spieszę się.

Alicja wybiegła za Tadeuszem.

- Wybacz Alicjo. Zdenerwował mnie. Zapomniałbym zupełnie. Napisałem dla ciebie tekst. Do muzyki Fryderyka Chopina. Zerknij. Może spróbujesz to zaśpiewać.

Postaram się tu jutro wrócić o tej porze.

Alicja stała przez chwilę ściskając rulon, który jej wręczył. Potem usiadła do stolika na zapleczu i rozwinęła nuty z podpisanym pod dodaną pięciolinia głosem. Etiuda c-moll.

Rewolucyjna... Słowa zapisane były jeszcze osobno na kartce. To dziwne, ale od razu usłyszała ten zaśpiew głęboko ukryty w jej zmysłach i odczuciach. Milcząc śpiewała już do fortepianu zapamiętanego z płyty. Odtwarzała ją wówczas, kiedy mając poczucie ważności swojego powszedniego dnia, chciała jednak dokonać czegoś więcej. Czegoś co nie dotyczyłoby jej samej. Etiudę nagrał młody pianista Władysław Kędra. Pewnego razu ujrzała go na estradzie. Wydało jej się, że od tych trzech niespełna minut dramatycznej, ale i przez momenty lirycznej opowieści zależy czyjeś życie. Jego, jej... Może Polski. Czy Tadeusz mógł grać podobnie jak pisał? Pierwsza fraza etiudy przeszła ją jak błyskawica. Jednak nie odważyłaby się teraz zaśpiewać.

„...Powstanie trwa

Trwa tak codziennie

Choć dzisiaj nam nie grozi śmierć

Wolność tą samą ma cenę

Nigdy nie poddaj się...

Gdy ból, gdy żal  
 Los się odmieni  
 Muzyka ta rozpala krew  
 Jak ten z popiołów feniks  
 Znów odradzamy się...

Jest w kwiatach łąk  
 Jest w naszych snach  
 Ten nasz dom  
 Tam gdzie ojciec, tam gdzie matka...  
 Gdzie pieśni, żarty  
 Gdzie świat otwarty  
 Tam twój brat  
 Kochaj go  
 Kochaj świat !

Powstanie trwa  
 Trwa tak codziennie  
 O prawdę walcz  
 Każdego dnia...  
 Ktoś cię nie zrozumie  
 Ktoś wierzyć nie umie...  
 Spójrz, to Madonna  
 Przez pola idzie bosa  
 W dzień, szary dzień  
 Właśnie staje się cud...  
 Czy to ?...  
 Tak  
 To Polska...

Tadeusz chciał być jak najprędzej w domu. Niestety tramwaje nie jechały w kierunku Oporowa. Podobno jakaś wymiana torów. Sporo potencjalnych pasażerów maszerowało wzdłuż Grabiszyńskiej w obie strony. Za szpitalem Elżbietanek dogonił starszego, podpierającego się laską mężczyznę. Szli krok w krok narzekając na okoliczności. Koło wielkiego bunkra, jedynej ocalałej w całości budowli na tej ulicy minął ich wóz drabiniasty, żwawo ciągnięty przez dwa konie. Niedokładnie przykryty ceratą jechał na nim fortepian marki „Green”. Rozpoznał go natychmiast i podbiegł, by się dosiąść, ale żal mu się zrobiło starszego pana z laską. Zawrócił, a fortepian pomknął jakby go ciągnęły dwa pegazy. Na szczęście wóz miał gumowe koła. Szedł więc dalej słuchając wywodów mężczyzny, który ze swadą opowiadał o minionych kilku latach we Wrocławiu, także o studenckiej młodości spędzonej na Kresach. O strasznym mordzie na lwowskich profesorach dokonany przez Niemców. Wymieniał nazwiska uczonych, którzy wykładają teraz na wrocławskim uniwersytecie imienia Bolesława Bieruta. Tego nazwiska nie wymienił. Tylko litery B.B. Inne wymieniał z estymą... Longchamps de Berie, Leszek Winowski, Wincenty Styś, Alfred Jahn, Seweryn Wyslouch...

- Tyle wspomniał nazwisk pod egidą bandyty.

Ech! – westchnął.

Rozgadał się wreszcie o studentach, którzy stworzyli na Oporowie straż akademicką. Chroniła ona osiedlonych w poniemieckich domach polskich naukowców.

- Ktoś im zagrażał?
- O tak. Szabrownicy i ruscy. Tu przyjeżdżała bandyterka z centralnej Polski.
- A ci drudzy skąd?
- Ci, to miejscowi... Mają tu bazę, zaraz za Oporowem. Zbudowali nawet do niej bocznice kolejową. Grabia, chociaż nie mordują. Dwóch takich dorwali chłopcy Jurka Mutza ze straży. Uginali się pod ciężkim dywanem. Zaprowadzili do komendanta bazy...I...Może to było niepotrzebne. Podobno ich kazał rozstrzelać. Podobno...

Gdy doszli do cmentarzy, okazało się, że tu kryje się przyczyna wstrzymania tramwajów. Mieszkańcy Oporowa budowali w czynie społecznym tor do swojej dzielnicy. Minęli obóz Cyganów rozlokowany na brzegu rzeczki. Zaraz za mostkiem na Ślęzie nowy znajomy zaproponował skrócenie drogi przez pola do ulicy Kołłątaja.

- Pan tam mieszka?
- Od niedawna.
- A ja już parę ładnych lat.

Kiedy mężczyzna ściągnął kurtkę, Tadeusz zauważył koloratkę.

- To bardzo ciekawa uliczka. O proszę...Tu mieszka profesor Rospond, polonista, który te ulice ze swoją komisją po wojnie nazywał...A tu doktor Cieński, szef biblioteki Ossolineum...Polonistów najwięcej. Tu zaraz Tadeusz Mikulski, a dom za nim profesor Bąk...
- Ja tutaj proszę księdza.
- Och przepraszam, wypada się przedstawić. Nazywam się Hieronim Feicht. F-E-I-C-H-T. Proszę mi mówić po imieniu. Zapraszam do siebie. Mieszkam parę domków dalej, ale najlepiej proszę zajrzeć do kościółka św. Anny, tu na Oporowie, albo do Wyższej Szkoły Muzycznej na Powstańców Śląskich. Tam wykładam muzykologię...Chciał mi pan uciec, ale nie udało się...
- Gonilem fortepian. Proszę wybaczyć. Mam na imię Tadeusz.

Fortepian marki „Green” zajął prawie pół większego pokoju. Kasia była zachwycona. Barbara mniej. Stało jeszcze przecież ponemieckie, czarne pianino, na którym obie grały. Widząc przerażenie mamy Kasia postanowiła spać na nowym -starym fortepianie. Wyniosła metalowe łóżko do piwnicy, a materace układała co wieczór na prostostrunce. Rano Tadeusz zganiał ją z tego wysokiego łoża i zaraz po śniadaniu brał się za jego renowację. W końcu wybrał się na plac Nankiera, gdzie udało mu się zdobyć klucz do strojenia instrumentu. Nie omieszkał wstąpić do „Syreny”, tam jednak nie zastał Anny. Po tygodniu oba instrumenty były zestrojone, Co wcale nie było takie proste. Na szczęście miały podobnie strój obniżony o pół tonu i tak już zostało. Orkiestra i tak by się nie zmieściła, a śpiewanie niżej miało swój urok. Alt Barbary przechodził w parlando, a Kasia swobodnie nuciła mezzosopranem. Rozpisała tekst ojca do Ballady F- dur na trzy głosy. To była premiera fortepianu, na którym Tadeusz podgrywał lewą ręką zapis prawej. Kasia przy pianinie słuchała uwag Barbary.

- Tak zagraj jakby ktoś furtkę rozwarł do ogrodu róż...
- Do ogrodu róż...
- Lub tak jakby w samo południe ptak opadł na łan zbóż...
- Jak ptak na łan...
- Na łan zbóż...

Tadeusz przysłuchiwał się i podchwycił tekst barytonem.

- A może to nie sielski pejzaż...  
Może to miłość i to nie pierwsza wcale  
Może to rozstania, żale...

Nagły jakiś ból i krzyk  
Czyjaś rozpacz, czyjeś łzy  
I natrętna jakaś myśl  
Że tak nie będzie cię kochał już nikt...  
Crescendo, crescendo  
I fortissimo !

Kasia włączyła się w śpiewaną lekcję.

- Więc to miłość, a nie pejzaż  
Jednak może właśnie pierwsza...  
Ona gwałtownie zdarza się też...  
Tak gwałtowna, tak szalona  
Jak to crescendo, jak to crescendo...  
- Skąd to wiesz, skąd to wiesz? – zapytała Basia, a Tadeusz zachnął się.  
- Nieważne. Graj. To przecież tylko jest muzyka...  
I muzyka aż...  
Accelerando !

Nie było już słów. Rozszalały się klawisze pod palcami Barbary, aż do finałowej, podkreślonej z całą mocą cody utworu. W Balladzie F- dur dziewiętnastowieczny instrument urodził się na nowo. Tadeusz wytrzymał takt pauzy i dopiero się rozgadał.

- Tak, właśnie... Chopin... To nie są koronkowe hafty zapisane na pięcioliniach, błyskotliwe fajerwerki dźwięków, zręcznościowa gimnastyka palców... To jest wyraz uczuć, przeżytych emocji, trudu egzystencji, napięcie umysłu geniusza. My to pragniemy odczytać, ale żeby to się dokonało musimy także uruchomić naszą wrażliwość, nasze uczucia, nasze myśli. Jeśli chcemy się z nim porozumieć. Z nim...  
- To takie trudne. Czy to możliwe? – zastopowała go Barbara.  
- Próbujemy. To pianista powinien porozumieć się z kompozytorem, twórcą, a może i Stwórcą. Przecież ten kto tworzy arcydzieło, nawet gdy o tym nie wie, staje się pracownikiem Boga.  
- A propos... Tadziu. Wybacz, że zejść na ziemię. Udało ci się znaleźć jakąś pracę?  
- Barbarko. Z Moim graniem będzie trudno, może jako akompaniator dałbym radę...  
Ćwiczę z bólem. Dwa palce praktycznie nie istnieją... Byłem w Wyższej Szkole Muzycznej. Poznałem księdza Feichta. Jest tam profesorem. To wspomniały człowiek. Proponują mi od zaraz pracę portiera. Potem może się znajdzie coś lepszego, chociaż już mnie rozczuliły korytarze wypełnione muzyką tylu skłóconych instrumentów...  
Jak przed wojną w Warszawie, gdy sam byłem studentem w klasie fortepianu. Och...  
- Tatusiu. Najważniejsze, że jesteś. Nauczę się grać i nawet śpiewać mogę, słyszałeś przed chwilą... Będziemy sobie radzić razem.

W „Syrenie” gwar nie milkł, tylko wzrastał się jeszcze, kiedy muzycy zaczęli grać. Rozmawiający musieli pochylać się do siebie, podnosząc głos nieomal do krzyku,

albo też szepcząc sobie wprost do ucha. Tylko Lotar, o którym mówiono, że jest poetą hermetycznym, wymownie milczał. Wpatrzony w Alicję poeta ekspresyjny, Blumenfeld, skubał brodę i manipulując długopisem, na którym blond wamp dokonał całkowitego strepteasu. Wreszcie zdecydował się do niej podejść.

- Alicjo. Mówiłem, że na niego nie ma co liczyć. Muzyk z problemami. Dla nich nie jest groźny. Groźne dopiero jest słowo. Napiszesz, to już się nie wyprzesz. Nawet jak tu na serwetce napisałem...Wiedzieli, a ja ci tylko miłość wyznałem wierszem. Nie wzięłaś ze stolika, ale on wziął – pokazał zdecydowanym gestem na barmana.
- Pani Alicjo. – Barman chyba zorientował się o czym mowa. Stanowczo się domagam, żeby to mi było ostatni raz.. „Czerwone maki”. Czy naprawdę pani sądzi, że ja jestem niedorozwinięty?

Muzycy zespołu o egzotycznej nazwie „Bulanda” odłożyli instrumenty, ale Blumenfeld wcale nie ściszył głosu.

- Mamy odwilż, czy nie? Wydali tomik Bąkowi... Wypuścili Brauna... Grają znowu Szaniawskiego, a Hłasko...

Barman nie odchodził od stolika, pozorując jego odkurzanie, zabierając zwiędłe kwiaty z flakonu, z którego wydobył się obrzydliwy zapach.

- Ja tam panie ich nie znam. Nie wiem, czy Braun to Żyd, czy Niemiec... Wyjdź pan na ulice i zapytaj... Czy ktoś ich zna? Ja nie wiem nawet jak pan się nazywa i imię mi wystarcza, panie...

Poeta ignorował obecność barmana.

- Przez takich właśnie, oni siedzieli po szyję w zimnej wodzie przez dobę, żyły sobie podcinałi, w domach wariatów ich do prądu podłączali...
- Błagam pana. To przecież nie przez niego – obruszyła się Alicja. Tych co ich dręczyli, to ja znam. Znałam. Niestety.

Barman odszedł. Poeta teraz dopiero ściszył głos.

- Zdania nie zmienię. Wystarczy sto tysięcy takich jak on, by tysiąc mogło nas ubezwłasnowolnić, wykluczyć ,upodlić...Jeszcze teraz wyrzucili na śmietnik... Zobacz Alicjo..., „Kamienie na Szaniec”. Myślisz, że kiedyś wydadzą moje wiersze? Czy prędzej wyskoczę przez okno?
- Bądź dobrej myśli. Ja je zaśpiewam...Przynajmniej ten jeden. Proszę mi pokazać...
- Ten wiersz akurat nie mój. To twój pianista napisał. Nie może zagrać. Jakiś miał wypadek. Teraz robi mi konkurencję. Tylko to żadna poezja. Jakieś pobożne życzenia. Zresztą sama zobacz.

„ Spójrz na ścieżki  
Tam oni przeszli  
Żyli, umarli  
Miętko im w darni  
Mogli żyć jeszcze...  
Nam wróżą wieszczce:  
Z łaski Madonny  
Kraj będzie wolny...”

Czerwiec się krwawił, wrzesień nie złoty  
Październik jeszcze trwa  
Kruczej wolności tak wąły dotyk  
Cierpkiej nadziei smak...”

- O wilku mowa. Panie Tadeuszu. To frapujący tekst. Oczywiście oczywisty. Muszę pogratulować. Nie rozpatruję tego rzecz jasna w kategorii czystej poezji, ale tu aż się prosi o muzykę. Skąd u pana takie wieszczenie...
- Blumenfeld podniósł się i wyprostował.
- Proszę siadać z nami. Dziś ma tu zagrać Pakulski, ale jeszcze go nie ma. Może pan jednak spróbowałby się przymierzyć. Wydaje mi się, że tu pasowałaby taka bluesowa melodia. Ile w tym tęsknoty i nadziei zarazem...
  - Proszę mi nie kadzić. To proste uczucia. Poza tym blues jest dwunastotaktowy, a ja przymierzyłem słowa do ośmiotaktowej frazy. No i jeszcze zasadnicza sprawa... Blues jest na cztery, a ta muzyka wyraźnie na trzy czwarte.
  - Nie poddam się łatwo panie Tadeuszu. Choćby taka pieśń burłaków nadwożańskich... To przecież także ból i tęsknota za lepszym życiem.
  - Wciąga mnie pan w dyskusję. To jest trochę inaczej... Choć także jak w bluesie, pieśń rodziła się z niewolniczej pracy. Zaśpiew podobnie był dwunastotaktowy, choć tak inne realia niż na plantacjach bawełny. Ci zesłańcy, to jakże często Polacy. Ciągnęli, wlokąc się brzegiem, barki załadowane stalowymi szynami na budowę kolei usuryjskiej. Z nadludzkim wysiłkiem oddychali mroźnym powietrzem. Może więc faktycznie nad rosyjskimi rzekami, z potu i krwi rodził się biały blues.
- Alicja nie spuszczała oczu z tekstu. - Spróbuj zagrać. Czuję to. Wiem, że dasz radę.- Tadeusz wszedł powoli na estradkę i prawą, ściśniętą dłonią przeciągnął glissando przez wszystkie klawisze, jakby nie wierzył, że wydadzą dźwięk. Lewa, sprawna ręka, ustaliła tonację i obie dłonie już dalej wiosłowały w czarnobiałej topieli, kołysząc się jednostajnie. Alicja nuciła murmurando, aż nagle, za kolejnym nawrotem zwrotki, zaśpiewała pełnym głosem, jakby знаła ten utwór od zawsze.

„...W zmęczeniu ziemi  
 W rui czerwieni  
 Wierzyć nie chcemy  
 Że się odmieni  
 Że jeszcze raz  
 Zagłuszy wrzask  
 Ten głos co w nas  
 Ten ból co wciąż trwa...

Październik piękny jest nad Wisłą  
 Nie patrz za most, na wchód  
 Wychylmy razem kielich w przyszłość  
 Jeszcze się zdarzy cud...'

## KARKONOSZE

Drugi cud nad Wisłą nie następował. Nad Odrą jednak wyrastało miesiąc po miesiącu, rok po roku, pierwsze od wieku młode pokolenie mówiące słowiańskim językiem. Co więcej, był to język polski, co najwyżej z kresowym zaśpiewem. Poloniści, z uniwersytetu imienia belfegora belwederu, nawiązywali do dziewiętnastowiecznej tradycji tego kierunku na pruskiej Alma Mater, kiedy to bywało jeszcze, że szelest takiej mowy słycać było na dolnośląskich wioskach. - Jeszcze, jeszcze, już... Obok oporowskiego mostku na Ślęzy setki ciężarówek zwoziły gruz z całego Wrocławia usypując kilkudziesięciometrowy kopiec, w tym dokładnie miejscu, gdzie jeszcze... Tak właśnie... Jeszcze niedawno bawiły się tu cygańskie dzieci. Niełatwo było w tym rdzawym pagórku znaleźć całą cegłę. Takie bowiem ładowano na wagony stękające przesłaniem : Cały naród buduje swoją stolicę ! Dopiero późnym popołudniem, kiedy milkły silniki wywrotek można było wspiąć się na szczyt wysypiska, by podziwiać zachód słońca nad siniejącą na horyzoncie świętą górą Słowian. Tadeusz obiecał Kasi wycieczkę w góry i to o sto kilometrów dalej na południowy zachód od Wrocławia. Wreszcie którejs majowej soboty z błogosławieństwem matki i plecakami zapakowanymi prowiantem, wsiedli do zapchanego pociągu.

Ten włócił się pod górę przez zadymiony, fabryczny Wałbrzych. Paleniska koksowni błyskały żywym ogniem. Podróżnych ubywało z każdą stacją. W końcu zostali w przedziale sami, a kiedy pociąg nagle wjechał w czeluść tunelu, przerażona Kasia wtuliła się w ramiona ojca. Jelenia Góra. Dalej autobus wił się pomiędzy wielkimi stawami, w których odbijały się szczyty Karkonoszy. Największe wrażenie zrobiły na Kasi potoki. Nie myślała nigdy, że są tak piękne. Jeden wpadał do drugiego, przeciskając się przez ogromne głazy. Za lesistym zboczem, na który musieli się wspiąć odsłoniła się wioska przetkana czerwonymi dachami.

- Popatrz. Ta wielka willa to „Pan Twardowski”. Mieszkał w nim jeszcze niedawno Ludomir Różycki. Widziałś w operze wrocławskiej jego balet.
- Byłś tu już tato?
- Byłem. Razem z twoim dziadkiem, w to lato przed konkursem chopinowskim. Miałaś wtedy pięć lat. Różycki pozwolił mi ćwiczyć na swoim „Blichtnerze”. Po drugiej stronie, o tam, mieszkał młody, świetny pianista, Władek Kędra. Jednego dnia zrobiliśmy pojedynek na dwa fortepiany. Ich dźwięki mieszały się chaotycznie. On grał Gershwina, ja Chopina. Wreszcie pogodziliśmy się w polonezie A- dur, który potężnie zabrzmiał w tej kotlinie. Tak nam się zdawało, ale chyba tak było, ponieważ wycieczka idąca na zamek Chojnik zatrzymała się i nasłuchiwała. Potem dowiedziałem się, że byli to uczniowie ze szkoły muzycznej.

Pan Ludomir pochwalił mnie, a Władka zaprosił na kolację. Byliśmy wtedy przekonani, że świat stoi przed nami otworem. Pani Różycka przyniosła z piwnicy butelkę reńskiego wina. Jakim cudem mogło się tam uchować przez tych parę lat ? Nie wierzę, żeby kompozytor nabył szwabskie wino po wojnie. Jego dom na Żoliborzu spłonął podczas Powstania Warszawskiego z całym materiałem nutowym, z zapisami tego, czego nie zdążył opublikować. Zaledwie kilka utworów udało się ocalić, bo były zakopane w ogrodzie. Nieraz myślę, może głupio, że lepiej samemu zginać niż stracić to, co stworzyło się przez większą część życia. Oczywiście, jeśli ma się świadomość własnej wartości. Musiał ją mieć. Tu przecież także odtwarzał z pamięci swój dorobek.

- Grałś tatusiu jego kompozycje?
- Wstyd powiedzieć... Dał mi do zagrania jedno preludium. Skopiowałem nuty i... Najgorsze jest, że już tego raczej nie zagram.

- Masz te nuty? Może ja kiedyś zagram. To było trudne?
- Nie takie proste, ale piękne. Bardzo polskie. Tak jak „Pieta”.
- A co to jest „Pieta” ?
- Matka Boska z Chrystusem na rękach. Po zdjęciu go z krzyża.
- Taki obraz?
- Taka rzeźba Michała Anioła. Wspaniała i przejmująca. Różycki skomponował w tym duchu utwór na orkiestrę. Myślał pewnie o Chrystusie zdruzgotanym przez Niemców w Warszawie przy kościele na Krakowskim Przedmieściu. Może zresztą myślał o całej Warszawie. Może o całej Polsce. Koniecznie musisz tej kompozycji posłuchać.
- Tato. On na pewno nie kupił reńskiego wina. Mój dziadek też by nie kupił.
- Córeczko. Ci co uprawiali to wino niekoniecznie kochali Hitlera. Może wyrwali ich z winnicy prosto na front.
- Dużo takich było?
- Mało, ale byli. Dziadkowi do obozu jeden taki przemycał paczki. Nie myśl teraz o tym. Zajrzemy do „Pana Twardowskiego” ?

Furta była zamknięta. Dzwonka nie było. Tadeusz zawołał więc głośno: Halo, halo! Otworzyło się najpierw okno na werandzie. Potem drzwi frontowe. Kobieta zarzucając chustę na ramiona wyszła na zewnątrz.

- Niemożliwe. Pan Tadeusz przyszedł do Pana Twardowskiego Proszę tylko nie mówić, że to pana córka...Jaka podobna do mojej wnuczki. Jej rodzice, moja córka... Cudem ocalili. Na roboty do Rzeszy ich wywieźli... Pan zna tę historię... Pani Różycka spojrzała Tadeuszowi prosto w oczy. Jej twarz rozświetliła się ciepłym blaskiem i nie wiadomo, czy były to ostatnie promienie zachodzącego słońca, czy nie ukrywana radość z odwiedzin. Odgarnęła kosmyk siwych włosów.
  - Mam nadzieję, że to nie na chwilę. Możecie u mnie przenocować. Zapraszam do salonu. Rozgośćcie się. Przygotuję coś... Pani Stefania szybkimi ruchami odkurzyła fortepian. Kasia rozglądała się po wnętrzu. Eklektyczne meble. Wspaniałe puchary, zapewne trofea nagród. Afisz z premiery baletu „Apollo i dziewczyna”.
  - To z premiery w Paryżu w 1937 roku. Ach...To nasza fotografia, tuż po koncercie w Katowicach. Zaraz po wojnie. Jakże oni nas gorąco przyjęli. Wtedy mąż dostał tam propozycję pracy i mieszkania. Został dziekanem w Akademii Muzycznej. Jeszcze nie mieliśmy tego domu. Pan to wie, ale córce chcę powiedzieć...Tego pan jednak na pewno nie wie – moja wnuczka też śpiewa. Jak panienka do niej podobna... Proszę spojrzeć...Ten portret męża namalował Vlastimil Hofman. On mieszkał niedaleko stąd, w Szklarskiej Porębie. Czech z pochodzenia. Tak jak Matejko. Czy wiecie państwo, że Matejko też tu był?
- Tadeusz nie przerywał wywodów pani Stefanii, ale na jego twarzy pojawiło się z wątpienie.
- Był, był...To niesamowita historia. Dwa kilometry stąd, jakby pójść przez las, jest Przesieka. Tam w czterdziestym piątym roku znaleziono trzy obrazy Jana Matejki. Właściwie znalazła je pani Czerska, która tam mieszka. Były zwinięte w duże rulony: „Rejtan”, „Batory pod Pskowem” i „Unia Lubelska”.
  - Skąd one się tam wzięły, pani Stefanio? – Tadeusz był wyraźnie zaskoczony.
  - To takie zawile i takie proste jak cała nasza historia. Sowietci zajęli je po wkroczeniu na Kresy. Poskładali - pan nie uwierzy - w kostkę. Bardzo się zniszczyły. Tym złodziejom ukradli obrazy hitlerowscy bandyci, kiedy oni z kolei wtargnęli do Lwowa. Jednak Niemcy pieczołowicie zwinęli arcydzieła w rulony. Wiedzieli jaką to miało wartość. Matejkę wystawiano w salonach europejskich. Miał tyle nagród...
  - Pani Stefanio. Ale skąd w Przesiece?

- Były już w pałacu Schaffgotschów w Cieplicach. Działa grzmiały coraz bliżej, a Przesieka, to taka spokojna, skryta za pagórkami wioska. Stąd w czterdziestym piątym profesor Lorenz z ekipą zabrał dzieła do Warszawy, do Muzeum Narodowego. Zresztą Przesiekę nazywano wtedy - Matejkowice... Nazwa nie mogła przetrwać. Jakiś urzędas musiał zorientować się gdzie leży Psków. Rozumiecie państwo... Batory pod Pskowem ? Teraz najważniejsze, że Lenin był w Poroninie. Nazwy się zmieniają, ludzie się zmieniają... Mieszkałam w Stalinogrodzie, a teraz tu. Mój Szczęsnów. Tak. Byliśmy tu z Ludomirem szczęśliwi... Och, rozgadałam się. Schodzę do kuchni. Może pan dotknie fortepianu.
- Spróbuję dotknąć, ale tylko wtedy gdy pani zaśpiewa. Co to za nuty?
- „Kołysanka” Ludomira.

Rankiem, a właściwie wczesnym rankiem, pani Stefania zrobiła kanapki dla pakujących plecaki. Tadeusz i Kasia mieli tego dnia zamiar zdobyć Śnieżkę. Po drodze, już w Przesiece, przystanęli przy wodospadzie. Nie była to Niagara, ale urok jego był wielki. Dwie kolejne kaskady wyrwały w blokach skalnych opadające stromo ryny. Woda huczała jednostajnym ostinato, jak smyki po, co najmniej kilku, kontrabasach. Wokół wysokopienny, mieszany las. O tej porze nie było tu nikogo. Przysiedli na chwilę na omszałym gładzie rozkładając mapę. Szlaki kończyły się na granicy państwa.

Dalej droga wiodła ostro pod górę. Las tracił swą bujną, zieloną szatę, aż w końcu pozostały same kikuty suchych drzew, sterczących pośmiertnie w niebo. Tylko porośnięte krzakami skalne rumowiska przywracały tej krainie żądzę życia. Po dwóch godzinach dotarli do przełęczy, którą z obu stron porastała już kosodrzewina. Spośród niej nagle wykwitła postać ludzka w zielonym mundurze. W słońcu błysnął przewieszony przez ramię pistolet maszynowy. Obok, w wysokiej trawie wylegiwał się drugi żołnierz. Grzecznie salutowane, ale i stanowcze „dzień dobry” uzmysłowiło Tadeuszowi, że doszli granicy. Pas zaoranej świeżo ziemi oddzielał Polskę od Czechosłowacji. Jeden raj od drugiego. Wopista przyglądał się na przemian turystom i ich zdjęciom w dokumentach, aż jego twarz rozjaśnił uśmiech adresowany wyraźnie do Kasi, której był rówieśnikiem.

- Proszę bardzo. Tam na lewo jest ścieżka do polskiego schroniska „Odrodzenie” Parę minut stąd. Można tam coś przekąsić. Państwo wracacie, czy będziecie tu nocować ?

Jednak postanowili iść dalej wzdłuż granicy, czerwonym szlakiem przez Szyszak i Śląskie Kamienie, w stronę Śnieżki. Po lewej stronie grani odsłaniały się widoki na całą Kotlinę Jeleniogórską, potem na Wielki Staw, po prawej była niedostępna Czechosłowacja. W pewnym momencie Kasia przełożyła nogę przez słupek graniczny.

- Tato, czy ja kiedyś będę zagranicą ?

Tego dnia dotarli do schroniska Samotnia. Skalne zleby okalały tu Mały Staw i odbijały się w nim jak odwrotność rzeczywistości. Z trudem udało im się załatwić nocleg w sali jadalnej, gdzie już były rozstawione śpiwory i materace biorących udział w górskim rajdzie wrocławskich studentów. Pokoje zajmowali od kilku dni himalaiści, którzy trenowali wspinaczkę na strome zbocza. Gwar mieszał się z brzęczeniem gitar. W kącie, przy tłącym się kominku, grupa studentów, głównie męska, skupiła się wokół himalaisty. Jego okalana lwią grzywą twarz wydawała się Tadeuszowi znajoma. Może widział ją w jakiejś kolorowej gazecie, może w kronice filmowej. Gestykułując żywo i podskakując, trochę jak małpa, opowiadał o zdobywcach Everestu.

- Mnie się dotąd nie udało, choć na kilku ośmiotysięcznikach, jak pewno wiecie, byłem. Oczywiście lażłem tam zimą. Latem to nie taka sztuka. No i bez butli. Tak jak pierwsi himalaiści. Byli przecież tacy co tam weszli i nie zeszli. Taki na przykład Wilson, Anglik... W Himalajach zwyciężyć, to znaczy przeżyć. Tlen... Tlen... To jest największy problem. Dacie mi odetchnąć? Kolego starszy... Jak masz na imię? Podaj Leszkowi akordeon.

Tadeusz pomógł niewidomemu Leszkowi wypakować starego „Weltmeistra”. Czynił to z pewnym nabożeństwem, ale Leszek zamasyście zarzucił sobie paski na ramiona, a rozpięty miech zacharczał wszystkimi barwami. Kasia ulokowała się przy himalaistcie, który jakby niechcący, objął ją ramieniem i tak już trwali przez całą piosenkę, a nawet dłużej. Ona cała zasluchana. On wpatrzony w nią.

„...Gdzie idziesz człeku uparty  
 Tam jeszcze nie był nikt...  
 Jest rok trzydziesty czwarty  
 Chcesz pierwszy zdobyć szczyt...  
 Na starym samolocie  
 Z Anglii do Indii szlak  
 Przebyłeś z łaski bożej...  
 Czy wierzysz w boga tak?

Przed Tobą Himalaje  
 Bieleje w słońcu śnieg...  
 Hej Wilson, wyżej, dalej  
 Przed tobą Everest...

Ostrzegął się przed śmiercią  
 Stary buddyjski mnich...  
 Od góry większa wierność  
 Marzeniom...W ciszy krzyk...

...Każdy ma swój Everest  
 Tam się wspina granią dnia  
 Między złem, a mniejszym złem  
 Nad przepaścią co bez dna...”

Akordeonista Leszek zmienił register na barytonowy. Himalaista przestał obejmować Kasię, za to konfidencjonalnie szeptał jej coś do ucha. To coś wywoływało uśmiech, który rozjaśniał jej twarz, ujawniając dołeczki na policzkach. Jakiś mężczyzna w narciarskiej czapce przysiadł się i gdyby nie, to niezbyt sezonowe, nakrycie głowy, Tadeusz miałby pewność, że już go gdzieś widział. Czy to nie było we wrocławskiej „Syrenie” ?

- Czeskie piwko próbował pan ? To z ich schroniska. Mam tu jeszcze w plecaku buteleczkę.  
 - Nie dali nam przejść na drugą stronę, a panu udało się?

Letni narciarz zamilkł, ale nie dał za wygraną.

- Miałem szczęście. Naprawdę wysmienite...Pan może ma coś na sumieniu. Ci wopiści takiego zawsze wyczują. No, no... Oczywiście proszę to potraktować jako żart.

- Proszę tak nie żartować. Każdy ma coś na sumieniu. Pan nie ma?

Tadeusz wstał i sprawiał wrażenie jakby rozglądał się za toaletą. Chciał w końcu usiąść przy córce, ale nie dostrzegł jej. Zniknął też himalaista. Akordeonista śpiewał dalej, a wokół niego skupiła się grupka zasluchanych studentów.

„ Gdzie idziesz matko nieboska  
 Wtulając w piersi dziecko  
 Na słabych płyniesz nogach  
 Górską, kamienną ścieżką...

Ty madonno nie święta  
 Arabska, czy żydowska  
 Czyś od głodu spuchnięta  
 Ty madonno nieboska...

Indiańska, czy kurdyjska  
 Z rezerwatu, czy z getta  
 Czy z łagrów syberyjskich  
 Przed przemocą uciekasz...

Że też nogi tak mogą  
 Tyle świata przemierzyć...  
 Żyjesz, bo masz dla kogo  
 Idziesz bo ciągle wierzysz...

Nie było miejsca gdzie indziej i Tadeusz wrócił do znajomego- nieznanego, z nadzieją, że ten da mu spokój. Wsłuchiwał się bardziej w barwy akordeonu niż w słowa ballady. Zateśnił naraz za tym instrumentem, który towarzyszył mu w partyzanckiej niedoli. Wówczas doszedł już do dużej wprawy w operowaniu basami, a prawej ręce tylko brakowało oktaw. Gdyby tak odwrócić instrument – myślał - to lewa ręka mogłaby biegać po klawiaturze, a prawa po basach. Do basów nie potrzeba pięciu palców... Wystarczyłyby dwa. Wtedy może mógłbym...

- Ładna piosenka, prawda?
- Tak.
- To co z tym piwkiem ? U nas w sklepie pan takiego nie kupisz...
- Mhm...
- Niemcy też mają dobre, a Anglicy...
- Próbował pan tego angielskiego portera?- Tadeusz odezwał się i wpadł w pułapkę.
- Ja w Anglii nie byłem i chyba nie będę. Może gdybym miał tam rodzinę...
- Pan, to światowy... Na pewno zna kogoś za granicą. Tą dalszą, nie tą obok. Szukam kogoś kto miałby tam kogoś. Chodzi o drobną przysługę...
- A gdybym kogoś tam miał, to niby gdzie?
- Londyn. Trafiłem?

Tadeusz był już zaniepokojony i to wcale nie przypadkową rozmową. Czy na pewno przypadkową? Bardziej niepokoiła go przedłużająca się nieobecność Kasi. Ballada przestała mu się podobać, choć słuchał refrenu mimo woli.

„...Każdy ma swój Everest  
 Wydeptany własny szlak  
 Ten szaleńczy cel we mgle  
 Póki starczy tchu i lat...”

Prawie wybiegł przed schronisko, gdzie także nie zobaczył Kasi. Natomiast letni narciarz pojawił się za nim jak cień.

- Proszę być ze mną szczerym. My wiemy, że pan ma rodzinę w Londynie. Bardzo mógłby pan nam pomóc, gdyby...
- Tato, tato !

Okrzyk Kasi był radosny. Wyszła z ciemności z himalaistą, płosząc człowieka, który zdążył określić się już wyraźnie jako: „My”.

- Tatusiu. Mam zaproszenie na ekspedycję w Pamir. To są bardzo wysokie góry w Związku Radzieckim. Pozwolisz mi jechać z polską ekipą ?
- Kasiu. Jutro mamy wejść na Śnieżkę. Dobrze, żebyś się wyspała. Widzę, że obudził pan w mojej córce nową pasję. To dobrze. Może jednak najpierw spróbowałyby swoich sił w Tatrach, albo tu niedaleko, na skałkach.
- To właśnie jej proponowałem. Nasza baza szkoleniowa jest pod Sokolikiem. Już mamy tam jedną świetną dziewczynę z Wrocławia. Nazywa się Wanda Rutkiewicz.

Rozmowę przerwały błyskawice odbijające się w nocnej toni stawu i nagła ulewa. Następnego dnia Kasia zdobyła Śnieżkę. Schodzili przez Bierutowice. Nieprzypadkowa nazwa z czasu kultu jednostki, która odeszła w niebyt daleko stąd, na Krymie. Tadeusz nie miał wątpliwości, że miało to jakiś wpływ na jego los. Nie byłby teraz tu, ze swoją pełnoletnią córką. Zajrzeli jeszcze do drewnianego, ewangelickiego kościołka, który przyciągnięto wołami z Norwegii, znad jeziora Wang. Kaprys pruskiej hrabiny. Kasia nie była tak kapryśna, ale gdy ponownie zeszli do Przesieki chciała jeszcze raz obejrzeć wodospad. Po nocnej burzy woda przewalała się już nie kontrabasowo, ale z hukiem. Nie można było porozmawiać. Studenci z karkonoskiego rajdu doszli tu właśnie, a jeden z włosami do ramion zaprosił Kasię do „Gospody pod Lipami”. Musiało to być blisko, bo gestem wodza wskazał kierunek natarcia. Lipy były tak stare jak osiemnastowieczna, przysadzista budowla. Podkowa przybita na szczęście zapraszała do środka. Ścisk nie był wielki, bo zabrakło himalaistów. Piwo łało się z beczki, a muzyka z grającej szafy. Janis Joplin zdzierzała gardło na okrągło. W drugiej sali, gdzie drewniane bele wspierały niski sufit było znacznie ciszej. Chłopcy też nagle przerwali rozmowy po wejściu Kasi. Długowłosey przedstawił kolegów.

- To Jacek. Z WysRolu. Hodowla świń. Poza tym poeta romantyczny. Maciek – Politechnika, Wydział Mechaniczny. Solidna firma. Nieśmiały uwodziciel. Dziś stawia. Dostał ubezpieczenie za wypadek. Rozbił nos i motocykl WFM. Sam widziałem jak wykończył go młotkiem. Oczywiście motocykl, nie nos. Jeszcze ten przystojniak. Komandos...Ty coś studiujesz? Ach tak...Prawo. Siadaj kochana z nami. Jeszcze ja się nie przedstawiłem...Gostek. Miejscowy jestem... Tak jak i ten, gitarzysta basowy, chwilowo właściciel Straszego Dworku. Ten facet z tobą to obstawa? Ojciec wahał się, czy usiąść razem z Kasią, kiedy rozpoznał, znajomego już niestety, mężczyznę z Samotni. Tym razem był bez narciarskiej czapeczki, z głową przyszytą na zero, z której strzelały rozbiegane oczy. To zdecydowało, że Tadeusz dołączył do młodzieży. Dostawiono stół tak, że zmieścił się jeszcze krępy rzeźbiarz z Borowic, którego Gostek nie przedstawił, bo uważał za konkurenta. Drewniane rzeźby zdobiły w okolicy wnętrza i ogródki, w przeciwieństwie do surrealistycznych, malowanych w alkoholowym transie obrazów Gostka, które pozostawały w pracowni.
- Wystrugałem dwunastego Liczyrzepę. Następny będzie dla pani. Jestem Zaradko.

Tymczasem szafa zamilkła. Zacięła się, albo zabrakło żetonów po Beatlesach. Leszek milcząc, postawił na ziemi duży plecak i ostrożnie wyciągnął z niego akordeon, ten sam biało-czarny weltmeister, na którym grał w Samotni. Tadeusz śledził zachłannie każdy jego ruch. - Jeśli założę odwrotnie, to miech rozciągnę zwyczajnie prawą ręką i guziki będą pod palcami. Dwa wystarczą, dwa wystarczą – myślał.

- Pozwoli mi pan dotknąć tego instrumentu ?
  - Za chwilę. Tylko zagram swoje.
- „... Przybito nad wejściem podkowę na szczęście  
 Jeżeli nie wejdiesz, szczęśliwy nie będziesz  
 Gospoda przy szosie, komu nie spieszy się  
 Wejdzie pocieszyć się...Po co tak spieszyć się.

... A tam od ściany do ściany, przez stoły, przez ławy, przez dzbany...  
 I starzy i młodzi i jeszcze ktoś wchodzi...  
 Pije się i marzy, że coś się przydarzy  
 Że coś się przydarzy...

Facet limuzyną  
 Przyjechał z dziewczyną  
 Powiesił kapelusz  
 Już szuka w portfelu...  
 Wrzucił do szafy dwa złote  
 Na tango miał właśnie ochotę...  
 Przycisnął ją czuje  
 Że więcej kosztuje...

A Janek do wojska, na długie lata dwa...  
 Ach czemu ją tak kocha, aż łzy w oczach ma...  
 Może jeszcze się odmieni, może wezmą na jesieni  
 Jak będzie po żniwach...Raz jeszcze dwa piwa...

- A Ty Zaradka w wojsku byłeś, czy w seminarium?
- Ja się ciebie o takie sprawy nie pytam. Nie pytam, czy byłeś w kiciu, czy na odwyku. Wszyscy tu wszystko o sobie wiemy i goście tego nie muszą wiedzieć. Goście przyszli i pójdą, a my zostaniemy.
- No może masz rację. W Straszonym Dworku ćwiczyła Krystyna Prońko, a teraz osiadł Marek Grechuta z kapelą. Nic nie widać, ale słychać ich daleko. Podobno gospodarz też z nimi gra.
- Wiem.
- No właśnie. Tak nazywa się nowy zespół Marka.
- Jak?
- „Wiem”.
- Jedno co wiem i mogę gościom powiedzieć, to tyle, że jak miałbym stąd się ruszyć to na pewno nie do Wrocławia.
- A niby gdzie? – zainteresował się Jacek z WysRolu.
- Na West. Tam jest przynajmniej wolność. Nikt by mnie gonił za uprawę trawki. Za jedną doniczkę miesiąc na rozmyślania. Przemyślałem wszystko – pochwalił się Gostek.
- I doszedłeś do jakiegoś wniosku?
- Tak. Doszedłem do wniosku, że socjalizm jest do dupy. Przepraszam panią.
- Co ty wiesz o socjalizmie- zdenerwował się Jacek.  
 Moich starych postawili pod ścianą w czterdziestym piątym. Mieli dwór koło Szczawnicy i byłoby po nich, gdyby chłopci nie wstawili się u kamandira. Wyblągali... Państwo byli dla nas dobrzy- mówili.
- I zostawili ich w spokoju?
- Tak. Bez dworu.
- No a ty będziesz znowu krowy hodował. Może dyrektorem PGR-u zostaniesz. Jak będziesz miał legitymację partyjną.
- Prędeż duszę diabłu sprzedam.
- Diabeł jest czerwony i strzela w tył głowy – stwierdził Komandos - Jak w Katyniu. Głosy dyskutujących podniosły się znacznie, a grająca szafa nadal milczała.

Tadeusz wstał od stołu i rozejrzał się po sali. Pan „My” jakby tylko na to czekał.

Podszedł do niego zdecydowanie.

- Dobrze, że znów się spotykamy. O jedną rzecz chciałem pana zapytać.
- Proszę...
- Czy mieszkający w Londynie inżynier o rzadkim imieniu Sabin, to wasza rodzina?
- Jeśli myślimy o tej samej osobie, to być może. Mam kuzyna Sabina.
- W Londynie.
- Tak. Wyjechał tam przed wojną.
- Kontaktujecie się?
- Pan wybaczy. Nie odpowiem na to pytanie.
- Tu pan nie odpowie, ale są miejsca, gdzie będzie panu trudno milczeć w tej sprawie.
- Znam takie miejsca -Tadeusz nie dawał się wyprowadzić się z równowagi.- Dobrze je znam i wiem, że czasy się trochę zmieniły. Złożyłem podanie o paszport.
- A ja wiem, że major Sabin był dowódcą Kompanii Radiotelegraficznej współpracującej na przykład z generałem Andersem. Kontakt z nim jest równoznaczny z wyrokiem za szpiegostwo. Chyba nie chce pan pozbawić głowy swoją rodzinę.

Kasia zaniepokojona nieobecnością ojca prędkim krokiem przeszła przez salę. Dojrzała go i chciała już wrócić do stołu, gdy podpity turysta z roześmianą gębą klepnął ją w pośladek. Natychmiast poderwał się Jacek, a za nim Zaradko, Wszyscy pozostali odsunęli krzesła. To samo stało się przy stoliku kolegów dowcipnisia, ale Zaradko podrzeźbił ich z osobna tak, że usiedli z powrotem. Cios, który zadał Jacek był precyzyjny. Prosto w podbródek. Frywolny turysta odbił się od ściany i usiadł na podłodze. Mógłby obserwować teraz całą akcję jak kinoman na amerykańskim westernie, gdyby nie to, że odkleiła mu się siatkówka oka, o czym dowiedział się już po autopsji. Dalej wszystko działo się mniej więcej tak jak w balladzie, którą Leszek tego dnia nie dokończył, chroniąc przede wszystkim akordeon.

„...Antek się zatoczył  
Na Maćka popatrzył  
A że się ośmielił  
Ten pięścią go dzielił...”

Mniej więcej tak... Jednak Tadeuszowi z córką udało się bez uszczerbku wyjść na zewnątrz w momencie, kiedy pan „My” rzucił się do telefonu za ladą. Milicja z Podgórzyna była po dziesięciu minutach. Na domiar złego...To właśnie było najgorsze...Wkrótce potem gospoda „Pod lipami”, należąca do miejscowego GS-u, spłonęła doszczętnie. Tak więc, dwieście lat podobnych lub nieco innych zdarzeń zapamiętanych przez te ściany, nie uratowała niestety ochotnicza straż pożarna z Przesieki. Drewniane belki były wysuszone jak pieprz, a butelki spirytusu w magazynku płonęły jak koktajle Mołotowa. Podejrzewano, że na kasie było jakieś duże manko. Prawdopodobną przyczyną pożaru mogły być jednak cotygodniowe spędy młodych ludzi szukających swobody w Karkonoszach. Ich piosenek nie grało żadne radio,

a mimo to stawały się znane w całej Polsce. W dalekiej Ameryce Bob Dylan śpiewał song „Odpowie ci wiatr...”. W Wietnamie płonęła dżungla od napalmu. We Wrocławiu...

Tadeusz wyjął ze skrzynki wezwanie na ulicę Podwale, gdzie mieściła się wojewódzka komenda Milicji Obywatelskiej i Urząd Bezpieczeństwa. Miał jeszcze ciągle nadzieję, że rozpatrzone jego podanie o paszport.

- Nie mam dobrych wieści - powiedział na wstępie pułkownik Tulikowski, nie podnosząc głowy znad biurka. Mamy tu raport. Pański kuzyn z Londynu - Sabin, był dowódcą Specjalnego Oddziału Radiotelegraficznego w Barnes Lodge, który nawiązywał także

bezpośrednią łączność z radiostacjami AK w kraju. Wiem, że to było w czasie wojny,

48

ale późniejsze jego kontakty z generałami Sosnkowskim, a zwłaszcza Andersem, nie mogą być przez nas akceptowane, nie mówiąc już o naszych sojusznikach.

W tej sytuacji proszę natychmiast przerwać korespondencję z kuzynem. Panu przecież grozi recydywa. Żadnych nowych funkcji w pracy proszę nie przyjmować... Wiemy, że proponowali panu kierownictwo uczelnianej biblioteki...

- Jestem tylko portierem w Wyższej Szkole Muzycznej.
- I niech tak pozostanie.

## MARZEC 68

Kasi udało się zakwalifikować na giełdę piosenki w Warszawie, którą 11 marca w kawiarni „Nowy Świat”, przy Krakowskim Przedmieściu prowadził znany redaktor Polskiego Radia. To nie było tak całkiem proste, bo najpierw, w lutym, wystąpiła na Ogólnopolskiej Giełdzie Piosenki Studenckiej w Opolu i uzyskane tam wyróżnienie pozwoliło jej zaśpiewać w stolicy. Niektórych uczestników konkursu już знаła. Była tam studentka z AWF-u, Maryna Ogradowicz, także Janek Pietrzak z kabaretu „Hybrydy”, a nawet Wojtek z Karkonoszy, tym razem bez akordeonu. On to właśnie zaproponował jej swojego akompaniatora w sytuacji, gdy z Wrocławia nie dojechał pianista, z którym od roku współpracowała. Z Aleksandrem, była tylko po jednej, co prawda, ponad godzinnej próbie, zanim kawiarnia wypełniła się gośćmi i jurorami. Był perfekcjonistą i zapewniał ją, że wszystko się uda. Dla niego sprawa była prosta. Polonez As- dur opus 53 grał od dawna, choć może nie powinno się używać takiej miary czasu w przypadku rozkochanego, czarnowłosego dwudziestolatka. Tadeusz, ojciec Kasi napisał słowa do tego właśnie utworu Chopina. Czy to więc była piosenka, czy coś więcej? Jury na opolskiej giełdzie to się podobało, a nawet redaktor Andrzej Jaroszewski był zachwycony. Tu jednak w Warszawie panują inne prawa i zwyczaje- niepokoiła się Katarzyna. Tego co się wydarzyło jednak się nie spodziewała. Za oknami kawiarni Nowy Świat narastał gwar. Słychać było nawoływania i gwizdy. Demonstracje studenckie po zdjęciu z afisza mickiewiczowskich „Dziadów”, trwały już kolejny dzień. Giełda piosenki mimo to jeszcze trwała.

- Dziękujemy Janowi Pietrzakowi za przewrotną, choć bardzo aktualną piosenkę „Spokojnie chłopie”. Teraz przed najmłodsza uczestniczka, która właśnie wchodzi na estradę, Katarzyna Song. Nie wiem... Na końcu jest litera g, czy k. Kasiu, czy to twój artystyczny pseudonim? Och przepraszam, nie odkrywajmy tej tajemnicy... Powiem tylko, że przy fortepianie będzie jej towarzyszył świetny pianista Aleksander Strun. Proszę jak dźwięcznie brzmią te nazwiska, a co dopiero będzie jak zabrzmiał muzyka...

Wybuch petardy za oknem i milicyjna syrena, przerwały zapowiedź. Cisza zapanowała w kawiarni, ale i na zewnątrz. Konferansjer obejrzał się na rozgadane jury i postanowił kontynuować zapowiedź.

- Mam nadzieję, że sytuacja się uspokoi. To już przecież sam finał naszej comiesięcznej Giełdy Piosenki. Zatem naszych artystów zapraszam raz jeszcze na estradę.

Aleksander rozpoczął poloneza z taką werwą, że nie powstrzymały go pewnie wystrzały armat. Kasia włączyła się śpiewem mniej pewnie, trochę drżącym, choć czystym głosem.

„...Romantycznie

To pojmuwać tylko tak  
Jak pojmuje niebo ptak

...Romantycznie

Znaczy Kocham- ty i ja  
Znaczy Chopin wielki gra  
Pocałunki, bicie serca i akordy...

Dalej już pewnie, mocnym głosem rozpoczęła frazę, która jest muzyczną deklaracją.

Kocham świat  
Za zasłoną szarych dni...  
Choć nie zawsze wiem jak żyć  
W uśmiechu...łzy..."

W tym momencie trzask rozbitej szyby i odgłos podkutych butów na ulicy powstrzymał solistkę nie tylko od śpiewu. Wstrzymała zaczerpnięty głęboko oddech. Aleksander grał jeszcze, nawet jakby mocniej i uparcie, a odkryte do samotnego pierwowzoru akordy poloneza mieszały się z wyciem milicyjnych syren tak jakby to dopiero była pełna kompozycja.

- Drodzy państwo! Jesteśmy zmuszeni przerwać prezentację piosenek. Mam nadzieję, że wrócimy do nich za miesiąc. Przepraszamy wykonawców i gości...  
Konferansjer potknął się pośpiesznie opuszczając estradę. Katarzyna stała jak wmurowana w podłogę. Konsternację wszystkich powiększył jeszcze młody człowiek, który wbiegł do sali krzycząc...
- Milicja odcina drogę od Uniwersytetu i od strony Placu Zamkowego ! Jak ktoś ma legitymację studencką niech ją wyrzuci...Pakuj nas do suk !  
Aleksander chwycił Kasię za rękę.
- Spokojnie. Wyjdziemy razem. Nic nam nie mogą zrobić.

Do Wrocławia wieści ze stolicy docierały z kilkugodzinnym opóźnieniem. Strajk rozpoczął się na Politechnice. Z jej studentami solidaryzował się matematyk, doktor Ryszard Krasnodębski, głodując na znak protestu. Na Uniwersytecie wiec w barokowej Sali Leopoldina przekształcił się w okupację gmachu, który został otoczony przez kordon milicji. Ze studentami pozostał rektor, słynny polski badacz polarny, profesor Alfred Jahn. „Jeśli wejdziecie będziemy się bronić. Korytarze są wąskie. Nastąpi masakra.”- mówił do wysłanników SB. Tymczasem na Akademii Muzycznej panował spokój, tylko obwieszczenie na drzwiach wejściowych informowało, że zajęcia zostały odwołane. Alicja, która od roku prowadziła zajęcia na wydziale wokalnym, zatrzymała się przy portierni jak zwykle, by wymienić pozdrowienia z portierem.

- Oddaję klucze.
- Tam już nikogo nie ma?- spytał Tadeusz
- Byłam sama...Jak w moim życiu.
- Alicjo. Siądź na chwilę. Zrobię ci herbatę. Dlaczego mówisz, że jesteś sama. Studenci cię uwielbiają. Wszyscy chcą być w twojej klasie śpiewu. A ty...
- A ja wracam do pustego mieszkania.
- Przecież masz syna.
- Tak. Na szczęście...Ale on grywa po nocach w knajpach. Przychodzi do mnie w niedzielę. Wiesz przecież, że mam jeden pokój. On mieszka w akademiku. Magisterskiej pracy nie obronił jeszcze...To ma prawo...

- Alicjo. Powiedz mi...Czy ma kontakt z ojcem?
- Ma. Teraz jest właśnie w Warszawie. U ojca jest świetny fortepian. U mnie nawet pianino się nie zmieści... Nie rób tej herbaty. Pójdę zaraz. Na mieście coś się dzieje...
- Alu. Tu możemy swobodnie rozmawiać. Dzisiaj taka cisza.
- Gdyby nie ty...Może wróciłabym do Warszawy...Rozumiem wszystko...  
Gdyby nie Barbara...No i Kasia oczywiście...
- Dobrze, że ty to mówisz.
- No właśnie. Dzisiaj tu taka cisza...Masz rację. Wrócę jeszcze sama pośpiewać.  
Tadeusz zamknął bramę, powiesił klucze. Trudno było spodziewać się kogoś o tej porze. Ostatnie tramwaje zjeżdżały do pobliskiej zajezdni przy ulicy Powstańców Śląskich. W małej auli pałacyku stał tylko jeden fortepian, za to koncertowy. Tadeusz czasem, właśnie podczas wieczornych dyżurów, próbował grać na nim, będąc pewnym, że nikt go nie słucha. Teraz zdecydował się pójść za Anną, a właściwie za jej głosem, który rozlegał się po korytarzach.
- Lubisz tak śpiewać a capella?
- Mam inne wyjście?
- Alicjo. Daj mi chwilę i tylko nie patrz na ręce. Nie. Nie podnoś klapy.  
Zaskoczona Alicja przysiadła obok Tadeusza, który nie nuty, ale tekst rozpostarł przed sobą. Nokturn Es-dur popłynął spokojnie spod jego rąk i gdyby rzeczywiście nie patrzeć na karkołomne palcowanie...

„...Tak wiem...Czy to dla mnie ?

Czekałam... Tak czekałam parę lat...

Myśli tak niezgrabne

Nie mogę ich wyjawić

Choć je znasz...

...Ten nokturn Chopina

Jak w mrok spowity świecy drżący płomień

Czas zamarł, my płyniemy jak przez sny

Nie...To nie miłość

Jesteś tylko przy mnie

Ty...

Ten dzień tak zwyczajny

Jak zwykle dni bywają przez cały rok

Dokąd zmierzamy?

Marzenia niech skryje, niech skryje mrok...

Alicja przestała improwizować. Przykucnęła przy Tadeuszu i po chwili położyła głowę na jego kolanach. Grał dalej. To trwało. Cieszył się, że nie podgląda jego rąk.

Jej podbródek wbijał mu się nieomal boleśnie w udo.

- Alicjo, błagam cię. Śpiewaj. To dla ciebie napisałem.

„...Jak szept, jak milczenie

Jak pierwsza kropla deszczu w dzień wiosenny

I my już odmienieni...Minął czas...

Nie...To nieprawda

Wokół nas się zmienił

Czas...”

Alicja nagle przerwała by wypowiedzieć takie słowa...

- Prawda. Świat jest piękny, a ty stanowisz jego cudowny element...Jakkolwiek to rozumiesz, jesteś kawałkiem piękna...
- Co ty Alu wygadujesz? To prędzej ja mógłbym tak powiedzieć, o kobiecie, którą...
- No właśnie... Jesteś oszczędny w słowach. Graj...

„...W tej powodzi zdarzeń

Tak łatwo przeoczmy jedną z chwil  
Może właśnie dla niej  
Może właśnie dla niej  
Warto było żyć...

Nie pytaj jak Hamlet

W półkłamstwach tkwi półprawda...Tylko to...  
Zaczekaj...Błagam  
Za nim nas ogarnie noc...Noc...Noc...

Kołatanie do bramy było gwałtowne. Słychać było wielogłos, który nie zdziwiłby w środku dnia, ale teraz, kiedy zajęcia są odwołane nie wydawał się naturalny.

Tadeusz zostawił Alicję przy fortepianie i spokojnie zszedł na parter.

- Halo, halo! Czy nie moglibyśmy wejść?

Grupka studentów wydelegowała najładniejszą dziewczynę.

- Kochani! Naprawdę nie mogę was wpuścić. Są godziny rektorskie, a właściwie dni. No, wiecie lepiej ode mnie co się dzieje.
- My tylko do auli. Tam jest dobry instrument. To tylko z wydziału wokalnego parę osób. Nie ćwiczyliśmy od dawna porządnie. Andrzej jest z instrumentalnego. Obiecał nam podegrać.

Alicja dyskretnie przeszła obok portierni i Tadeusz zmuszony był uchylić bramę.

Kilka osób wykorzystało sytuację.

- O właśnie...To pani nam mówiła, że samą teorią nie można żyć...
- Zwłaszcza do auli nie mogę was wpuścić. Rektor stanowczo zakazał. Boi się, że jak wejdziecie zrobicie strajk okupacyjny. Teoria wam się przyda, a fortepian możecie sobie namalować.
- Pan jak zwykle żartuje, panie Tadeuszu.
- Broń boże. Ja na takim grałem przez kilka lat.

Studenci porozsiadali się na schodach.

- Ale intonacja? – odezwał się Andrzej.

Tadeusz przysiadł obok młodego pianisty.

- Intonacja kolego...To zjawisko nieuchwytnie. Można powiedzieć, że cała twórczość Chopina jest intonowaniem jego życia. To naprawdę może dziać się w wyobraźni. Na przykład taki finał Sonaty b-moll...
- Pan to zna?
- Ja to grałem.
- Co pan opowiada. Ja nie jestem w stanie tego jeszcze zagrać, z w tym roku mam dyplom. To niesamowicie trudne...Trzecia część jest łatwiejsza. To gram bez problemu.
- Tak kolego. Marsz pogrzebowy jest rzeczywiście łatwiejszy. Ten finał jednak... Czy posłuchaliście kiedyś sonatę z uwagą do końca? Ten wiatr...To wybiegnięcie myśli i tonów w przyszłość. Sto lat do przodu. Może więcej... A pani jak ma na imię?

- Konstancja.

- A niech was diabli...Tylko błagam. Nikomu ani słowa, że was wpuściłem i nie siedźcie mi tam po nocy, a jak będziecie wracać, to pojedynczo.

Na ulicy są patrole.

- Hurra!

Studenci ruszyli do auli od razu z przyśpiewką i tam kontynuowali ją już swobodniej z akompaniamentem fortepianu, na melodię mazurka.

„...Wolne uniwersytety

Nie jest wolny kraj niestety

Jak ktoś przyjdzie do nas z dwora

Przedstawimy mu rektora...

Będzie wykład i ćwiczenia

Nadrobi brak wykształcenia

Postawią wam tu po pale

Swoich pał nie wnoście wcale...

Jak już czytać dacie rady

Poczytajcie dzieciom „Dziady”

Tutaj Wrocław, a tam Kraków

Niech wyrosną na Polaków...

Nic nie zrobi im milicja

Będzie większa opozycja...

Nie oddamy Chinom za nic

Związku Radzieckiego granic!”

## APARTAMENT

W Warszawie wrzało. Kasi i Aleksandrowi udało się przejść podwórkami od Krakowskiego Przedmieścia omijając liczne patrole. Byli to zarówno milicjanci jak i poprzebierani za robotników aktywiści Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej. Wiele autokarów rozwoziło ich przez te dni po centrum stolicy. Prawdziwi pracownicy Żerania i Huty Warszawy wracali o tej porze zmęczeni do ciasnych mieszkań, włączali czarnobiałą telewizję, by posłuchać gorącej relacji o nieodpowiedzialnych elementach destabilizujących państwo, o wichrzycielach będących na garnuszku imperialistycznych zleceniodawców z Ameryki i Zachodniej Europy. Także o syjonistach, których należało wysłać natychmiast do Syjamu. Bunt na uniwersytetach w krajach kapitalistycznych dopiero dojrzały, by osiągnąć apogeum w maju. Czyżby więc ten antysystemowy przecież, marcowy bunt studentów polskich był prekursorem światowych zdarzeń? Jakże inne przecież były jego przesłanki. Takich przemyśleń rzecz jasna nie miała ani Kasia, ani Aleksander, który przekręcał klucz w drzwiach mieszkania swojego ojca. Stanęli oboje w przedpokoju. Słyszając z wnętrza monotony kobiecey głos...

„...Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...”

- Och panie Aleksandrze...Przepraszam. Już się biorę do roboty. Ojciec prosił, żeby trochę posprzątać, zanim...

- Czy mówił kiedy wróci?

- Nie... Chyba późno. Mówił, że mają jakieś ważne narady...

- Panie Aleksandrze. Co się dzieje? Ja tak się boję... Tu od powstania takich huków nie było... Chyba wojny nie będzie...
  - Co pani mówi? Jaka wojna? Kogo z kim? Niech pani idzie do domu. Nic pani nie zrobią. Proszę być spokojną. Ja ojcu powiem, że panią odesłałem. Acha... Niech pani zostawi klucze.
  - Kasiu. Weź od pani klucze i czuj się jak u siebie w domu.
  - A to Twój dom?
  - Ojca.
  - Jaki wspaniały fortepian. Tato gra?
  - Nie. Ja na nim gram. Czasami.
  - Koncertowy Steinway. Musiał nieźle kosztować.
  - Półkoncertowy... To ciekawa historia. Podobno należał do jakiegoś literata, który zwariował i trafił do Tworek. Jego piękny dom pod Warszawą był rozszabrowany przez nieznaną sprawców. Rękopisy jego niepublikowanych dramatów fruwały po ogrodzie. Kiedy wyniesiono już wszystko, fortepian stał jeszcze. Miejscowi chcieli go porąbać, a metalową płytę wywieźć na złom.
  - Wygląda jak nowy.
  - Sporo kosztowała renowacja. Udało się zachować jego wspaniałe brzmienie.
- Alek podniósł klapę i wykonał pasaż.
- Alku. Może moglibyśmy teraz popróbować... Tak dla siebie. Dla mnie...
  - Pewnie. Wiesz. Ja będę grał poloneza w oryginale. Tak jak go skomponował Chopin, a ty po prostu śpiewaj. Tak jak potrafisz. Jak czujesz... To jest jak śpiew ptaka, którego zadziwia przestrzeń i zмага się z wiatrem. Wiatr cichnie. Uspokaja się, by za chwilę zmienić się w wicher.
  - Już to kiedyś słyszałam. Chyba tak mówił mój tato. W końcu to jego tekst...
  - Mnie to powiedział mój nauczyciel od fortepianu. Mówił, że wiele utworów Chopina zawiera w sobie rozdzierające pytanie- „Dlaczego?”. Ten jednak polonez krzyczy z radości... „Och ! Och Tak!”
  - Och, tak ! Aleksandrze. Śpiewam...

„...Romantycznie to pojmować tylko tak

Jak pojmuje niebo ptak

Drzewa wiatr...

Romantycznie- to jest szukać nowych prawd

To jest zdobyć jedną z gwiazd

Niech rozpali świat...

Romantycznie – to jest wierzyć w urok chwil

To w porywie szukać sił

Na zwyczajne dni...

Romantycznie, znaczy Kocham- ty i ja

Znaczy Chopin wielki gra

Pocałunki, bicie serca i akordy...

Romantycznie- to ta pamięć, która trwa

O tych co wciąż żyją w nas

Cienia blask...

Romantycznie- to nie jakiś dawny mit

To dzisiejszych czasów rytm

Romantycznie- to zrozumieć także tych  
Co choć różne mają sny  
Czują tak jak my...  
Romantycznie- to aż do utraty tchu  
Przeżyć zachwyt, przeżyć ból...

Kocham świat  
Za zasłoną szarych dni  
Choć nie zawsze wiem jak żyć  
W uśmiechu łzy...  
Kocham świat  
Fryderyku powiedz mi  
Ile szczęścia można znaleźć  
Albo wcale  
Żadnych pragnień, żadnych marzeń co się spełnią..."

Kasia pochyliła się nad przygarbionym przy fortepianie Aleksandrem. Improwizowała dalej tekst swojego ojca, a może były to już także jej własne słowa. Alek grał w As dur, wierny Chopinowi, choć może czasem trochę ad libitum.

„...Czasem mi się tylko tak wydaje  
Jak bym żyła w innym świecie, innym świecie  
Przy klawiszach fortepianu chudy grajek  
Jak możliwe, że tak czułe dźwięki plecie...  
Że tak gada sobie ze mną jak ze siostrą  
Że mnie lubi, a ja pragnę go pocieszyć...  
Zagraj dla mnie tak łagodnie, nie tak ostro  
Nie chce odejść z tego świata, znów się spieszyć...

Tak...Mnie wcale odejść stąd niespieszno  
Oplatają nas te dźwięki i kołyszą...  
Miłość trwa- nie przyszłość to, nie przeszłość  
Choć te nuty wciąż się żywią wieczną ciszą...  
Z jakich niebios, ze snów jakich ta muzyka  
Świat dziś dziwny, rozedrgany i szalony...  
Szcuple ręce, słabe serce Fryderyka  
Jednak bije coraz głośniejsze, już jak dzwony...

Kocham świat  
Ten po którym los mnie gna  
Pragnę poznać go do cna  
Czy można tak?

Kocham świat  
Pośród ludzi, pośród spraw  
Może znajdę, co się śniło, co tęskniło  
Za co warto oddać wszystko...

Pokrzykiwania na korytarzu i zaraz potem gwałtowne walenie w drzwi przerwały uniesienie, w jakim bez wątpienia byli oboje. Alek zostawił Kasię w salonie. Chciał tylko zorientować się w sytuacji i nie zdejmując łańcucha zajrzał na korytarz. W szparę wcisnął nos Dawid, którego poznał na strajku w uniwersytecie.

- Na dole pałują! Wpuścisz?
- Właż!

Za Dawidem wpadło kilkanaście osób. Chłopaki i dziewczyny. Niektórzy w studenckich czapkach.

- Czyście poszaleli? To nie moje mieszkanie...Skąd jesteście?
- Ja...Politechnika, architektura.
- Ja...Akademia Medyczna. Poznaj, to Ola, moja dziewczyna z pierwszego roku.
- Mnie to chyba znasz...Akademia Muzyczna, wydział wokalny. Ci dwaj z wiochy... SGGW. Rita dopiero będzie zdawała maturę...
- Przecież znamy się z Dziekanki...A to moja dziewczyna – zaryzykował Alek, wskazując na Kasię.
- Tymczasem jestem przyjaciółką Aleksandra.
- Nie mów tak. – Obruszył się Dawid.- Przyjaciółki go opuściły. Jak zamknęli Alka na 48 godzin, za demonstrowanie po spektaklu „Dziadów” Mickiewicza, żadna się o niego nie upomniała. Ty na pewno jesteś wyjątkowa. Poznałem jego gust. Już wiem, że przepadł...Mam nadzieję, że nie śpiewasz...One wszystkie śpiewały i chciały i chciały by im akompaniował.
- Dawidzie odpuść. Mów, co tam się na dole dzieje...
- Ulica zagazowana. Próbuujemy te petardy odrzucać, ale oni mają maski przeciwgazowe. O, ja też mam maskę...Płetwonurka. Nie dali by nam rady. Ludzie zrzucali doniczki z okien. Z dachów leciały dachówki...Co prawda, nie wiem kto je zrzucił...Nie dali by nam rady, ale przyjechały autokary z robotnikami. Ciekawe, że ci robotnicy też mieli pały...
- Jacy robotnicy ?- zaśmiała się Rita.- Robotników to w ogóle nie obchodzi... Właśnie Alku. Ty wiesz pewnie o co tu chodzi. Dawid mówił, że twój ojciec jest jakimś szychą...
- Dajcie mu spokój. Wie tyle co my. Nie godzimy się z rzeczywistością i tyle. Jedno wielkie kłamstwo.
- Doszedł do tego przez 48 godzin?
- Wiedziałem to od dawna- wyznał Alek
- ...A mi się podoba. Przynajmniej tu – błaznował student z Akademii Medycznej, obejmując Ritę.- Twój stary ma niezłą chatę. Nie wygląda na mieszkanie biednego rewolucjonisty. Może byś coś zagrał. Na przykład Beatlesów...
- Odpieprz się...

Alek odebrał telefon i gestem dał znak by się wyciszyli. Wycofał się do przedpokoju i tylko stojąca blisko niego Kasia mogła słyszeć fragmenty rozmowy.

- U ciebie w domu...Nie nic...Przyszedłem trochę pograć. Hałas? To chyba z ulicy... Nie, nie będę się mieszał. Dziś ?...Studenci mają rację...O czym ty mówisz/ Jacy partyzanci? Tato, błagam. Nigdy mi nie mówiłeś prawdy. Powiedz choć teraz. Co? Kto miałby cię podsłuchiwać? Tato? Ty jesteś trzeźwy?... Właśnie słyszę... Żegnacie się...Kto wyjeżdża? Dokąd? ...Ja nigdzie nie wyjadę. Widzisz...Mama miała rację. Ona na pewno nigdzie nie wyjedzie...Halo...Halo! Tato...

Alek podenerwowany wrócił do salonu.

- Zwijajcie się! Za chwilę mogę mieć tu wizytę...
  - A co my gorsi? Wypędzasz nas na ulicę?
  - Milicja...Rozumiecie...Za chwilę może tu być milicja. Najgorsze jest zbiegowisko. Zaraz mogą was zwinąć... Acha i koniecznie wychodźcie pojedynczo.
- Kasia zarzuciła kurtkę i z rozpaczą rzuciła się Alkowi na szyję.
- Kasiu, ty zostań. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.
  - Wiem. Słyszałam. Masz wyjechać. Dokąd?
  - Nie wiem. Z Polski.
  - Jeśli masz wyjechać, to błagam, nic już mi nie mów. Widzę co się dzieje. Czytam gazety...
  - Gazety kłamią. Nie mam zamiaru wyjeżdżać...Chyba, żeby mama...Ale ona mi tego nie zrobi...
  - Nic już nie mów. Dograj mi do końca tego poloneza, a potem...Nie pojechałbyś ze mną w góry?

„...Kocham świat  
Choć potrafi być tak zły  
Gdy muzyka twoja brzmi  
Znów pragnę żyć...

Kocham świat  
Fryderyku jak i ty  
Lecz tak nigdy nie wyrażę tej miłości  
Tylu pragnień, tylu marzeń...  
Niech się spełnią...”

ALICJA. Ciągłe marzec 1968

- Późno wracasz do domu?
- Tadeusz nie miał wątpliwości. Barbara, z którą dzielił już prawie ćwierć wieku, z którą łączyły go wspomnienia wojenne, potem powojenne trudne lata z wieloletnią przerwą na więzienie, ta kobieta jest mu bliższa od jakiegokolwiek innej. Jednak czuł wyrzuty sumienia. Przecież nic się nie stało, przynajmniej z jego strony. Nic. No właśnie...Zawsze jest jeszcze ta druga strona, inna strona, czyjeś odczucia, a może i uczucia.
- Wiesz przecież jaka to durna praca. Mój zmiennik zachorował. Jutro niestety będzie podobnie. Teoretycznie szkołę można by zamknąć, ale tam zawsze coś się dzieje. Dziś prawie do północy były próby koncertów dyplomowych.
  - Wokalnych także?
  - Także.
  - Czy Kasia nie powinna była studiować raczej na wokalnym niż na instrumentalnym? To może z naszej strony była jakaś presja, żeby fortepian...
  - Basiu. Przecież ja jej nie namawiałem.
  - Wiem. Myślę, że ona sama chciała być może zrekompensować twoje pragnienia, twoje niespełnione marzenia.
  - Twoje pewnie też Basieńko.
  - Masz rację. Niech sobie śpiewa. Tylko, czy w tej rzeczywistości może liczyć na sukces. Boję się, że polityka rządzi estradą, radiem, telewizją i że trzeba być blisko tych co rozdają karty. Z Warszawy wróciła smutna, choć wiemy, że to nie jej wina. Prawdziwy talent się

obroni. Nasze dziecko go ma. Tadeusz objął żonę i przytulił mocno.

57

Myślał jednak o Alicji. To co ją spotkało poruszyło go do głębi. – Chcą ją zwolnić z Akademii. Rada Wydziału zarzuciła jej, że za bardzo spoufala się z młodzieżą, że pozwala na estradowe śpiewanie, że nie przestrzega regulaminu. Tak naprawdę, jedyne naruszenie regulaminu, to przedłużanie zajęć, kiedy zostaje dłużej ze studentami. Tylko tyle... Prawdziwy powód jest jednak zupełnie inny. Jej żydowskie pochodzenie.- Co do tego Tadeusz nie miał wątpliwości. Na uczelni nigdy nie dzieliła się swoimi przeżyciami z warszawskiego getta. Kiedy jednak po rozwodzie wróciła do swojego panieńskiego nazwiska, zaczęto to komentować. Jej włosy wydały się bardziej czarne, choć przyozdabiał je siwy kosmyk. Ktoś zwrócił nawet uwagę na kształt jej nosa... Tym kimś był docent, sekretarz uczelnianej komórki partyjnej. Na zwołanym przez siebie nadzwyczajnym zebraniu partyjnym mówił o artystycznych osiągnięciach uczelni, o dyplomantach, którzy odnoszą sukcesy na ogólnopolskich konkursach i wreszcie o przeszkodach, które należy przezwyciężyć, by socjalistyczna kultura rozwijała się harmonijnie. Powołał się przy tym na towarzysza Wiesława, mówiąc o imperialistycznych tendencjach, które są niestety lansowane przez kadrę dydaktyczną. Takim negatywnym przykładem jest... Tu ściszył głos, ale niedawno zakupiony mikrofon przeniósł także i tę informację z auli na korytarze.

„, Tak...To nasza koleżanka Alicja... Czy zebrani tu wiedzą, że ona śpiewała w różnych spelunach. Czy to jest wychowawczy przykład dla naszych studentów?” Tadeusz czuł, że ten świątek, którego pilnował rozdając klucze do poszczególnych sal, do którego przywykł już, rezygnując z większych ambicji, staje się lepki, zakłamanym, choć przecież nie tak nieznośny jak więzienie. Jednak podobnie jak z więzienia, wyjście z niego nie jest łatwe. Pewna myśl zaczęła go dręczyć coraz częściej – Strunnicka... Tak nazywała się Alicja po mężu. Skojarzenie było nieodparte: Strun. Major Strun z ubeckiej rezydencji na Pradze. Mógł przecież spolszczyć swoje nazwisko.

- O czym myślisz Tadziu ?
- Co by było, gdyby Kasia wzięła dodatkowe lekcje śpiewu ? Talent i muzykalność mogą nie wystarczyć, prawda? Konieczne jest opanowanie wokalnych technik.
- A u kogo miałyby brać takie lekcje?
- Nie wiem – skłamał Tadeusz. Muszę pomyśleć.

Kasia wpadła do domu jak po ogień. Rzuciła do pokoju walizkę. Spakowała plecak. Nie chciała opowiadać o warszawskich wydarzeniach.

- W góry? Jak to? Z kim? Dokąd?
- Jeszcze nie wiem. Może do Przesieki...
- Kasiu. Niech poczekają. Nie szalej. Zjedz z nami chociaż śniadanie. Jak można jechać całą noc, a potem przeskoczyć z pociągu do pociągu.
- Czekają na mnie na dworcu...

W kawiarni na dworcu Aleksander umówił się z mamą. Nie chciał nachodzić jej znieścacka w jej skromnym pokoiku. W akademiku na Tęczowe było ciasno zawsze, a teraz tym bardziej nie było się jak spotykać. Wyrzucali niektórych studentów, zwłaszcza tych, którzy uczestniczyli w strajkach na innych uczelniach. Nie mógł zrozumieć, dlaczego dostał też wypowiedzenie z akademika. Na szczęście z miesięcznym terminem. Był przecież w tym czasie w Warszawie. Jego dwóch kolegów, już trafiło do orkiestry wojskowej. Jeden grał na puzonie i tubie, to się tam na pewno przyda, ale ten drugi, skrzypek...

- Mamo... Ty płaczesz?
- Co się stało? Czy powiesz mi prawdę? Jesteś zdrowa?
- W porządku synku. To ty coś zmizerniałeś. Z ojcem się widziałeś? Jak on w tym wszystkim się odnajduje? Zawsze spadał na cztery łapy...

- Nie widziałem go. Byłem u niego w domu, ale rozmawialiśmy tylko przez telefon.

Bardzo był zdenerwowany. Chyba może mieć kłopoty. Mówił o wyjeździe z kraju, z Polski.

- Synku. Wiem. Czas jest niespokojny, ale wierz mi...Były o wiele gorsze czasy. To, że jesteś, że cię urodziłam...To cud. Mam tylko wyrzuty sumienia, że tak rzadko jestem z tobą. Coraz rzadziej...Z kim ty się tu umówiłeś? To dziewczyna? Będę zazdrosna...Mam nadzieję, że ją mi kiedyś przedstawiś.
- Kiedyś? Ona tu będzie za godzinę.
- Wybacz mój kochany. Mam coś pilnego do załatwienia. Chwilowo jestem bez pracy.
- Jak to? Mamo...
- Nie martw się, ale przygotuj się także na to, że będziemy musieli podjąć decyzje, które zaważą na naszym życiu. Moim i twoim.
- Mamo. Ty nie wyjedziesz z kraju, z Wrocławia?
- Nie !

To ostatnie słowo Alicja wykrzyczała, aż obejrzeni się klienci przy innych stolikach. Wstała. Przytuliła głowę syna do piersi, jakby był małym dzieckiem i wyszła szybkim krokiem. Aleksander wiedział dobrze, że nie może za nią wybiec. Nie lubiła scen.

Kasia spóźniła się. Aleksander zdążył przeczytać kilka stron „Buszującego w zbożu” i to w języku angielskim. Szlifował ten język przy każdej okazji, myśląc o dalekich podróżach. Także o koncertowaniu w różnych miejscach na świecie. Nie tylko bardzo dalekich. Pianistyczne konkursy we Włoszech i Francji, zobaczenie miejsc gdzie przebywał Chopin na Majorce... Marzył by dotknąć jego instrumentu. Raz udało mu się to w Żelazowej Woli. Był przekonany, że granice kiedyś się otworzą dla młodych, dla niego, a więc musiałoby to stać się niebawem. Ojciec wyjeżdżał na Zachód, miał nawet znane stypendium Fulbrighta i spędził dwa miesiące w Stanach, ale ojciec...On przecież miał swoje konszachty z władzą. Aleksander nie chciał go oceniać, odrzucał taką pokusę i tylko, co do jego relacji z matką, był całkiem obiektywny, czyli był zdecydowanie po jej stronie. Jednego jednak nie przewidział śledząc „dziury” w żelaznej kurtynie. Nie sądził, że ona się ostanie, a jego bliscy znajdą się po drugiej stronie niekoniecznie z własnego wyboru.

- Czemu mi wcześniej nie mówiłeś, że to Twoja mama?
- Kiedy miałem ci to powiedzieć? Skąd mogłem wiedzieć, że ją znasz?
- Na uczelni studenci ją uwielbiają.
- Ona już tam nie pracuje.
- Niemożliwe, w zeszłym tygodniu...
- To stało się w tym tygodniu.
- Wraca do Warszawy?
- Nigdzie nie wraca i nigdzie nie wyjeżdża. Może spotkamy się z nią jak wrócimy z Karkonoszy. Czy zamierzasz tam być dłużej?
- Chciałeś powiedzieć...Czy zamierzamy tam być dłużej? Wiesz dobrze, że ja mam egzaminy. A ty?
- Ja jestem wolny. Nie mam akademika, nie mam planów, pogram w jakiejś knajpie. To może być wszędzie. Tam, gdzie będzie miejsce dla pianisty. W Karpaczu chłopaki mnie chcą...W najgorszym razie sam stworzę jakiś zespół, znajdę knajpę, solistkę i się ożenię.
- Z kim? Czy mogę to wiedzieć?
- Z tobą. Oczywiście z tobą.

Megafon dworcowy zakaszłał, odchrząknął i zapowiedział pociąg do Jeleniej Góry.

- Zbierajmy się. Życie przed nami – powiedział patetycznie Alek zakładając plecak.

„ ...Posłuchaj ballady o drodze  
 O drodze jaką pragniesz iść  
 Posłuchaj ballady o sobie  
 Jeśli chcesz sobą być...

Gdyby tak iść, ciągle przed siebie, wciąż dalej i znów  
 Gdyby tak iść, by nie powracać do miejsc raz przebytych i dróg  
 I ludzi nowych poznawać co dnia  
 By ich w pamięci takimi zachować  
 Jakimi są nim odmieni ich czas...

Młodzi nie będą się starzeć  
 Starzy nie będą umierać  
 Umierających zarazem  
 Witac będziemy i żegnać...

Tych co zostaną z nami  
 Jak towarzysze w podróży...  
 Im zostaniemy wierni  
 Z nimi będziemy najdłużej...”

To była pierwsza ballada jaką zaśpiewał im Leszek w „ Barze pod Wesołym Misiem” w Przesiece, który przejął funkcję spalonej „ Gospody pod Lipami”. Nie było tu już szafy grającej. Na ścianie wisiał za to telewizor. Za barem stał właściciel, komendant Ochotniczej Straży Pożarnej, co było gwarancją, że ten wyłożony drewnianą płytą lokal nie zapłonie. Pod wieczór schodzili się tu mężczyźni z budowy domków letniskowych i ci, którzy byli właśnie w ciągu alkoholowym, ale o tym nie wiedzieli. Przychodzili także spaleni słońcem ludzie leśni, którzy ściągali w ciągu dnia zmurszałe pnie z gór, zamęczając konie w korytach kamienistych potoków. Siadali przy stołach z młodą inteligencją z Wrocławia, by pokłócić się o politykę. Z ekranu telewizora przemawiał do wszystkich Władysław Gomółka. Gdy jego wystąpienie przedłużało się, a przedłużało się zawsze, wtedy ktoś wyłączał telewizor i zaganiał Leszka do akordeonu, który kończył nie kończącą się „Balladę o drodze”. Tak nie było każdego wieczoru, ale się zdarzało. Tymczasem podjechał małym fiacikiem Zyzio, wrocławski aktor znany z komedii „Sami Swoi” Sylwestra Chęcińskiego.

- Widzieliście co dzieje się na szosie po tej deszczowej burzy? Na asfalt wypłynęły z rowu setki żab. Sam na pewno wiele rozjechałem na miazgę. Szkoda ich, ale co mogłem zrobić?
- Co zrobić? Zgarnąć je z powrotem do rowu. Mamy tu jakieś miotły- poderwał się Zaradko, tym razem nie do bójki.

Bar opustoszał. Na odsiecz małym płazom wyszli prawie wszyscy. Niektórzy na chwiejnych nogach. Zmiatanie żab, także gałązkami, zakończyło się sukcesem. Kasia wróciła do baru z małą żabką w dłoni.

- Wypuść ją. Namaluję ci taką – obiecał Zaradko.
- Przecież ty jesteś rzeźbiarzem.
- Żab nie rzeźbię. Ciebie mogę wyrzeźbić...
- No, no. Nie rozpędzaj się kolego.- odezwał się Aleksander.
- Właściwie już ją wyrzeźbiłem. Ona ma twarz Piety. Mogę zaraz skoczyć do chaty...

- Jutro nam pokażesz.- Jutro powiecie, że ją rzeźbiłem przez całą noc.

Leszek uruchomił akordeon może chcąc rozładować sytuację , a może chcąc dowieść, że muzyka jest lepsza od rzeźby.

„...Jeśli kochamy zbyt zazdrośni  
O każde słowo, o spojrzenie  
Gdy miłość staje się własnością  
Zamiast radości jest cierpieniem...

Gdyby tak iść, ciągle przed siebie, wciąż dalej i znów  
Gdyby tak iść, by nie powracać do miejsc raz przebytych i dróg...”

- Stary...- Udobruchany Alek poklepał Zaradkę po ramieniu. Robi się późno.  
Odprowadzimy cię do domu.

Wyszli już w ciemną noc. Na parującej szosie stał z włączonymi światłami pusty trabant Zyzia. Przed maską, na asfalcie siedziała wielka ropucha. Jej oczy odbijały światło jak małe reflektorki. Kasia wypuściła do rowu małą żabkę. Ropucha skoczyła za nią, a może nie za nią, zaskakująco, a może zaskokująco wysoko i daleko. Zaradko miał pracownię w budowlu, która jak stary młyn przylegała ścianą do Czerwonego Potoku spływającego gdzieś od Śnieżnych Kotłów. Po ulewnym, ciągłym już deszczu, huk wody utrudniał rozmowę. Rzeźbiarz jak generał na polu bitwy wskazał ręką stół, na którym stała otulona w białą płachtę Pieta. Odślonięta twarz, rzeczywiście mogła kojarzyć się z buźką Kasi, gdyby nie rozpacz wyrażona mimiką. Na dłoniach miała bezwładnie zwisające dziecko, a nie dorosłego Chrystusa. Drewniany cokół przypominał rozwarte, piekielne szczęki, w których Matka Boska uwięzła, z których próbowała się wyrwać.

- Nie znam dobrze Nowego Testamentu. Nie chodziłem na religię, ale zdaje mi się, że matka trzyma Jezusa po zdjęciu z krzyża – zauważył Aleksander – a to jest dziecko...
- On był dla niej zawsze dzieckiem... – Kasia pogłaskała drewnianą twarz.- Czuję łzy, wiele łez...
- To łzy afrykańskich matek, którym dzieci umarły z głodu.- odezwał się Zaradko. My tych łez nie widzimy, ale ich jest tyle co w tym deszczu. Zasiliłyby potok, może i wodospad...
- Zaradko. Ty jesteś poetą, a rzeźbiarzem przy okazji – wyrwało się Aleksandrowi. A dzieci...Ile ich zamordowano w getcie, w obozach, tu w Polsce...Milion? Więcej?
- Mój tato powiedziałby, że to łzy matek dzieci zabitych przez Niemców w Powstaniu Warszawskim. Napisał nawet taki tekst do preludium Chopina, ale go tu nie powiem, bo nic nie słyhać...Tylko początek...- Kasia wyrecytowała...Szkoda, że go tu nie ma.

„... Kiedy pada deszcz  
Łzami koi świat  
Milionami łez  
Uspokaja nas...

Kiedy pada deszcz  
Niech w deszczowych łzach  
Spokój spłynie też  
Pod twój dach...”

- Zaraz, zaraz... Mam taśmę...Ten magnetofon działa?

## AD LIBITUM

Pobyt w Karkonoszach przedłużał się. Aleksander podjął próbę założenia kapeli. W samej Przesiece było kilka domów tzw. Funduszu Wczasów Pracowniczych, a w niedalekiej okolicy, w Karpaczu, Sosnowce, Szklarskiej Porębie- jeszcze kilkanaście. Do każdego z nich co dwa tygodnie przyjeżdżał nowy turnus wczasowiczów. Rodziny z dziećmi, emeryci, samotne kobiety. Robotnicy, księgowi, pielęgniarki i nauczycielki, szoferzy i wykładowcy wyższych uczelni. Taki pobyt kosztował ich niewiele, albo nic i właściwie był to jeden z tych - co by nie mówić- pozytywnych przejawów tzw. realnego socjalizmu. W każdym z tych ośrodków, oprócz tanecznych wieczorków zapoznawczych i pożegnalnych, był zawsze organizowany przynajmniej jeden koncert. Nomen omen- spirytus movens - wszelkiej rozrywki był kaowiec, czyli etatowy pracownik kulturalno-oświatowy. Jednak jego panem był główny kaowiec w karkonoskim zarządzie FWP. Na spotkanie z nim nie wystarczał już spirytus. Trzeba je było wspomóc wysokiej klasy koniakiem. Na ogół owocowało to zawarciem umowy na szereg cyklicznych koncertów. Konkurencja była niemała. Z Wrocławia zjeżdżało tu stadko chałturników. Znany konferansjer zapowiadał operetkowe diwy. Poniemieckie, zbyt rzadko strojone fortepiany dogorywały pod ręką akompaniatorów. Gdy ich nie było na stanie, konferansjer sam nogą włączał magnetofon i pod playback śpiewał tak jak umiał, by jeszcze zapowiedzieć iluzjonistę, który wyciągał gołębie spod sukienek pań. Jego wybranka dawała się na ogół po występach zaprosić do pokoiku na iluzję szalonej miłości.

Na uczelni Alek nie miał co wracać. Kasia przyjeżdżała z Wrocławia na próby. Czyż mógłby znaleźć lepszą solistkę? Przystojny Wladek, z tej samej szkoły, przekładał na estradzie saksofon na zmianę z klarnetem i ujazawiał radiowe przeboje. Problemy występowały raczej z zestawem perkusji niż z perkusistą. Kontrabas był za duży, by go wciskać do busika marki Barkas, kupionego ze wspólnej zrzutki, ale rzeźbiarz Zaradko najpierw markował, a potem rozwinął swoją grę na gitarze basowej, zamieniając ją czasem na akustyczną w egzotycznych balladach. Jack Breza, który zabłysnął precyzyjnym ciosem w spalonej gospodzie „Pod Lipami”, błyszczał także dowcipem i elokwencją jako konferansjer. Gościem specjalnym bywał wrocławski aforysta Henryk Jagodziński, który wyglądał jak duch gór, Liczyrzepa, nie przystrzygając chyba nigdy brody. Trawestował znane fraszki Leca.

„...Nie da ci ojciec, nie da ci matka, tego co może dać ci sąsiadka...”

Lecz to wypadek wcale nie rzadki, że da ci także mąż tej sąsiadki...”

Wszystko to razem już wystarczało, by długo nie milkły oklaski w świetlicach, stołówkach, a czasem w muszli koncertowej. Tylko ceny angielskich koniaków dla głównego kaowca rosły z miesiąca na miesiąc, uszczuplając honoraria młodych artystów. Gwiazdą wieczoru była oczywiście Kasia. Jej wokół rozwinął się bardzo po dodatkowych, wrocławskich lekcjach z Alicją. Aleksander zaczął poważnie myśleć o Kasi jako zawodowej piosenkarce. Uzupełniając skład o inne instrumenty mogliby nagrywać piosenki dla Polskiego Radia we Wrocławiu, a potem może i w Warszawie. Nie mówił jej jeszcze o takich planach, ciesząc się każdym dniem spędzonym razem w Karkonoszach. Doba miała jednak dwadzieścia cztery godziny i czas był najwyższy, aby zaoszczędzić na wynajmowaniu w pensjonacie „Złoty Widok” dwóch pokoików, z których jeden do północy był zazwyczaj pusty. Odprowadzał ją w końcu na jej piętro, po czym zapraszany na ostatnią herbatę wychodził nad ranem.

- Zostań.

Czekał na te słowa od dawna, przeklinając własną nieśmiałość. Do tej pory nie całował jej nawet, zastępując pragnienie potokiem nieważnych słów.

- Dziś śpiewałaś jakoś inaczej.
- Tak jak w Warszawie, kiedy grałeś mi pierwszy raz?
- Właśnie. Wydawało mi się, że nie śpiewasz dla publiczności, tylko ...
- Tylko dla ciebie? Tak było. Nie bój się. Dotknij mnie. Uwielbiam twoje dłonie. Patrzę na nie jak grasz. Czasem wydaje mi się, że one biegną do mnie, ale zaraz odwracają bieg. O czym myślisz jak grasz?
- Tylko o tym że gram, że mam trafić w klawisz.
- Przecież musisz przenieść zapis utworu, nieważne czy z nut, czy z pamięci na klawiaturę. Myślę sobie, że nie ma większej korelacji w przyrodzie jak przeniesienie muzyki poprzez palce pianisty, w jednej chwili, w ułamku sekundy, z mózgu na...
- Raczej z serca.
- Wtedy improwizuję, albo gram ad libitum...
- Zrób to teraz. Dotknij mnie Aleksandrze.

Dotknął wargami jej ust. Były ciepłe i wilgotne. Ich palce splotły się jak białe i czarne klawisze fortepianu . Jego dłuższe i mocniejsze. Jej szczupłe i delikatne. Tej nocy zwierzały się i rozwierały wielekroć.

„...Muzyka jest jak dobry dom  
 Jak drugie życie, lepszy świat  
 Tu się nie pleni strach i zło  
 Muzyka chroni nas od nas...

Harmonia tu panuje, lecz  
 Dysonans uwypukla ją  
 Kontrapunkt jest jak noc i dzień  
 Spleceni w miłość- ona, on...

Wolność wyborem jest jak żyć – żyj ad libitum  
 Nie stłumisz pragnień głośno krzycz – krzycz ad libitum  
 Crescendo, już przyspiesza rytm – już bliżej świtu  
 A teraz piano...Serce drży...Jak w ad libitum...

Klawisze...popatrz jaki szyk  
 Czarny i biały jest jak brat  
 Nie strzela do nikogo nikt  
 Armstrong swinguje tak jak Bach...

Paganiniego Chopin gra  
 Brak smyka...Strun nie braknie mu  
 Bethowen puka znów do bram  
 Poza którymi słucha Bóg..."

Zwrotki i refren tej piosenki dźwięczały zapewne im w głowach na przemian, bo jak mogło być inaczej, skoro ćwiczyli ją uparcie od tygodnia, zamierzając nagrać w duecie. Nie wiedzieli jeszcze, że cenzor, który siedział za obitymi dermą drzwiami w budynku radia na ulicy Armii Czerwonej, wyrazi w delikatny co prawda sposób, swój sprzeciw.

- ... No nie mówcie, że wam tu brakuje wolności... Nie można by tego słowa zamienić na słowo – miłość... Tak wiem, tu nie ma nic na partię, ani na miłujący pokój Związek

Radziecki i dlatego ja tekstu nie przekreślam, nie odsyłam was do naczelnego...Bóg?

63

To może ostatecznie zostać...Nasze stosunki z kościołem są stosunkowo poprawne Armstrong...Czarny jak smoła. Na trąbce gra i tak trochę rzezi...Nie mam zastrzeżeń. Odsłania korzenie. Swoje własne, ale i imperializmu amerykańskiego. Nie widzi mi się tylko to... Wolność...Miłość...Oba słowa są sobie warte, ale to drugie w sytuacji kiedy czarne chmury zbierają się nad sąsiednim, przyjaznym nam krajem byłoby właściwsze. Zamienicie te dwa słowa i podbijam...

Piosenka miała jeszcze powtarzający się refren, który nie wzbudził już obiekcji cenzora. Słowo „ad libitum” także nie kojarzyło mu się z niczym. Czy na pewno? może wiedział swoje i odegrał komedię. Był w końcu w pracy. Miał swój kryptonim zamiast nazwiska.

„...W kosmosie wieczny koncert trwa – to ad libitum  
Tam względna przestrzeń jest i czas – jak w ad libitum  
Wirują dźwięki wokół gwiazd milczących w krzyku...  
Ktoś dawno żył a jest wśród nas – cud ad libitum...”

I śpiewaj aż zaboli śpiew- śpiew ad libitum  
Muzyka w tobie jest jak krew- doczekasz świtu  
Na przekór diabłom co w złych snach- graj ad libitum  
Improwizując tworzysz świat – świat ad libitum...”

Kolejnego ranka w „Złotym widoku” obudził ich potężny pomruk. Wybiegli oboje na balkon Niebo nad głównym grzbietem Karkonoszy przecinały dziesiątki białych smug. Rozprasały się one prędko w ogromne warkocze, których początkiem były lekko skośne krzyżyki samolotów.

- Boże! Co to jest? W którą stronę one lecą?

Kasia i Aleksander chwycili się za ręce jak para małych dzieci przestraszonych widokiem przedpotopowego potwora. Przetaczał on się właśnie ze wschodu na zachód ponad lśniącymi w sierpniowym słońcu szczytami. W godzinę później na asfaltowej drodze wiodącej na Przełęcz Karkonoską zazgrzytały gąsienice czołgów. Musiało ich być wiele, bo kucharka zdążyła odmówić kilka różańców. Po nich przejechały jeszcze ciężarówki. Spod plandek wyzierali żołnierze z orzełkami na furazerkach. Nie wyglądali na zdobywców. Zjeżdżali z przełęczy w kierunku na Hradec Kralowe, asfaltową, czeską drogą obsadzoną drzewami. Oficerowie nie pozwalali im zrywać dojrzałych owoców. Czesi jednak spluwali w stronę polskich czołgów. W dwa tygodnie później na wielkim stadionie w polskiej stolicy, w czasie rządowych dożynek, Ryszard Siwiec podpalił się na znak protestu przeciw inwazji wojsk układu nazywanego dla niepoznaki „warszawskim”. Zmarł od płomieni, które były pierwsze. Dopiero kilka miesięcy później podpalił się praski student, Jan Palach. Po nim jeszcze kilkunastu Czechów. Wybrali swoją śmierć. Byli wszyscy młodzi jak warszawscy powstańcy, którzy wybrali walkę. Łączyło ich to samo. Pragnienie wolności i miłość. Obłądana miłość do ojczyzny.

„ Bo żyjesz wiecznie jeśli grasz  
Na instrumentach duszy swej  
Nie strawi ciebie śmierć i strach  
Niebiańskie życie czeka cię.”

Realizator nagrania wyłączył mikrofon.

- Teraz będę zgrywał ścieżki instrumentalistów. Jest pani wolna.
- Panie Zbyszku. Kiedy będę mogła tego posłuchać na antenie?

- A to już nie zależy ode mnie.

64

Z Polskiego Radia we Wrocławiu do Wyższej Szkoły Muzycznej był tylko jeden przystanek tramwajowy. Nie warto było wsiadać do „17”, bo przechodziło się obok Parku Południowego. Co prawda po drodze była także knajpa „Kasztanowa”, z której popołudniu wpełzały solowo lub w parach miejscowe lumpy i panowie redaktorzy z radia oraz pobliskiej telewizji. Osobliwością lokalu był wszak Jasio Pawie Oczko, zdecydowanie mało przystojny niebieski ptak, który na pętli wsiadał do tramwajów. Jechał ten właśnie jeden przystanek zbierając na kolejne piwo. Straszyl swą aparycją pasażerki, po czym wysiadał, by nie oddalić się zbyt daleko od strategicznych dla niego punktów. Mieszkał bowiem w czołgu T-34, zdobitym jako pomnik pobliski Cmentarz Żołnierzy Radzieckich. Kasia wsiadła do tramwaju mając zamiar jechać na Plac Kościuszki. Jednak natarczywość Jasia Pawie Oczko spowodowała jej ewakuację już po przejechaniu jednego przystanku. Zajrzała do pałacyku, w którym mieściła się szkoła muzyczna z niewielką nadzieją, że spotka ojca. Jego dyżur na portierni powinien się już skończyć. Z uczelni wychodziła właśnie Alicja.

- Nie. Twojego taty już nie ma. Pojechał do Klubu Muzyki nastroić fortepian przed koncertem. Chodź, siądziemy w parku... Gdzie zgubiłaś Alka?
- Pani Alicjo. Jak dobrze, że spotkałyśmy się. Ostatnio jeszcze nie chciałam o tym mówić, zresztą lekcje z panią są dla mnie tak ważne, że nie chciałam ich zakłócać moimi sprawami.
- Kasiu. Alek to jest także mój syn.
- Wobec tego odważę się. Wydaje mi się, że on ma jakiś problem. Zrobił się małomówny. Jest ciągle zamysłony. Ćwiczy niewiele, jakby przestał wierzyć, że fortepian jest jego życiową szansą. W Karkonoszach grał nawet po nocach. No i mieliśmy jednak koncerty. Teraz nie goli się, zapuścił brodę i pyta mnie- „ Czy wyglądam jak żydowski rabin?”
- A te nagrania w radio jak wyszły?
- Chyba nieźle... Starał się. Zmieniał aranżację, angażując też wrocławskich muzyków.
- Chciałabym to usłyszeć, choćby z taśmy. Miałam mu kupić na urodziny magnetofon, ale teraz niewiele zarabiam i tylko upiekłam babkę. Myślę, że po prostu jest w pani bardzo zadurzony i wcale mu się nie dziwię...Choć może jest pewien problem.
- Pani Alicjo. Proszę mówić szczerze...
- Ojciec... On nawiązał z Alkiem kontakt po raz pierwszy od wyjazdu do R.F.N. Myślę, że namawia go na przyjazd do siebie. Alek pokazał mi list. Był podenerwowany. Podarł, ale przedtem przeczytał mi fragment. W Stuttgarcie jest jakiś słynny klub jazzowy. Prowadzi go narzeczona mojego byłego męża. Podobno Alek miałby tam granie za przyzwoite honorarium. To miałby być wyjazd na miesiąc, dwa...Za to można by było kupić spore mieszkanie we Wrocławiu. Och tak...Teraz wszystko jasne. On na pewno nie chce jechać bez ciebie.
- Myślę, że on nie chce także zostawić pani. Mówił, że martwi się o pani zdrowie...
- Ach tak...Nie powinien się przejmować. Wszystko będzie dobrze. Lekarze mnie pocieszyli. Dziś medycyna robi cuda.
- Pani Alicjo. Co by było gdybyśmy podjechali teraz do Klubu Muzyki. Ojciec pewnie tam jeszcze jest. Jak stroi fortepian, to pewnie będzie jakiś koncert. Posłuchamy sobie.

Tato zapraszał mnie. Mówił, że będzie jakaś niespodzianka.

Kierownik klubu o urodzie dojrzałego cherubina wpuszczał na salę spóźnionych gości, konfidencjonalnie przytykając palec do ust. Zabrakło krzeseł i kilka osób stało w hallu.

Alicja wykorzystując znajomość z kierownikiem Ciasteczko, pozwoliła sobie wejść do służbowego pokoiku na zapleczu. Przez dyskretne otwory w ścianie mogła zajrzeć na widownię. Tadeusza już nie było. Kasia chciała wyjść, ale nagle zamarła. Z garderoby

65

wyszła kobieta, której twarz była jej znajoma. Dumna i charyzmatyczna. Eloquentny prelegent skończył właśnie swoje wprowadzenie i zapowiedział występ skrzypaczki światowej sławy. Przy fortepianie siedziała... mama. Teraz Kasia przypomniała sobie, że kiedyś opowiadała jej o wielkiej artystce. Czy znała ją z dawnych warszawskich lat? Może zachorował jakiś akompaniator... Kiedy asystent wyjął z futerału stradivariusa, ucichły szepty. Cherubinowy kierownik klubu z kurtuazyjnym wdziękiem zapalał kolejne świeczniki. W małej salce której ściany były obwieszane zabytkowymi cytrami było trochę duszno, ale panujący za oknami hałas podwórka nie pozwalał na uchYLENIE okien. Jeszcze jeden siedmioramienny świecznik został zapalony przy samym fortepianie, a jego płomyki rzucały ruchome cienie na twarz skrzypaczki przesłanianą raz po raz rozedrganym smykiem. Barbara grała swobodnie, zerkając na solistkę częściej niż na nuty. Kasia dawno nie widziała mamy tak uniesionej i szczęśliwej.- Gra, wreszcie gra publicznie i choć to nie ona jest obiektem zachwytów, czekała na ten moment od lat .- Nagle skrzypaczka odwróciła się w jej stronę, tak jakby szukała jakiegoś wsparcia, po czym runęła na podłogę. Świeczniki pana Ciasteczko zabrały wielkiej artystce resztkę tlenu. Barbara bezwiednie uderzyła jeszcze akord, po którym było już tylko słycać krzyk na widowni. Alicja natychmiast znalazła się przy leżącej i nie zastanawiając się uderzyła ją w twarz. Ktoś inny wylał na artystkę butelkę wody mineralnej.

- Proszę się odsunąć. – Asystent, który prawdopodobnie był też ochroniarzem, nawet nie próbował jej przywrócić do pionu. – Telefon! Jest tu telefon? Niech nikt stąd nie próbuje wyjść. Proszę wezwać milicję. Pan wie kierownik, czyja to żona...
- Dzwoniłem już na pogotowie. Zaraz tu chłopcy będą.- Kierownik klubu był pąsowy jak róża.- Na milicji nie odbierają... Oni przecież są tuż obok. Już biegnę. Boże ! Co to będzie? Barbara spokojnie składała nuty. Kasia czekała na mamę. Alicja pożegnała się, ale nie mogła wyjść. Wanda Wiłkomirska siedziała już na szerokim parapecie przy uchylonym oknie.
- Przepraszam kochani... Tak mi przykro. Mam zdrowe serce, ale te świece... Chyba było ich za dużo. Proszę tyle nie zapalać na moim pogrzebie. Wszystkich państwa zapraszam za to na mój jutrzejszy koncert w filharmonii.

Następnego dnia na komendzie, pułkownik Tulikowski miał inną interpretację całego wydarzenia.

- Panie Tadeuszu. Dziękuję, że pan przyszedł.
- Byłem wezwany.
- Rzeczywiście, rzeczywiście. Znowu się spotykamy. Co ja mam z tymi artystami... Proszę powiedzieć, czy miał pan dość czasu... Czy długo pan stroił ten fortepian w klubie?
- Niezbyt długo. Był w niezłym stanie.
- Czy oprócz pana ktoś był w klubie? Może pańska żona...
- Nie ona ćwiczyła w domu. Był tylko kierownik Ciasteczko...
- Znam. Słodziutki taki... Znamy go tu dobrze. Organizował koncert dla naszych funkcjonariuszy.
- Jak pan myśli, kto chciał otruć wybitną artystkę, która jest reprezentantką naszego kraju na siedmiu kontynentach.
- Chyba na sześciu. Na Antarktydzie nie grała.
- O kurwa ! Ty sobie kpisz, a sprawa jest poważna. Śmiertelnie. To mógł być zamach nie tylko na nią. Wiesz, a może nie wiesz... Jej mąż...
- Wiem. Przecież to było tylko chwilowe zatrucie. Te świece...
- A wiesz na pewno co było we flakonie, który stał na fortepianie...
- Na fortepianie nie stał żaden flakon. Kłapa była do połowy podniesiona. Moja żona...

- Właśnie. Oboje jesteście w to zamieszani. Zresztą twoja przeszłość jest nam znana. Od dziś będziesz się meldował co tydzień, dopóki sprawa nie wyjaśni się. Tu... W tym pokoju...Co tydzień !

66

Piosenka „Ad libitum” przez kilka tygodni utrzymywała się na liście przebojów Polskiego Radia we Wrocławiu. Aleksander któryś już raz zaglądał do Studia Kameralnego. Realizator Motas, lubił z nim pogadać, prawdopodobnie lubił pogadać z każdym.

- Chcesz herbaty?
- Dawaj.
- Posłuchaj...Nagrałem parodię przemówień Władysława Gomółki. „Towarzysze. Nie słuchajcie imperialistycznej propagandy. Nasze osiągnięcia nie budzą wątpliwości. Jeszcze niedawno staliśmy nad przepaścią. Dzisiaj robimy wielki krok do przodu.”

Kiedy Aleksander przyszedł następnym razem, Motas zapytał go sakramentalnie.

- Chcesz herbaty?

Tym razem puścił mu nagrania lwowskich piosenek.

- To już słyszałem w radio „Wolna Europa”...
- Słyszałeś, bo oni mieli to ode mnie, a ja przegrałem ze starej płyty mojej mamy. Słyszysz trzaski...Mam jeszcze parę audycji „Lwowskiej Fali”, ale tam kpią sobie z bolszewików. Za gruba sprawa...

Aleksander zaglądał do Marka Motasa chętnie.

- Chcesz herbaty?
- Zrób!
- Jasna cholera, żebyś ty raz nie chciał tej herbaty... Czy ty czasem jeszcze czegoś ode mnie nie chcesz?
- Zgadłeś. Chciałbym, żebyś mi skopiował te piosenki, które tu nagraliśmy. Może udałoby się je puścić w Warszawie, na ogólnopolskiej antenie...
- Oj bracie...Wiesz, że to nielegalnie by było...
- Znasz tam kogoś Marku?
- On zna.

Potężny Andrzej Waligórski, w bluzie koloru khaki wszedł do studia.

- My wrocławianie musimy sobie pomagać. Polsce szkodzą różne „...izmy”. Pośród nich jest „warszawizm”. Mogę się napić z wami herbaty ? Staram się pomóc jak mogę. Więcej wam powiem... Gdybym mógł, a nie pomógł, byłbym świnią. Zamiast dziesięciu przykazań stosuję to jedno moje własne i wam je polecam. Brzmi ... Nie bądź świnią!

## EXPRES ODRA

W Warszawie, na ulicy Woronicza nikt Aleksandrowi herbaty nie zrobił. Tymczasowa przepustka pozwalała na przebiegnięcie się po korytarzach bloku F i zajrzeniu do kilku gabinetów, które bronione były przez długonogie albo biuściaste sekretarki. W jednym z nich urzędował redaktor Triller, autor dzieła o radiu Wolna Europa, dyrektor festiwalu piosenek, miłośnik Maryny Ogrodowicz, bez wątplenia z wzajemnością. Jego sekretarka wyposażona zarówno w długie nogi jak i wydatny biust zerknęła na Aleksandra przychylnie, proponując mu stołek vis a vis swojego biurka. Drzwi gabinetu były uchylone, mimo obecności tam jakiejś kobiety. Sekretarka próbowała je przytknąć, ale redaktor raz po raz wychylał się jakby czekał na ważnego gościa. W końcu Aleksandrowi wydało się, że sekretarka także jest zainteresowana rozmową.

- Tak. Oczywiście. Pani może korzystać z całego wachlarza kompozytorów. Seweryn gdyby żył na zachodzie byłby oblegany przez producentów i znany ze swoich hitów na

całym świecie. Niemen...Kto wie...Trzeba by w niego zainwestować, tak jak Czesi zainwestowali w Gota, ale ryzyko duże. Jest specyficzny. No i ma przecież swoich autorów, z których większość leży w mogiłach. Romantyzm... To naprawdę go zgubi.

67

Dziś potrzebne są utwory mocno osadzone w naszej rzeczywistości. Pani takie pisze. Powtórzę moje zdanie...Kompozytorzy – pozostawiam decyzję, ale wykonawcy... Tu będę zdecydowany. Tylko Maryna. Jej brakuje osobistych, a zarazem społecznych tekstów. Przrzekam, że przyłożę rękę do promocji pani piosenek przynajmniej na telewizyjnej antenie. Za chwilę mamy festiwal w Opolu. Proszę tej szansy nie stracić. Proszę pozdrowić rodzinę.

Z gabinetu wyszła Agnieszka Osiecka.

- Pani Haneczko, proszę nikogo nie wpuszczać. Czekam na pana Fiszera. Coś się spóźnia. No dobrze, niech młody człowiek na chwilę wejdzie. Jakaś ważna sprawa?
- Aleksander podał mu taśmę z nagraniem i pozdrowił od redaktora z Wrocławia.
- Tak lubię Wrocław. Macie tam dobre teatry. Co ja mam zrobić z tą taśmą? Teraz jestem strasznie zajęty...O właśnie... Słyszę, że mój gość już się pojawił. Proszę, proszę panie Edwardzie. To jest kolega z Wrocławia. Jak pan się nazywa, proszę przypomnieć... A to... Pan był już w wojsku? Pan Fiszer napisał tą świetną piosenkę „Przyjedź mammo na przysięgę”. Słyszał pan chyba...Trubadurzy...
  - Och wypraszam sobie panie Witoldzie. Chyba napisałem wiele lepszych piosenek.
  - Wiemy, wiemy..., „Gdy strumyk płynie z wolna”...
  - Zdarzyło się i to. Byłem harcerzem, byłem żołnierzem, byłem jeńcem w obozie...Pan też śpiewa młody człowieku?
  - Gram.
  - Na gitarze?
  - Na fortepianie. Moja dziewczyna znakomicie śpiewa.. Mam tu taśmę i jej zdjęcie.
  - No proszę...Już gdzieś widziałem tą miłą twarzyczkę.
  - Śpiewała na giełdzie w kawiarni „Nowy Świat”, akompaniowałem jej wtedy, ale...
  - Och przypominam ją sobie. Nie zdążyła dokończyć. Coś tam było z Chopinem. Dziewczyna zrobiła na mnie wrażenie. Taka szkoda... Pana tam wtedy nie było, panie Witoldzie. Chyba pan walczył na innym froncie... Panie kolego. Proszę mi zostawić to nagranie, numer telefonu i jakiś adres. Ma pan w domu telefon?

Aleksander z budki telefonicznej dodzwonił się w końcu do matki. Jego niepokój był uzasadniony. Alicja czuła się gorzej i chwilowo musiała porzucić nawet te doraźne korepetycje ze studentami wokalistyki. Nie służyły jej także występy na dancinгах, po których wracała do domu samotnie, zazwyczaj po północy, przez opustoszały Wrocław. Lekarze zapisywali jej coraz droższe leki. Nie można ich było dostać w polskich aptekach. Mogła liczyć tylko na dwóch mężczyzn. Na syna i na Tadeusza, który wspomagał ją bardziej psychicznie niż finansowo. Nawet gdy brał dodatkowe godziny na portierni i stroił coraz bardziej zdezelowane pianina, to jednak musiał utrzymać zarówno żonę jak i córkę. Zastanawiał się już, czy nie powiedzieć Barbarze o swej przyjaźni z Alicją, ale odwlekał ten moment szczerości na później. Właściwie nie miał nic do ukrycia, choć był do głębi przejęty zdrowiem Alicji. Na szczęście Barbara uczyła coraz więcej dzieci. W inteligentkich domach na Oporowie, gra na fortepianie była częścią ich edukacji. Choć najbardziej obiecującym talentem była właśnie dziewczynka z wioski Mokronos, położonej dwa kilometry od miasta. Jej rodzice zaopatrywali rodzinę Tadeusza w ziemniaki, mleko, a czasem w cielęcinę, która była prawdziwym rarytasem. Ceny rosły. Strajki na wybrzeżu doprowadziły do zmiany pierwszych sekretarzy partii, ale niewiele zmieniły w życiu zwykłych obywateli. Teraz Aleksander brał każde granie jakie się mu się nadarzało. O małym fiaciku mógł tylko

pomarzyć. Brakowało mu czasu na przygotowanie repertuaru z Kasią. Pewnego dnia odebrał telegram z Warszawy: Proszę o potwierdzenie przyjazdu pani Katarzyny. Rezerwujemy hotel na dwa dni. Jednocześnie prosimy o przesłanie tekstu i nut piosenki „Romantyczność”.

68

Aleksander wreszcie spotkał się z Tadeuszem. To było pierwsze spotkanie od czasu kiedy odbyła się ich ostatnia lekcja. Przymusowa. Jednak żal było im się rozstać. Istnienie ucznia uratowało prawdopodobnie Tadeuszowi życie. Alek tego nie mógł wiedzieć. Teraz usiedli naprzeciwko siebie starsi o kilkanaście lat. Spojrzeli sobie w oczy. Od pewnego czasu było już wiadomo, że to on, syn Alicji jest chłopakiem Kasi. Było to dla wszystkich wrzuszające odkrycie. Barbara też poznała Alka i tylko ciągle nie wiedziała właściwie nic o jego matce, a tym bardziej o ojcu, który żył za rozpadającą się powoli żelazną kurtyną. Jakieś dziwne przyciąganie ziemskie, czy nieziemskie sprawiło, że tych kilka osób odnalazło się na przecinających się kierunkach życia. To było jak skrzyżowanie rozedrganych strun jednego wielkiego fortepianu. Nie potrzeba ich było stroić. Nie potrzeba było uderzać w klawisze, aby zagrały. Kiedy już grały, było zbyt późno, by poprawiać coś w zapisanych nutach.

- Panie Tadeuszu. Nie mam prawa zdecydować. To są przecież pana słowa do muzyki Chopina. Już nie mówię o prawach autorskich, ale przecież to miałyby wreszcie nagrać Kasia, pana córka.
- Twoja dziewczyna... Niech jedzie. Nie mam do nich zaufania, ale właściwie co mogą zrobić? Utwór leży w szufladzie. Kasia marzy o śpiewaniu. Słucha teraz głównie francuskich piosenkarzy i Ewy Demarczyk. Dobrze gdybyś mógł pojechać z nią razem. Byłbym spokojniejszy. Jak ją znam, to na pewno nie zgodziłaby się jechać ze mną. Wstydziliby się. Nie mnie, nie mnie... Tylko takiej sytuacji... Córeczka tatusia... Powiedz Alku. Jak czuje się mama? Nie widziałem jej od tygodnia. Tak byłem zapracowany.
- Kiepsko. Obawiam się, że będę musiał pojechać do Niemiec. Mam szansę zarobić na jej operację tam. Lekarz prowadzący uświadomił mnie, że czas jest naszym wrogiem.
- Kasia o tym wie?
- Jeszcze nie.

Tadeusz wracał do domu zazwyczaj po wieczornej zmianie. Niekiedy zostawał jeszcze w szkole po godzinach służbowych, kiedy było tam całkiem pusto, mając dostęp do dobrego instrumentu. Nie ćwiczył. Grał czasem tylko dla siebie. Przestał się jednak łudzić, że będzie jakkolwiek i gdziekolwiek koncertował. Pochłonęła go jednak nowa obsesja. Postanowił napisać libretto do opery. To byłoby jeszcze w miarę realne przedsięwzięcie. Pod warunkiem, że ktoś inny, kompozytor, napisałby potem muzykę, choćby do arii, lub innych partii śpiewanych. Szkopuł w tym, że ta muzyka już istniała. Była w ubiegłym wieku, ponad sto lat temu skomponowana przez Fryderyka Chopina. Czy Chopin zamierzał napisać operę? Niekoniecznie. Namawiał go do tego Józef Elsner, świetny kompozytor, ale też nauczyciel Fryderyka. Tadeusz, czytał po raz któryś fragment jego listu: „Chciałbym doczekać się opery Twojej kompozycji nie tylko dla powiększenia sławy /.../ w szczególności zaś kiedy przedmiot opery wzięty będzie z historii polskiej.”

- Posłuchaj Basiu... W Europie wydarzeniami na miarę epoki były wtedy wielkie, śpiewane przedstawienia z fabułą. Budowano teatry operowe projektowane przez najlepszych architektów. W Paryżu, Mediolanie, w Pradze, w Budapeszcie. Ambicją twórców takich jak Verdi, czy Moniuszko było stworzenie opery narodowej. Wtedy właśnie kształtowały się narodowe państwa, często wyzwalające się z imperialnego jarzma. Chopin pragnął wolnej Polski całym jestestwem. No i miał obok trzech polskich wieszczów. Czemu więc...
- Tadziu. To cały wykład. I to przed snem... Poczekaj. Zgaszę światło i przytul mnie.
- Otóż moja droga... Nasz geniusz miał świadomość, że nie starczy mu sił. Przeczuwał to.

Nieomal wiedział. Śpieszył się zachłannie, jakby znał datę własnej śmierci. Skomponował dzięki temu ponad setkę utworów fortepianowych. Tylko dwa koncerty. Wiedział jak bardzo wiele czasu pochłonęłoby instrumentowanie oper. Musiał pokonać czas.

69

- Masz rację. Przecież nie zagraliśmy razem-ty i ja- nawet połowy z tego dorobku-On jest we mnie. Napiszę słowa. Do jego muzyki. Wiem o czym, Basiu. Wiem o czym...

„Z tobą iść przez pola – to ojczyzna  
Chociaż świat tak kocham- teraz wyznam  
Że jak ty, tak ona jest mi bliska...  
Stracić ją łatwo, tak trudno odzyskać...”

- To wiersz Tadziu?
- To nie wiersz. To polonez A- dur. Nie słyszysz? On tam wszystko powiedział muzyką. Ja tylko mam to odczytać, a może odcyfrować. Kod genetyczny zawiera się też w muzyce. Może zwłaszcza w muzyce.

„Skąd ta więź tajemna, czy to miłość  
Bez ojca, bez matki bez rodziny  
Bez niej też by nam się jakoś żyło  
Jeśli bez troski żyć potrafimy...”

- Słyszysz? To powtórzone frazy poloneza. Tak jak grał je Paderewski, Rubinstein... Jak ja to grałem. Jasny przekaz. Muszę tylko odczytać całą narodową operę Chopina.
- Tadeuszu, czy to nie jest o sto lat za późno? Młodzi ludzie rzadko chodzą do teatrów operowych. Mają swoich idoli śpiewających rock. Czy Kasia chodzi do opery? Mają swoje musicale. Była z Alkiem na” Skrzypku na dachu”. Wiem, że im się podobało. Świat się zmienia...
- Co się zmienia? Czy czujesz się wolna? Czy Polska jest wolna? Czy Kasia może zobaczyć ten świat, który dla nas zamurowano? Prawdę o tym świecie. Nie bajkę. Muszę coś takiego napisać i może masz rację. Nie musi to być koniecznie opera. Może to być musical. Porywający jak” Skrzypek na dachu” i narodowy jak... Właśnie. Takiego polskiego nie ma. Ileż jest takich opowieści, o naszych losach. Przecież one są tak dramatyczne . Kiedyś i dziś. Nawet takie życie jak nasze...
- To jest opowiedziane w niektórych powieściach, czasem w filmie...
- A czy jest przedstawione, wyśpiewane, roztańczone na wielkiej scenie? Z najlepszą, najwspanialszą muzyką polską jaka już istnieje... Tego nie ma, ale będzie, będzie...
- Tadeuszu. Uspokój się. Jest późno. Przytul mnie.

Rano Kasia zastała ojca przy fortepianie. Stała w progu, nie zwracając na siebie uwagi. Ojciec miał przed sobą rozstawione nuty. Na podłodze walały się kartki. Dotykał klawiszy palcami starając się nie wydobywać dźwięku. Czasem jakieś klawisze odzywały się jednak pianissimo, tak, że mogła zorientować się w tonacji...A dur. Pod nutami Tadeusz zapisywał ołówkiem słowa i zaznaczał takty.

„...Śniła im się wolna - to ojczyzna  
Powstawali z kolan- rok po roku  
Cudem większym niż bitwa nad Wisłą  
Był krótki pokój...  
Kwiaty na mogiłach- to ojczyzna

takt od 17 do 24

Ich krew w naszych żyłach, myśli w myślach  
Jak wiatr co od szczytów niespokojna  
I póki my, póki my...póty wolna..."

70

W tym miejscu Tadeusz zastanowił się. – Przecież w hymnie jest „...Kiedy my... kiedy my...” – Kiedy my...A co potem? – „Póki my...” może trwanie ojczyzny skracać do jednego pokolenia. Jeszcze nie zginęła...teraz. „My” to jednak nie tylko jedno pokolenie...

- Tato.- Kasia zdecydowała się przerwać ojcu jego zajęcie.- Tato. Wyjeżdżam do Warszawy...
- Sama?
- Aleksander też wyjeżdża.
- Z tobą ?
- Tatusiu. On wyjeżdża wkrótce do Niemiec, do RFN. Musi tam jechać, zarobić na jakąś operację mamy. Bardzo drogą. W Polsce tego nie robią. Jego ojciec pomógł mu załatwić paszport niemal od ręki. Ma u nas jakieś znajomości... Rozumiem Alka, całą noc nie spałam...
- Ty płakałaś? Wiesz, że pojechałbym z tobą, ale praca...Nie dadzą mi teraz urlopu. Może na jeden dzień.
- Pojadę sama. Jutro.

Warszawa Centralna. Przejście do metra. Podwórkowa orkiestra naśladowująca Grzesiuka. Śpiewają „Nie masz cwaniaka nad warszawiaka...” Kasia czuje się jak prowincjuszka. Wie, że ma jechać do przystanku Wierzbno. Politechnika... Wsiada starszy mężczyzna, którego twarz wydaje się tak znajoma, że Kasia chcąc być grzeczną kłania się pierwsza. Nieznajomy odklania się z rozbrajającym uśmiechem. Aktor. Teraz go kojarzy z kryminalnym serialem. Wsiadają razem. Wychodzą z tunelu na ulicę Woronicza. Trudno się nie odezwać idąc obok siebie. On zagaduje. Może mu się podobam – myśli Kasia- Rozmowa o Wrocławiu, aż do portierni telewizyjnej. Sam telegram, który pokazuje portierowi budzi jego wątpliwości.

- Ta pani jest ze mną- To działa natychmiast.-  
Jak pani załatwi swoje sprawy, zrobię sobie przerwę na kawę. Zapraszam oczywiście Studio 2. Proszę mnie wyłowić...
- Redaktor z bloku F jest bardziej oficjalny. Udaje nawet pewne zaskoczenie.
- Proszę usiąść. Chyba to mój kolega wysłał ten telegram.
- Przywiozłam to o co państwo prosili.
- Ach tak...Te słowa do Chopina...Mówi pani, że to ojciec napisał.
- Tak. To jego tekst. Czy dotarło moje nagranie?
- Słuchaliśmy...To ta niefortunna sytuacja na giełdzie piosenki. Wtedy mogłaby pani to zaśpiewać w Opolu już w 68 roku...Gdyby pani wygrała...Teraz...Powiem szczerze...Sporo się zmieniło. Dyskutowaliśmy tu z redaktorem Jaroszewskim, tym z radia i mielibyśmy dla pani pewną propozycję...  
Dla pani i dla ojca, jeśli to jest jego tekst. Co do Chopina to nie mamy wątpliwości, ale jego i tak już nie chronią prawa autorskie.
- Ojciec napisał to z myślą o mnie, do oryginalnego utworu, Poloneza As – dur opus 53. Nic w muzyce nie chciał zmieniać...
- No właśnie. To chyba był błąd. „Kocham świat..” Byłby z tego wspaniały refren, ale canto powinno być współczesne. Ojciec może mógłby je sam dopisać. Potem już oczywiście aranżacja na orkiestrę symfoniczną. Zainteresował się sam pan Nahorny.
- Nigdy nie śpiewałam z taką orkiestrą.

- Dlatego proponuję pani udział w koncercie debiutów, na tegorocznym festiwalu w Opolu. Z inną piosenką.
- Z jaką?
- Proszę nam zaufać. Będzie pani zadowolona, a „Romantyczność” mogłaby być w koncercie premier festiwalu i to w podwójnej obsadzie, bo tak zamierzamy prezentować piosenki w tym roku.
- Nie wiem czy ojciec by się zgodził...
- Proszę mu przekazać, że w jednej obsadzie zaśpiewałaby Irena Santor, albo Joanna Rawik, a w drugiej zespół „Partita”. Ta druga obsada to prawie pewna nagroda... Och powiem pani, tak między nami...Ha...ha...W tym zespole śpiewa córka ministra kultury.
- Naprawdę nie wiem co na to ojciec.
- Proszę zadzwonić. Z tego telefonu...
- To nie takie proste. Czekamy już czwarty rok na przyłączenie aparatu. Zadzwoń do sąsiadów. Powinien być w domu po czternastej...
- Zapraszam na kawę do bufetu.
- Przepraszam. Już mnie ktoś zaprosił...
- No proszę.

Nie poszła do baru przy Studio 2. Nie wróciła do redakcji. Z budki telefonicznej zadzwoniła do wrocławskich sąsiadów. Do telefonu podeszła mama. Była podenerwowana nieobecnością męża, który wyszedł rano do pracy, stawiał się na portierni, ale zaraz potem gdzieś wyszedł. Zadzwoił tylko do zmiennika. Do tej pory nie wrócił też do domu.

Expres „Odra” do Wrocławia jechał prawie sześć godzin. Chciała przysnąć. Wpatrywała się w pędzące w odwrotnym kierunku pola i lasy. Nie martwiła się o ojca.- Jest szalony i na pewno się odnajdzie.- Katarzyna rozważała już bez emocji propozycję redaktora z TVP. - Bardzo chciała zaśpiewać tę jedną piosenkę, nie jakąś inną. Myślała, że Alek, tak jak kiedyś, będzie jej akompaniował przy fortepianie, że także stworzy instrumentację na orkiestrę. Wyobrażała sobie swoje wejście na estradę, w reflektorach, po symfonicznym wstępie i pierwsze akordy. Nahorny...Podobał jej się jak grał na saksofonie, ale nie kojarzyła jego aranżacji. Mogła się w końcu pogodzić z tym, że zaśpiewa to ktoś inny, ale tylko dlatego, by przybliżyć ojcu realizację jego marzenia o chopinowskim musicalu. Tylko dlatego. Z dworca głównego zadzwoniła do Aleksandra.

- Kasiu. Rano karetka zabrała jego mamę do szpitala. Miała atak. Jestem w mieszkaniu tylko po jej dokumenty i szlafrok.

Ten dzień był wyjątkowo długi. Katarzyna poczekała, aż mama położyła się spać. Zdała ojcu relację z pobytu w stolicy. Udawał, że jest zaczytany. To przecież był młodzieżowy tygodnik „Radar”. Była tam jedna z najlepszych szpał poetyckich redagowana przez Bohdana Urbankowskiego. Tym razem jednak...

- Zobacz Kasiu. O dziwo wydrukowano w nim tekst mojej piosenki p.t. „W rytmie serca”.

„...Widzisz jak rodzi się dzień  
Nie wiesz dobry, czy zły  
Czujesz jak wzmaga się rytm  
Bicie serca...”

- Tato. Powiedz jak się czuje Alicja.
- Stan stabilny- powiedział lekarz Aleksandrowi.
- Chciałabym ją jutro odwiedzić. Od której są wizyty?
- Chcesz się spotkać z nią, czy z Aleksandrem?

- Z nimi.

- Powstrzymaj się od wizyty w szpitalu. Ona nie jest w dobrej formie. Alek zresztą też. Jego wyjazd do Niemiec jest nieuchronny. Tak jak konieczne jest to lekarstwo...  
Posłuchaj..
- Chcesz powiedzieć, że mam ci być posłuszna. Tak?

„...Droga, ta którą już znasz  
Zieleń wiosny letni wiatr  
Zawsze pragniesz więcej...  
Słuchaj jak ci bije serce...

Kiedy bije mocniej, wtedy ludzie mówią, że to miłość...  
Kiedy bije mocniej, wtedy wiesz na pewno  
Właśnie żyjesz...

Teraz, właśnie teraz  
Ważne wszystkie chwile  
Jedno tylko życie  
A miłości tyle...”

- Może to zaśpiewałabyś w koncercie debiutów w Opolu, a „Romantyczność”...  
Niech już śpiewa Joanna Rawik.

„ Wierzysz, że ktoś tak jak ty  
Myśli, kocha, pragnie żyć  
Słów nie trzeba więcej  
Słuchaj jak ci bije serce...”

Wreszcie Kasi udaje się spotkać z Aleksandrem wychodzącym ze szpitala. Do budynku z czerwonej cegły przylega dziewiętnastowieczny kościół i niewielki park. Rozglądają się za wolną ławką. Wszystkie zajęte są przez ludzi w piżamach i szlafrokach. Większość z nich pali papierosy. Ziemia wokół ławek pokryta jest niedopałkami. Aleksander też wyciągnął paczkę. To mu się zdarzało bardzo rzadko.

- Alku. Co ty wyprawiasz? Ci ludzie tu chorują na płuca.
  - Tak jak mama. Ona nigdy nie paliła.
  - Wybacz. Nie mogłam prędezej. Nadrobię to jutro.
  - Będę ci wdzięczny. Odwiedź ją jutro, bo ja...Ja już się z nią pożegnałem.
  - Co ty mówisz? Jest tak źle?
  - Wyjeżdżam do Niemiec.
  - A ja?...Mówisz mi to na końcu?  
Byłaś w Warszawie...
  - To znaczy, że ze mną też się pożegnasz... Teraz.? Jutro?
  - Kasiu. Moje ukochanie. Nie mam wyjścia. Muszę mamie pomóc. Wiem, że to zrozumiesz.  
Wrócę jak tylko będę mógł. Jak zarobię na to lekarstwo. Przysięgam ci to. Czekaj. Kocham tylko dwie osoby na świecie. Ciebie i mamę.
- Ławka pod murem, za wielkim jałowcem, zwolniła się zanim zapadł zmierzch. Uścisk Alka był mocny. Trwali tak wtopieni w siebie, w bezruchu. W końcu ławka rozkołysała się

skrzypiąc w jednostajnym, a potem przyspieszonym rytmie ich ciał. Krzyk Katarzyny spłoszył stadko gołębi. Poleciały w mrok. Przejeżdżający ulicą, podzwaniający tramwaj dopełnił muzyki tego wieczoru, zarazem przywracając rzeczywistość. Stygli powoli.

## ŻELAZNA KURTYNA

73

Barbara otworzyła drzwi zanim Tadeusz przekręcił klucz. Nie było to trudne do przewidzenia, bo suczka Daisy rozpoznawała z daleka jego kroki i cichutko popiskiwała.

- Znowu tak późno wracasz?
- Kasi jeszcze nie ma?
- Twoja nieodrodna córeczka...
- Tyle spraw się nałożyło, a poza tym pisałem...
- W domu nie ma warunków do twórczości?
- Wiesz... To się dzieje równolegle. Muszę przegrywać frazy na fortepianie.
- Nasz „Green” jest zły?
- Nie chciałbym hałasować po nocach. Poza tym dawno go nie stroilem...
- Szewc chodzi bez butów... Postanowiłam dostroić go sama.
- Znalazłaś klucz?
- Znalazłam coś jeszcze, w fortepianie była skrytka. Właściwie taka listwa z motywem lilijek. Odstawała trochę, chciałam ją wcisnąć, ale odpadła cała. W środku było... Nie stój tak ... Wejdz do pokoju, to ci pokażę.

Barbara położyła na stole pomarszczony, pergaminowy rulonik. Wyciągnęła z niego poźółkłe kartki papieru nutowego i jeszcze malutką kopertę, która była zaklejona.

- Czekałam, żeby otworzyć to razem z tobą.
- To jakiś utwór. Ciekawe kto był właścicielem tego fortepianu zanim go kupiłem na targowisku. Nutki nie wszystkie są czytelne. Spróbuj Basiu coś zagrać.
- Nie zagram raczej. To kawałek partytury...
- Jest partia fortepianu... O tu...
- Tadziu. Może najpierw otworzymy ten liścik...
- Już, już. Fur Franz J. Oppersdorff ... Ludwig van Beethoven ... Oberglogau 1806. Nie... To jakiś falsyfikat... Oberglogau... Gdzie to jest? To na pewno nie jest V symfonia. Spróbuj zagrać kawałek.

Barbara najpierw odczytała nutki prawej ręki, gubiąc wartości. Powtórzyła kilka taktów już poprawniej.

- Tam Basiu są szesnastki... Tonacja... Popatrz na tonację...
- B- dur?
- Basiu... To tak jakby początek IV symfonii B-dur. No niemożliwe... Poszukajmy w encyklopedii... Mamy tu Brookhousa... Te tomy w zielonej oprawie, co je wyrwałem z makulatury... Ten Oberglogau... Jest mapka. To niedaleko Opeln – Opola. To może być Głogówek. Co tu jest prawdziwe? Te nuty. Liścik z dedykacją...
- Prawdziwy, Tadeuszu, jest fortepian marki „Green”...

Suczka Daisy zaszczekała radośnie, widząc Kasię próbującą bezszelestnie wejść do drugiego pokoju.

- Katarzyno. Na miłość boską... Gdzie byłaś tak długo? – Tadeusz rzadko podnosił głos.
- Tatusiu... Aleksander wyjeżdża do RFN.
- Kiedy?
- Jutro.
- Musisz się z nim jeszcze spotkać.
- Jesteśmy umówieni na Dworcu Głównym. Pociąg do Drezna. Potem ma przesiadkę.
- Basiu. Przepisz tę dedykację. Niech Alek zabierze kopię. Jeśli jest autentyczna, ma sporą wartość. Jeśli Beethoven grał na tym fortepianie...

Skończą się nasze kłopoty finansowe. Może będę miał za co wystawić chopinowski musical, a i na lek dla mamy Alka...Może nie będzie musiał grać dla Niemców.

- O czym ty mówisz tato?

74

Pociąg do Drezna jechał żwawo. Nie zatrzymał się nawet na granicy z „dobrymi” Niemcami. Paszport sprawdzili mu polscy wopiści. W Dreźnie Alek musiał odnaleźć podstawiony zestaw wagonów do Stuttgartu. Peron był zatłoczony. Nigdy jeszcze nie widział tylu starych ludzi na raz. W kolejce do wejścia pociągu stała procesja całkiem siwych głów kobiecych i męskich. Z trudem przesuwali swoje bagaże.

- Czy oni jadą do nieba, czy do czyścica- pomyślał Aleksander i dlaczego ja, szczeniak, mam jechać z nimi...

W przedziale próbował nawiązać kontakt z siedzącą naprzeciw staruszką, która uśmiechała się do niego przyjaźnie. Pierwszy raz w życiu przydała mu się słaba znajomość języka niemieckiego, który szlifował od miesiąca. Sprawa nienaturalnej selekcji pasażerów wyjaśniła się. Ta myśl drażyła go natarczywie.- Nienaturalna selekcja...Czy w obozach zagłady była naturalna?- Teraz ci staruszkowie jechali do swoich rodzin. Dzieci i wnuków, do tych którzy pozostali po tamtej stronie, lub w ostatniej chwili zdążyli uciec, zanim mur rozdzielił ich na czas nieokreślony. Limit wieku był nieubłagany. Żaden młody Niemiec nie miał tej szansy. Pociąg zatrzymał się na dłużej w strefie granicznej. Do przedziału wtargnęli mundurowi zagląający nie tylko w dokumenty, ale także pod ławki. Otwierali też z werwą podejrzenie wielkie walizki, w których raczej nie mógł skryć się dorosły człowiek, ale już dziecko...Na zewnątrz, pod oknami, snuli się żołnierze w zagiętych bojowo czapkach, na wzór gestapo, takich jakie Alek pamiętał z wojennych filmów. Podsuwali pod wagony lustra na kółkach, sprawdzając, czy ktoś nie uczepił się podwozia, by uciec z raju. Pociąg w końcu ruszył, mijając zasieki i betonowe, przeciwczołgowe bloki. Gwałtownie przyspieszył. Wzdłuż torów biegła pusta szosa. Nagle wypełniła się ona dziesiątkami lśniących, osobowych aut, które poruszały się z dużą prędkością, jakby chciały ścigać się z „Mumien Expressem”.

Stuttgart. Powoli szedł peronem w stronę hali dworca. Wydawało mu się, że zbliża się do rozświetlonego Disneylandu. Zaatakowały go bilbordy kolorowych reklam. Czuł się onieśmielony. Chyba wołał szarość wrocławskiego dworca, gdzie po północy spotykał się z niebieskimi ptakami na piwie. Teraz szli naprzeciw siebie. On i ojciec. Nie widział go od maja 1968, kiedy żegnali się na Dworcu Wileńskim w Warszawie.

- Gute Abend ...Fater...

- Cześć. Nie wygłupiaj się. Dobrze, że dojechałeś na czas. Teraz jedziemy do nas. Tak, tak... Poznasz Erikę. Nie gryzie. Jutro masz koncert na zamku Coburg, sto kilometrów stąd.

- Sam?

- Sam. Przecież grasz jakąś klasykę ...Liszt, Brahms...

- Chopin?

- Może być. Tam będzie ekskluzywne towarzystwo. Pojedziemy moim autem. Twoja próba o szesnastej, koncert o osiemnastej. Tysiąc pięćset marek na rękę. Pięćset dla Eriki. Tysiąc dla ciebie.

- Ona też gra?

- Ona jest twoim impresario.

Zamek Coburg było widać z daleka. Podjechali volkswagenem Eriki na wysokie wzgórze. Okazało się, że Aleksander miał być jednym z solistów wieczoru. Operowa diva zmagająca się z wagnerowską arią. Był szczęśliwy, że nie on musiał jej akompaniować. Występował na końcu. Zagrał dziecinnie prostą fugę Bacha, mazurek Chopina i zdecydował się na jazzową wariację V symfonii Beethovena, którą specjalnie przygotował na ten wyjazd.

- Ja, ja. Das war wunderwar – mówiła na raucie po koncercie egzaltowana, pulchna Niemka.

- Czy pan wie, że tę symfonię wielki kompozytor stworzył na Śląsku. Ukrywał się tam przed Napoleonem w zamku u hrabiego Oppersdorfa. W Oberglogau. To moje rodzinne miasto. Teraz nazywa się Głogówek.

75

Erika okazała się sprawnym organizatorem. W ciągu miesiąca Aleksander miał kilkanaście koncertów. Kilka w jazzowym klubie w Oberhausen, gdzie zastąpił w kwintecie chorego pianistę, ale tak się spodobał, że zaproponowano mu stworzenie alternatywnego zespołu w Dusseldorfie, jak by nie było, większym mieście. Zagrał także w Wuppertalu, gdzie zachwyciła go wisząca kolej przewożąca mieszkańców ponad nurtem wijącej się rzeki. Zaprosiła go też polonia w Kasell. Jej klub nazywał się „Zgoda”. Było jego występem zainteresowane polonijne Towarzystwo „Harmonia”, póki nie dowiedzieli się, że wystąpił w „Zgodzie”. Dwa towarzystwa polskie w jednym mieście nie darzyły się sympatią. Najważniejszy był, choćby ze względów finansowych jego występ telewizyjny w Kolonii. To był jubileusz cyklicznego programu, na który zaproszono artystów z kilku krajów. Śpiewała tam znana Greczynka Nana Mouskuri, balladzista Holender Herman Van Veen, grał amerykański gitarzysta Leo Kottke. Aleksander znalazł się w tym towarzystwie trochę jako ciekawostka zza żelaznej kurtyny, ale po jego występie na żywo stał się bohaterem wieczoru. Erika podpisała natychmiast kontrakt na trasę koncertową w całej Nadrenii, ale to miało się zdarzyć dopiero za dwa miesiące. Tymczasem ojciec chyba zaczynał żałować swojego zaproszenia, bo zaangażowanie Eriki rosło z dnia na dzień. Miał chyba rację, bo któregoś dnia po popołudniowym występie w Oberhausen, w drodze do Dusseldorfu, volkswagen Eriki zjechał z szosy nad brzeg Renu. Rzeką płynęły, jedna za drugą, barki. Na tle zachodzącego słońca wyglądały jak potok dinozaurów.

- Jesteś zadowolony ze mnie – zapytała Erika znieczeka.
- Jest ok. - Alek nie palił się do rozmowy.
- Odetchnijmy tu trochę, jeszcze mamy kawałek drogi – rozpuściła rude włosy.

Czy zagrałeś chociaż jeden utwór dla mnie?

Aleksander przeczuwał co może stać się dalej i bardzo tego nie chciał.

- Mój ojciec może być niezadowolony, że poświęcasz mi tyle czasu.
- Oboje zarabiamy na twoich koncertach. On wcale nie jest taki zazdrosny, na jakiego wygląda. Jest zajęty jakimiś dziwnymi sprawami. Spotyka się z działaczami polskiej opozycji, którzy tu się przedostali... Lata też do Paryża. Mówi mi – Skarbie, o nic nie pytaj - ...A ja jestem spragniona uczuć, miłości. Verstehst das? Mam gorące serce. Tu. Erika wzięła go za rękę i dotknęła swojej piersi. Alek nie wykonał żadnego ruchu. Przez chwilę nie myślał o niczym. Nie wrywał się. Nie starał też odpowiedzieć na jej gest. Przymknął oczy i naraz wydało mu się, że jest z Kasią. Tego ostatniego wieczoru, na ławce w szpitalnym parku. Erika rozpięła bluzkę. Aleksander nacisnął klakson. Stało się to przypadkowo, ale nie przypadkowo przytrzymał go tak długo, aż jedna z barek płynących Renem odpowiedziała mu syreną. Następnego dnia wsiadł do pociągu jadącego do Polski.

Podczas postoju pomiędzy Goerlitz a Zgorzelcem do wagonu weszli celnicy, wopięści i jeden cywil. Właśnie on przeglądał z uwagą paszport Aleksandra. Był uprzejmy, a nawet kurtuazyjny.

- Przepraszam. Chciałem powiedzieć, że niestety teraz nie możemy pana wpuścić do Polski. Byłby tam pan potraktowany jako persona non grata. Rozumiemy się?
- Rozumiemy... To znaczy nic nie rozumiem
- Nie mogę więcej powiedzieć. Aleksander Strunnicki... Pan ma tu wpisana narodowość polską, a pochodzenie...
- Jak widać.

Cywil odwrócił się do wopisty ścisząc głos. - Dzwonił jego ojciec do komendanta, żeby go zatrzymać. To chyba jakaś szycha. Ciekawe, prawda ?

- Czy ma pan pieniądze na powrót do RFN ?
- Tak.
- Proszę tam wrócić. Niejeden chciałby się z panem zamienić.

Mijał miesiąc, odkąd nie było żadnych wieści od Aleksandra. Połączenie telefoniczne zostało przerwane po kilku chaotycznych zdaniach, mimo wielogodzinnego oczekiwania w urzędzie pocztowym. Kasia zdążyła tylko usłyszeć o przesłaniu pieniędzy na leki dla jego matki. Miały one dotrzeć niebawem poprzez wracającego do Polski znajomego himalaistę. Sportowcy mieli większą niż ktokolwiek swobodę przekraczania granic. Ich sukcesy były wykorzystywane propagandowo. Mieli też nawet więcej swobody niż artyści. Jedni i drudzy wyjeżdżali pod czułą opieką tzw. działaczy. W kraju artyści mieli więcej swobody i cenzorzy często przymykali oko na występy, które niekiedy pełniły rolę wentylu bezpieczeństwa, kanalizując przejawy buntu. Grupa „Ad libitum”, z którą współpracowała Kasia, występowała głównie we wrocławskich klubach studenckich. Było ich w tym mieście około dwudziestu i co najmniej kilka z nich gościło chętnie zespół, który był popularny w środowisku. Po występie w „Pałacyku”, przewodniczący komisji kultury ZSP, zwany „królem Maciusiem”, zaproponował plenerowy występ na placu Wolności podczas obchodów święta pracy, pierwszego maja. Honorarium było zachęcające bardziej od czasu i miejsca koncertu. Estrada na ciężarówce, tłumek obżerający się kiełbaskami, dzieciaki biegające z cukrową watą na patyku... Nie było to dobre miejsce dla kameralnych instrumentacji i nastrojowych, poetyckich piosenek. Pianista nie chciał zagrać na organach Hammonda, flecistka bała się o swój egzamin z instrumentu, a Kasia wiedziała na pewno, że w takich warunkach nie zaśpiewa. Właściwie nie była to kontestacja polityczna, ale wywołała wściekłość „króla Maciusia”. Zakazał występu we wszystkich klubach środowiskowych Wrocławia. Wstrzymał wyjazd na coroczny festiwal piosenki studenckiej do Krakowa. Wykreślił zespół z wyjazdu na „Famę” do Świnoujścia. Dla grupy „Ad libitum” była to katastrofa. Jedynym ratunkiem był przyjazny gest kierownika miejskiego Klubu Muzyki i Literatury, pana Ciasteczko. Jego zachwyty od dawna wzbudzał Paweł, wokalista zespołu. Teraz próby z nowym repertuarem odbywały się regularnie w klubie, a Ciasteczko z lubością obserwował młodych artystów przez techniczną dziurkę w ścianie swego gabinetu. Kontrola Urzędu Widowisk była już właściwie zbyteczna.

W klubie zbierali się także szachiści oraz poeci. Raz pojawił się nawet mistrz Polski w szachach, wrocławianin Jacek Bednarski. Ten znakomity zawodnik zremisował z mistrzem świata Fiszerem i wygrywał dopóki nie wprowadzono zakazu palenia papierosów podczas rozgrywek. Kierownik Ciasteczko przymknął oko na palącego Jacka, bo w symultanie poza studentami i urzędnikami z Zarządu Kin, brał udział oficer pobliskiego urzędu oczywiście w wyświechtanym sweterku. Jacek dał mu, tak jak wszystkim, fora i rozgromił ich wypalając trzy papierosy. Portier, pan Piotr, podobny do de Gaulla i równie dystyngowany, otworzył szeroko okna, jako że niebawem miał się odbyć turniej poetycki. Poetów we Wrocławiu nie brakowało. Janusz Styczeń, Staszek Srokowski, Marianna Bocian, Salomea Kapuścińska - to byli ci, na których nieco młodszy patrzyli z podziwem i zazdrością. Młodziutki Rafał Wojacek był zupełną osobnością i wydawało się, że nie istnieje, ale gra w jakimś filmie kręconym przez Pana Boga. Tadeusz kończył stroić fortepian, bo tym razem oprócz poetów miała wystąpić Barbara, jako urozmaicenie zdarzenia. Sala wypełniła się prędko. Pomiędzy fortepianem a widownią zestawiono trzy stoliki, za którymi zasiadło jury złożone z młodych pracowników Wydziału Filologii Uniwersytetu imienia Bolesława Bieruta. W gronie tym, jak zwykle bywało, znajdował się też ekspert z zupełnie innego wydziału, zupełnie innej, ważnej instytucji. Widownia była ta, co zaliczała tu każdą imprezę. Tak, czy owak poeci mieli przed kim się popisać. Każdy przeczytał swój wiersz, choć w konkursie brały udział teksty przesłane jurorom wcześniej. Oklaski były grzecznościowe, bo na widowni oprócz poetów

nie siedzieli koneserzy, a i poeci wstrzemięźliwie nie ujawniali swoich ocen. Konkurencja była wszak wielka. Rafał Wojaczek stał przez cały czas jak pomnik i milczał wymownie. Jurorzy kręcili się nerwowo na stołkach, bo ustaleń werdyktu dokonali wcześniej.

77

Nadszedł moment na występ Barbary. Improwizowała przez chwilę kołysankę Komedy i płynnie przeszła do własnego utworu, który nagle zaśpiewała z całą mocą.

„Zawierzyliśmy gwiazdom, chociaż nie są nam bliskie  
I nie wszystkie są jasne i prawdziwe nie wszystkie  
Zawierzyliśmy jednak, choć pod gwieźdną powłoką  
Wiemy może być pustka, blaski złudne być mogą...

Czego więcej jest w tobie ? Czy dobroci, czy złości  
Czy zadumy nad światem, czy pragnienia miłości  
Czego więcej jest w ludziach? Tego sami nie wiemy  
Jakie gwiazdy nas rodzą, pod jakimi żyjemy...

Lecz jest gwiazda co wiodła przez ocean Kolumba  
I ta sama, choć inna jest w Chopina nokturnach...  
Zanim gwiazd dosięgniemy jeszcze przyjdzie nam czekać  
Szukać gwiazdy na ziemi, co rozjaśni człowieka...

Gwiazda... Tylko wtedy jest prawdziwa  
Kiedy własnym świeci światłem  
Obcych blasków nie odbija...  
Gwiazda... Tylko wtedy jest prawdziwa  
Tylko wtedy..."

Ekspert kręcił nosem. Gwiazda kojarzyła mu się jednoznacznie. Srokowski zdawał się podzielać jego zdanie z całkiem innego powodu, choć może było to podejrzenie nieuzasadnione, jako że był krytyczny z zasady. Cóż... Piosenka to przecież nie poezja. Przewodniczący wykorzystał pauzę by odczytać decyzję jury. Pierwsza nagroda... Druga nagroda... Trzecia nagroda... Trzy wyróżnienia... Nazwisko Wojaczka nie padło. Nie padł także Rafał, a wręcz przeciwnie uruchomił swoje potężne ciało. Przeszedł zdecydowanym krokiem przez salę. Obszedł fortepian z boku i naraz nadał mu drugie życie. Koncertowy „Steinway” ruszył jak czołg w kierunku stolików jury. Szanowne grono rozpięchło się w popłochu. Stoliki jechały dalej pchane przez instrument, za którym Wojaczek poruszał się jak woźnica piekielnego rydwanu. Ciasteczko wybiegł z gabinetu machając z wdziękiem rękoma. Kartki fruwały w powietrzu. Tadeusz podniósł jedną z nich. Był to wiersz Rafała Wojaczka, którego już nie było. „Ja jestem górą, ty jesteś doliną...” – zdeptał czyjś but.

- Basiu. Pięknie to zaśpiewałaś.
- Twoje słowa, moja muzyka. Wiedziałam co śpiewam i dlaczego.
- A ja Basińko miałem wątpliwości. Te wiersze... To coś zupełnie innego. Strzępy myśli, skojarzeń, emocji wyrażone w zawiły czasem sposób. Jak sny obłąkanych, nawiedzonych, opętanych biologiczną obsesją. Niekiedy głęboko filozoficzne jak u Marianny Bocian, kosmiczne, albo liryczne i proste jak płacz dziecka u Salomei. U Rafała, jak krzyk zachłyśniętego wolnością, naznaczonego miłością i śmiercią. Ja tak pisać nie potrafię. Wiersz trwa w nieskończoność. Piosenka kilka minut.
- Ty piszesz muzykę. Określasz ją. Nazywasz po imieniu takty, frazy, intonacje. Muzyka jest nieokreślona, wieloznaczna i bez ciebie potrafi być genialna. Jednak

oswajasz ją, odczytujesz jej kody, wzmacniasz. Jesteś jeszcze jednym instrumentem  
Twoje słowa nie są zamiast, tylko po coś. Potrafią być mocne i delikatne. Wyrażają  
przecież to, czego palce nie są w stanie wydobyć z klawiatury.  
ROMANTYCZNIE ?

78

Barbara i Tadeusz weszli do mieszkania w dobrym nastroju. Kasia płakała.  
Musiała płakać już długo, bo oczy jej były podpuchnięte, ale nie zdążyła zdjąć swego  
niebieskiego płaszczyka, który Aleksander kupił jej przed wyjazdem. Podniosła z ziemi  
zgnieciony papier i rozprostowała go. Był to telegram, który zawierał tylko trzy zdania.  
NIE CHCĄ WPUŚCIC MNIE DO POLSKI. KOCHAM CIĘ NAD ŻYCIE. AL.

- Kasiu. Opanuj się. To musi być jakieś nieporozumienie. Wszystko się wyjaśni.

Z jakiego powodu mogliby go nie wpuścić. Przecież nie był w nic zamieszany.  
Czy mogłaby mu zaszkodzić znajomość z nami? Z Tadeuszem? Przecież nie z tobą...

- Obawiam się, że stoi za tym jego ojciec. Za wszystkim co zakłóca nasze życie,  
moje życie, a nawet życie Alicji, stoi jego ojciec. Major Strun. Muszę to teraz  
wyraźnie powiedzieć. To, że nie gram...Ach, nie będę się użalał nad sobą. Wierzę,  
że nadejdzie czas, kiedy wiele się odmieni. Musisz być cierpliwa Kasiu. Jeśli się  
naprawdę kochacie, wytrwacie. Może to już niedługo. Ile może wytrzymać naród,  
który ma w sobie gen wolności?

Na festiwalu piosenki w Opolu Joanna Rawik prezentuje „Romantyczność”  
w konkursie premier. Robi wrażenie, nieporównywalnie większe niż zespół „Partita”.  
Upozowana na młodego Chopina, z podobnie wyrazistą twarzą, z ekspresyjną gestykulacją,  
śpiewa dramatycznie. Trochę przywołuje romantyzm z czasu Sturm und Drang Perioden.  
Aranżacja na orkiestrę stworzona przez Włodzimierza Nahornego, z kontrapunktem w  
kantach jest wspaniała. Sam aranżer przy fortepianie, już zupełnie lekko pomyka po tonacji  
As- dur. To wykonanie otrzymuje nagrodę akredytowanych przy festiwalu dziennikarzy.  
Recenzent Lucjan Kydryński zaatakuję w „Przekroju” autora tekstu, czyniąc mu zarzut, że  
zwraca się do kompozytora przez „ty”., „Fryderyku powiedz sam...” Inny znawca muzyki,  
Bogusław Kaczyński wypowiada się jednoznacznie - „... To najpiękniejsza polska piosenka w  
okresie powojennym.” Tadeusz uważa za taką „Dziwny jest ten świat” Niemena. To, że  
razem z Fryderykiem napisał przebój pojawił dopiero, gdy na basenie olimpijskim we  
Wrocławiu usłyszał krzyk „Kocham świat !”, po którym nieznajomy sportowiec wykonał  
skok z najwyższej trampoliny. Skok w górę wykonała natomiast Joanna Rawik, która została  
zaproszona na Międzynarodowy Festiwal Piosenki do Sopotu. Znów powtórzyła się historia,  
jakiej Tadeusz, jako pianista doświadczył w młodości. Gościem festiwalu był popularny  
radziecki piosenkarz Muslim Magomajew. Nie jego wina, że musiał wygrać. Rawik nie mogła  
już wystąpić w konkursie. Zaśpiewała w nim, ale...poza konkursem. Aplauz widowni był  
na przekór tej decyzji. Bisowała w sopockim amfiteatrze trzykrotnie.

W rok później Tadeusz miał ciągle szansę zaistnieć na rynku muzycznym. Dziennikarz  
radiowy Andrzej Jaroszewski umożliwił mu kontakt z Niemenem. Piosenkarz, który był  
solą w oku Wydziału Kultury K.C. P.Z.P.R. podbił serca nie tylko młodzieży. Na nic  
zdały się akcje oczerniania go w prasie, dokumentalny film „Sukces”, który przedstawiał go  
jako kabotyna, wyświetlany przed fabularnymi seansami. Popularność Czesława rosła.  
Pewnego dnia Tadeusz nieśmiało zapukał do drzwi jego warszawskiego mieszkania, w bloku  
przy ulicy Niecałej. W pierwszej chwili wydawało mu się, że otworzył mu drzwi Jezus  
Chrystus i to chwilę po zdjęciu z krzyża. Półnagi, wychudły piosenkarz zdawał się być  
oderwany od rzeczywistości.

- Ach tak...Przypominam sobie. Andrzej coś mi mówił...Niech pan wejdzie.

Przepraszam...Oglądam właśnie Wyścig Pokoju, zaraz wjadą na stadion.  
Mieszkanie idola było nad wyraz skromne. Jeden pokój, zastawiony sprzętem muzycznym.

W rogu tapczanik, a właściwie duży materac. Za stół służyła duża szafka głośnikowa. Na ścianie wisiał tylko jeden wielki afisz i to nie jego, ale włoskiej piosenkarki Faridy.

- Niech pan siada gdziekolwiek.

79

Kolarze wjechali na Stadion Dziesięciolecia. Na czele, kilkadziesiąt metrów przed peletonem, finiszował Ryszard Szurkowski. Ryk ludzi na stadionie i podniesiony głos sprawozdawcy mieszały się z krzykiem Niemena, jakiego nie wydobył w najbardziej ekspresyjnej pieśni. Opadł na fotel. Po jego twarzy spływały łzy.

- Przepraszam. Jeszcze raz przepraszam. Muszę ochłoniąć nieco... To z radości. No już... Niech pan mówi.

Tadeusz odzyskiwał śmiałość. Niemen słuchał z uwagą.

- Wie pan... Jakby tu powiedzieć, by panu nie sprawić zawodu... Ja komponuję. Wybieram wiersze które kocham. Czasem ktoś mi napisze jakiś tekst, ale to rzadkość. Mam też pewne zobowiązania. Ten pomysł z musicalem chopinowskim podoba mi się, ale wiemy obaj, że musical kosztuje... Może gdyby ministerstwo... Nie jestem z nimi zaprzyjaźniony...
- Panie Czesławie, a gdybym znalazł pieniądze na wystawienie chopinowskiego musicalu... Czy byłby pan tym zainteresowany? Zaśpiewał by pan choćby jeden song?
- Myślę, że tak. Mój świat jest dziwny, ale ja go też kocham... Jak by tu panu pomóc? Może Ania German zechciałaby coś pańskiego zaśpiewać. Ona po tym wypadku dochodzi do siebie. Dam panu namiary. Proszę ją pozdrowić.

List od Aleksandra dostarczył wrocławski jazzman, saksofonista Władek, który spotkał się z nim na festiwalu w San Sebastian. Sprawa była jasna. Prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że Beethoven grał na fortepianie „Green”. Czy komponował na nim symfonię i którą, to należałoby dopiero zbadać. Jednak cena instrumentu w Niemczech, nawet gdyby nie potwierdziły się inne przypuszczenia, byłaby i tak bardzo wysoka. W kraju, po ujawnieniu sprawy, istniało ryzyko utracenia instrumentu na rzecz państwa, a w najlepszym przypadku długich procesów w sądzie, by udowodnić prawo własności. Pozostało więc tylko jedno rozwiązanie. Wywieźć instrument do RFN. Tam Alek już by sobie poradził. Jednak podanie do Ministerstwa Kultury o zezwolenie na wywóz spotkało się z odmową. Ustawa o ochronie zabytków nie pozwalała na wywożenie przedmiotów wyprodukowanych przed 1945 rokiem. Tadeusz postanowił postawić wszystko na jedną kartę. Ta karta to możliwość przekraczania granicy na dowód osobisty, w pasie tak zwanej konwencji. Pozwalało to na poruszanie się w celach turystycznych do Drezna lub zwiedzanie czeskich Karkonoszy. Jego paszport był ciągle w depozycie u półkownika Tulikowskiego. Tak jednak można było pokonać co najwyżej jedną granicę. Osobiście, bo już fortepian, podobnie jak słoń, nie mógł zostać niezauważony. Plan Tadeusza nie był wcale prosty: Barbara jedzie na koncert do NRD z instrumentem. Miała od dawna zaproszenie od towarzystwa Łużyczan z Bautzen, czyli Budziszyna. Gra na zabytkowych instrumentach stawała się właśnie modna. Tadeusz towarzyszyłby jej, przekraczając granicę na dowód osobisty. Z Bautzen fortepian będzie przewieziony jako mienie przesiedleńcze niemieckiej babci, której na stare lata pozwolono połączyć się z rodziną w RFN. Jest godna zaufania. Jej brat przemycił kiedyś listy dla Polaków w obozie Gross Rosen. Tadeusz dopilnuje jeszcze załadunku w Bautzen i wróci z Barbarą do Polski. Dalej, już w RFN, sprawą spieniężenia „Greena” zajmie się Aleksander. Rzeczywistość okazała się mniej skomplikowana.

- Co państwo wieciecie? - Na burcie ciężarówki były oznaczenia Fabryki Kotłów.
- To są elementy niebezpieczne - powiedział młody kierowca.
- Ja nie pytam o ludzi, tylko o przedmioty – celnik wydawał się być w dobrym humorze.
- Mówię... To są zabezpieczenia, żeby nic nie wybuchło – kierowca czuł się pewnie w

swej roli.

- A to? – zapytał celnik zagłębując pod plandekę.
- A to jest niezbędne, żeby wszystko grało – poważnie oświadczył czupurny kierowca.

80

Trudno dociec czy celnik nie rozpoznał kształtu nietypowego, prostokątnego fortepianu, czy też spodobał mu się żart kierowcy.

- Paszporty proszę... Zagrodny? Z jakiej wsi? Acha...Z Raciborza. Tędy pan jedzie?
- Tak. Musiałem jeszcze pobrać czujniki we Wrocławiu. Oni wsiedli tam na stacji benzynowej.
- Tak, to prawda...Mamy dowody osobiste z pieczętką na pas konwencji.
- Panie kierowco. Pan wie, że nie może przewozić prywatnych osób?
- To autostopowicze. Mają książeczki. W tym roku będzie losowanie na małe fiaciki i wartburgi. Nie chciałbym całe życie jeździć tylko takim grzmiotem.
- Wszystko gra. Możecie jechać.

Szlaban został podniesiony. Na razie wszystko grało. Fortepian sam wydawał dźwięki na złączach płyt betonowej autostrady.

Po zaledwie tygodniu dotarła wiadomość od Aleksandra.- Mam go. Jest wart nie mniej niż sto tysięcy marek! Tyle można uzyskać za taki zabytkowy instrument na aukcji w Norymberdze. Przy wstępnej wycenie nie uwzględniono ewentualnego faktu, że sam Beethoven dotykał klawiszy. To musieliby potwierdzić rzeczoznawcy z muzeum. Potrzebne byłoby wnikliwe badanie oryginalności dokumentów.

Sto tysięcy razy dwa i...- Tadeusz pomnożył przez kurs marki. Po raz pierwszy pomyślał poważnie o sfinansowaniu realizacji swojego musicalu. Trochę mało na spełnienie wielkiego marzenia, ale to już zawsze coś... Jednak była jeszcze choroba Alicji. Nieznaczną poprawą jej zdrowia budziła nadzieję. Nie mógł już teraz zawieść Aleksandra.

Kasia także nie chciała go zawieść. Ćwiczyła i śpiewała pomimo rzadkich możliwości koncertów, Szukała możliwości pokazania się szerszej publiczności. Co prawda, już raz nie wystąpiła w konkursie debiutów w Opolu z piosenką, którą proponował jej redaktor z bloku F na Woronicza. Ten utworek miał być kabaretowy, a był po prostu idiotyczny. Dowiedziała się później, że autorem był sam redaktor pod pseudonimem Jan Bies. Jego pseudonim nie był tak popularny jak anegdotyczny w Związku Autorów pseudonim „Mel. Lud.”, który zgarniał kasę za wszystkie melodie ludowe. Objawiał się on jednak nierzadko jako autor utworów wykonywanych przez młode, rockowe wokalistki. Teraz, proponował Kasi udział w telewizyjnym programie, „Narodziny Gwiazdy”. Zgodziła się wystąpić, ale tylko ze swoim zespołem „Ad libitum” i pod warunkiem, że sama dobierze sobie repertuar. Bies starał się być sympatyczny i nawet zatroskany.

- Proszę przyjechać dzień wcześniej z nagraniem. Chciałbym usłyszeć panią przed próbą kamerową, która będzie oczywiście już z zespołem...No i może uda nam się dobrać wystrzałowy strój. Mam pewne pomysły, a pani niech zaproponuje swoje własne.

Bies nie chciał rozmawiać z Kasią w redakcji i zaproponował obiad w hotelu Mariot. Płacąc rachunek poczynił krok dalej.

- Mieszkam niedaleko stąd na Wilczej. Gdyby panią to nie krępowało moglibyśmy posłuchać najnowszych amerykańskich nagrań, jakich jeszcze nikt tu nie ma.

Przyjaciel z Nowego Jorku przysłał mi świeże płyty pocztą dyplomatyczną.

To mogłoby być dla pani inspiracją. Jak te czekoladki śpiewają ! Przysłał mi właśnie najnowszy longplay Tiny Turner.

Kasia skłonna była odmówić, ale ugryzła się w język. Kłopot polegał na tym, że zespół „Ad Libitum” próbował z nią piosenkę od dwóch tygodni. Teraz pewnie pakowali instrumenty do starego „Barkasa”, a kto wie, może wyjechali już z Wrocławia. Dla nich to też była szansa zaistnienia poza Klubem Muzyki.

- Mam tylko trochę czasu. Jestem umówiona z ciocią, u której zresztą nocuję. Ona już pewnie na mnie czeka. Przeżyła Powstanie Warszawskie. Jest sama. Mama bardzo prosiła, żebym spędziła z nią chociaż ten jeden wieczór.

Mieszkanie Biesa było w przedwojennej kamienicy na czwartym piętrze, bez windy. Okazało się, że jest połączone schodkami z zaadaptowanym na rozległy gabinet strychem.

- Proszę nie zwracać uwagi na ten bałagan i wejść od razu na górę. Zaparzę kawę. Niech pani zerknie na półki. Tam są ciekawe książki i winylowe płyty. Tina powinna być na wierzchu.
- Na białej ścianie przyległej do kominka wisiły kobiece akty.
- Widzi pani. Typowe mieszkanie starego kawalera. Nikt mi tu nie zrobi kolacji, nie podleje kwiatów.
  - Kolacji panu na pewno nie zrobię. Jeszcze wcześniej. Kwiaty tu nie zakwitną, Nawet gdybym podlewała codziennie. Zbyt ciemno.
  - Och tak. Ma pani rację. Mam zamiar powiększyć to okienko. Stąd jest całkiem ładny widok na Pałac Kultury. A propos. Jesienią będę współorganizował wielki koncert w Sali Kongresowej z okazji 30- lecia PRL. Transmisja w Polskim Radio i w telewizji. Poproszono mnie o napisanie scenariusza. Jeszcze nie mam pomysłu. Może pani ojciec miałby coś do zaproponowania. Po tym sukcesie z piosenką w Opolu. Ładnie wymyślił z tym Fryderykiem...
  - Tato ma propozycję. Nosi się z nią od dawna...
  - Napije się pani ze mną
  - Nie piję.
  - Tylko kieliszek wina. Słodkie, czy wytrawne ?
  - Nie piję. Pytał pan o ojca. On kończy pisać musical. Właściwie już napisał, tylko ciągle poprawia.
  - To bardzo interesujące. Wypijmy tylko jego zdrowie. Właściwie nie wiem dlaczego nie jesteśmy po imieniu. Starszy ma prawo zaproponować. O proszę. Znalazłem francuski szampan. Nie pytam już tylko otwieram. Za pani sukcesy. Zaraz mi pani opowie o tym dziele taty. Brakuje nam bardzo polskich musicali.
  - Ojej! Ale mnie pan przestraszył...Taki huk. Błagam. Tylko do połowy kieliszka. Ojej...Cała jestem mokra.
  - Kasiu jestem Jan. Możesz mi mówić Jasio .No nie...Bruderschaft bez pocałunku jest nieważny.
  - Już wystarczy. Już... Co pan robi?
  - Zdejm bluzeczkę kochanie. Niech się wysuszy.
  - Co pan wyprawia?
- Katarzyna zbiegła cztery i pół piętra jak spłoszona sarna. Na dole zorientowała się, że nie ma torebki. Musiała wrócić.
- Jutro masz być na próbie. Chyba, że chcesz płacić odszkodowanie za zerwanie umowy. Jest za późno bym cię wypierdolił. Zresztą i na to już też straciłem ochotę.

Zespół „Ad libitum” był już w studio . Katarzyna ostatnia wyszła z charakteryzatorni. W białej sukni, z układającym się na piersiach czerwonym sercem, wyglądała olśniewająco. Miała śpiewać jako pierwsza. Tym razem warunkiem swego rodzaju konkursu było nie korzystanie z playbacków i wszyscy wykonawcy mieli świadomość, że występ jest „live”, co nie często zdarzało się w polskiej telewizji. Prezenter uzgadniał z Kasią zapowiedź. Chciał znać jakieś fakty z jej życiorysu.

- Proszę tylko powiedzieć, że jestem z Wrocławia, zaanonsować zespół i koniecznie podać autora słów. To mój ojciec, ale tego proszę nie mówić.

82

- Co gramy? - zapytał pianista Marek. Mieli przygotowane perfekcyjnie dwie piosenki. Redaktor Bies miał w scenariuszu jedną.

- Gramy „W rytmie serca”. Tylko mam prośbę. Gitara basowa niech pulsuje solo dopóki nie skończę słów parlanda. Potem fortepian i dalej tak jak ćwiczyliśmy. Prezenter skończył mówić o zasadach programu i zapowiedział wrocławski zespół z Kasią. Myślała właśnie, czy nie zostawiła pierścionka od Aleksandra w garderobie, gdzie na czerwono malowała paznokcie. Usłyszała swoje imię i nazwisko. Tak, to już nie był jak dotychczas pseudonim. Czerwona lampka zapaliła się w skierowanej na nią kamerze. Swoje kroki zsynchronizowała z basowym pulsem. Jej słowa były arytmiczne. Wypowiadane spokojnie.

- Patrzcie jak oblepia nas mąż.  
Bрудna, krwista, brudnoczerwona.  
Wciska się w pory naszej skóry.  
Jest wszędzie.  
Nie czekajmy na łaskawy promień słońca.  
Na przypadkowy podmuch wiatru.  
Ta mąż zalepia nam oczy i usta.  
Powstrzymać musimy ją teraz.  
Ona boi się tylko jednego.  
Prawdy.

Dalej już śpiewała.

Widzisz jak rodzi się dzień  
Nie wiesz dobry czy zły  
Czujesz jak wzmaga się rytm  
Bicie serca...

Droga, ta którą znasz  
Zieleń wiosny, letni wiatr  
Zawsze pragniesz więcej  
Słuchaj jak ci bije serce...

Redaktor Bies oszalał. Rzucił się do realizatora w reżyserce, który w rytm muzyki od planu ogólnego robił transfokację.

- Natychmiast ją wyłączcie. To nie ta piosenka. Puśćcie coś z puszek!  
- Spokojnie redaktorze. Jak ją teraz wyłączymy to dopiero będzie afera.  
Realizator wcisnął kamerę ze zbliżeniem na twarz Katarzyny.

Jeszcze potrzebny jest gniew  
Bрудnych zbyt wiele jest spraw  
Trudny odmierza nam czas  
Bicie serca...

Wierzysz, że ktoś tak jak ty

Myśli, kocha, pragnie żyć  
Słów nie trzeba więcej  
Słuchaj jak ci bije serce...  
KATEDRALNA 4

83

Tadeusz i Barbara byli dumni z występu córki. Jednak po tym co zrobiła w studio, nie tylko nie wybrano jej na gwiazdę programu, ale nawet nie otrzymała honorarium i zwrotu kosztów podróży całego zespołu. Bies stracił stanowisko kierownika redakcji muzycznej. Był to także pierwszy i ostatni program w cyklu „Narodziny Gwiazdy”, która decyzją jury się nie narodziła. Jednak piosenka Kasi została zauważona. Do telewizji rozdzwoniły telefony, napłynęły listy.

We Wrocławiu, pułkownik Tulikowski wezwał Tadeusza na komendę po rocznej pauzie.

- Po przyjacielsku wam radzę. Niech córka zaprzestanie kontestacji. Szkodzi nie tylko sobie. Najlepiej gdyby zmieniła zainteresowania. Ona ma jakieś studia? Kierownik Ciasteczko z Klubu muzyki sugerował życzliwie.
- Po tym wszystkim dobrze by było, żeby zespół zmienił nazwę i pozostał z jednym tylko solistą, Pawłem. Nie chcę was, broń Boże, stąd wyrzucać. Paweł ma naprawdę niespotykany głos. Ciarki mnie przeszywają jak on śpiewa. Acha... Pani Katarzyno. Jakiś list jeszcze przyszedł do klubu. Na pani nazwisko. Nie otworzyłem oczywiście. Koperta sama się odkleiła... Takie teraz robią. Prosiłbym, by nie podawać naszego adresu dla swojej prywatnej korespondencji.

Nadawcy na zewnątrz koperty nie było. Katarzyna wyjęła list dopiero w domu.

„Jestem zauroczona pani występem w telewizji. Byłam właśnie w Polsce. Chciałabym zaprosić was do Stanów na kilka koncertów. Mam nadzieję, że list ten dotrze do pani. Szczegóły podam po otrzymaniu domowego adresu.

Wanda Tomczykowska. Prezes Fundacji Kościuszkowskiej. Santa Barbara. USA...”

- No widzisz Kasiu. Nie poddawaj się łatwo. – ucieszył się Tadeusz, gdy pokazała mu liścik. Zanim tam wyjedziesz, może wystąpisz w moim musicalu. Trzeba walczyć o spełnienie marzeń. Dam ci przykład.

Tadeusz postanowił odwiedzić kilka teatrów w Polsce, by zaproponować swój musical, który w myślach nazywał narodowym. Były ku temu przesłanki. Libretto oparte tylko na oryginalnej muzyce Fryderyka Chopina. Jego akcja rozgrywająca się w dramatycznych momentach polskiej historii, takich jak Powstanie Warszawskie i okupacja hitlerowska. Niestety, także w powojennych realiach oporu przeciwko nowemu, moskiewskiemu okupantowi. Pro sowieccy propagandziści lansowali w prasie i swoich książkach tezę o społecznej zgodzie na dobrodziejstwa socjalizmu. Ponad milion żołnierzy Armii Radzieckiej i przebierańców w polskich mundurach strzegło pozorów tej zgody. Niezlomni bohaterowie walki o wolność Polski byli przedstawiani jako bandyci i agenci amerykańskiego imperializmu. Tysiące z nich straciło życie, lub utraciło zdrowie w katowniach bezpieki. On sam przeżył cudem. To był temat tabu. Ten właśnie motyw musicalu wykluczał przychylność władz, w tym Ministerstwa Kultury. Tadeusz nieśmiało rozważał ewentualne skrócenie fabuły i uczynienia Powstania Warszawskiego tematem głównym. Myślał, że w rozmowie z dyrektorami teatrów ma jeden poważny argument: Nieco ponad dwieście sześćdziesiąt tysięcy marek. Niezależni eksperci potwierdzili możliwość używania instrumentu przez Beethovena, a zwłaszcza oryginalność odkrytego w nim dokumentu. Pieniądze tymczasem były na koncie Aleksandra w Deutsche Bank. Pewną kwotę już przeznaczył on na leki dla swojej matki, Alicji. Tak umówili się z Tadeuszem. Tymczasem rozpoczął on rozmowy z dyrektorami teatrów. Najpierw we Wrocławiu.

- No wie pan, Teatr Polski nie ma technicznych możliwości. Może operetka?

Do operetki nie poszedł. Nie wyobrażał sobie jak mogliby to wykonywać soliści wychowani na Strausach i Leharach. W MPiK-u często spotykał aktorów Teatru Pantomimy, a nawet samego Tomaszewskiego.

84

- To ciekawe o czym pan mówi... Wyobrażam sobie barykadę z konwulsyjnym tańcem jej obrońców...
  - Dziękuję. Ale ja napisałem słowa. Słowa do muzyki. Musical, to zupełnie coś innego. To roztańczona wielka i dramatyczna pieśń.
- Tadeusz odwiedził jeszcze teatry w Poznaniu, Krakowie, Lublinie. Nie dotarł do stolicy.
- Naprawdę ma pan tyle pieniędzy? To dałoby się zrealizować za taką kwotę, ale... W tym przypadku także musi się wypowiedzieć ministerstwo. Może gdyby miał pan prywatny teatr...
  - Powstanie?- Czy było potrzebne? Po co odgrzewać taką klęskę.
  - Tak przeczytałem... O tych partyzantach po wojnie... Nie, na to nikt się nie zgodzi. Chyba, że dopisze pan scenę jak umierają na śmietniku. Na śmietniku historii. Z marszem żałobnym Chopina na finał.

Katarzyna nie śpiewała od miesiąca. Odwiedzała Alicję w jej mieszkanku. Leki pomogły wyraźnie. Śmiała się często i tylko twarz poważniała jej gdy rozmawiały o Alku. Obie miały nadzieję na jego powrót.

- Modlę się o to – mówiła Kasia.
- Ja też
- Przecież nie jesteś wierząca.
- Ale się modlę. Na wszelki wypadek. Gdyby Bóg istniał pewnie by mnie wysłuchał.
- A ja Alicjo śpiewam. Nie mam koncertów, ale śpiewam do Matki Boskiej. Czy kiedyś śpiewałaś Ave Maryja Schuberta? Jak ty mogłabyś to wspaniale wykonać.

Któregoś dnia popołudniu Katarzyna wybrała się na Ostrów Tumski. To było jej ukochane miejsce we Wrocławiu. Patrzyła na wierzbę zwisającą nad kanałem Odry, tuż przy zielonym mostku Świętej Jadwigi. Wierzba była płacząca. Kasi też zbierało się na płacz. Od strony kościoła Marii Panny na Piasku zbliżał się wysoki mężczyzna w sutannie. Nie byłoby w tym nic zaskakującego w tym miejscu, ale duchowny niósł ze sobą gitarę akustyczną. Przysiadł na sąsiedniej ławce i zaczął ją stroić.

- „E” powinno być trochę wyżej- zwróciła uwagę Kasia.
- Pani ma absolutny słuch?
- Trochę śpiewam.
- O jej ! A nie zaśpiewała by pani u nas?

„U nas” było bardzo blisko. Przeszli oboje przez zielony mostek. Ksiądz dał Kasi potrzymać gitarę i otworzył bramę w zabytkowym, gotyckim budyńeczku. Nad bramą był numer „4”. Ich kroki odbiły się echem w ciemnym korytarzu. Drzwi do większego przybytku otworzyły się przed nimi same, a właściwie otworzył je młody człowiek z długimi włosami.

- Czekamy, czekamy księżu Adamie.

Buchnął gwar. Otoczony młodzieżą duchowny poprosił o gitarę. Śpiewali wszyscy.

Następnym razem ksiądz Adam Dyczkowski, duszpasterz akademicki, zachęcił Kasię by zaśpiewała sama.

- Jeszcze nie...Przyprowadziłam kogoś, kto zaśpiewa nam pięknie. Alicjo... To piosenka mojego ojca, ale moja muzyka. Czy mogłabym zagrać na fisharmonii?

„Wierzę, choć tej wiary we mnie nie dość  
Wierzę, choć nie łatwo wyznać tak wprost

Wierzę, choć powiedzą to kłamstwo  
Wierzę, choć niewierną mnie nazwą...

85

Alicja zaczęła skupiona z pochyloną głową, jakby zawstydzona.

Wierzę i nie z bólu, nie z lęku  
Wierzę, choć pokornie nie klękam  
Wierzę, czasem jak promień słońcu  
Wierzę... Czy potrafię do końca?

Wierzyć, tak jak dziecko naiwnie  
Wierzyć, czy jak chory w malignie  
Zanim zgasnę, zanim minę...

Do fisharmonii dołączyła gitara. Akordy były proste. Kasia pochylona nad klawiaturą, nie była pewna, czy to gra ksiądz Adam.

Wierzę, choć jest we mnie małość i złość  
Wierzę, inne prawdy choć głoszą w głos  
Wierzę i nie w księgi najmędrsze  
Wierzę, chociaż nie wiem co pierwsze...  
Wierzę, że w drobinie najlichszej  
Wierzę, że w kosmicznej muzyce  
Wierzę, że w tym splocie przypadków  
Wierzę, że w tym innym ze światów...  
Wierzę, że... że tu... że teraz  
Wierzę, że w tym wszystkim jest sens  
Sens.

- To piękny akt wiary. – stwierdził ksiądz Adam.
- Tak, jestem pewna, że wierzę... Nie wiem tylko, czy to Bóg... Nie wiem.
- To Bóg Duszycko, To Bóg.

- Wkrótce ksiądz Adam Dyczkowski otrzymał sakrę biskupa. Wkrótce...
- Barbaro ! Kasiu ! Słyszałyście? Nie mogę w to uwierzyć. Karol Wojtyła został papieżem ! Polak papieżem... Niesamowita historia. Włączcie radio. Wszystko się zmieni. Zobaczycie. Wszystko się zmieni!

## CASTING

Barbara rzadko teraz widywała Tadeusza w domu. Dyżury na portierni brał popołudniowe, ale już rano wychodził na miasto. Spotykał się z wieloma ludźmi, na ogół młodymi. Próbował zarazić ich swoją ideą. Słuchali jak roztaczał wizję stworzenia spektaklu. Ci co go znali, wiedzieli, że jego plan ma realne podstawy, wierzyli w jego talent. Z jednej strony był przecież autorem znanej już piosenki, z drugiej... Co on tam robi na tej Akademii? – pytali. Tak, już nie była Wyższa Szkoła Muzyczna. Dla niego nadal portiernia była przyzwyczajeniem, ale i rodzajem pewnej demonstracji. Wobec systemu, ale także wobec samego siebie. Po trosze czuł się jak święty Piotr wydający klucze do nieba, tym którzy na to zasłużyli. Muzyka była niewątpliwie przedsięwzięciem nieba. Byli co prawda i tacy, nieliczni, którym chętnie by

tych kluczy nie wydał. Wtedy czuł frustrację, ale nie było w nim zawiści. Najbardziej lubił przejść się korytarzem, wdrzeć się w świat spierających się ze sobą dźwięków. Fortepiany kłóciły się z dętymi. Smyczki przepiłowały ściany. Perkusja próbowała udowodnić, że jest

86

najważniejsza. Klasyka broniła się przed impresjonizmem. Impresjonizm przed nowymi trendami. Wszystko to trwało przez cały dzień. Tylko pod wieczór bywało, że samotny flecista, albo skrzypek swoim solo wieńczył tę niekończącą się symfonię. Gdyby zapisać ją w nutach, sukces na Warszawskiej Jesieni byłby pewny.

Na portiernię zaglądała niekiedy Kasia, przynosząc ojcu kanapki, które zapominał zabrać z domu, albo po prostu tak, żeby swobodnie pogadać. Niektórych tematów nie poruszali przy Barbarze. Był sceptyczna wobec samodzielnych planów stworzenia musicalu. Kasia wprost przeciwnie.

- Tyle młodych śpiewa. Na Akademii Muzycznej, na mieście, w domach kultury. Lepiej lub gorzej. Trzeba ich tylko wyłowić.
- Jak?
- Casting. Ogłosić casting. Alicja i ty bylibyście na przesłuchaniach. Można by jeszcze poprosić fachowca od musicali. To nie tylko śpiew, ale i taniec.
- Rzeczywiście od tego trzeba zacząć. Poproszę Janka Szurmieja. On jest znakomity, chyba najlepszy w kraju. Myślę, że nie odmówi.
- To przecież też sztuka aktorska. Kogo byś widział w głównych rolach.
- Ciebie Kasiu na pewno.
- Tato. Muszę ci coś pokazać. Dostałam list ze Stanów. Od pani prezes Tomczykowskiej. Prosi o przesłanie dziesięciu tekstów piosenek. Składały by się na mój recital. Kilka mogłoby być po polsku. Napisała, że przetłumaczy je na angielski zaprzyjaźniony z nią Czesław Miłosz. On prowadzi zajęcia na uniwersytecie w Berkeley. Przetłumaczył już na gorąco „W rytmie serca”, podczas ćwiczeń ze studentami. Prosiła tylko, żeby o tym nie opowiadać nikomu.
- Pokaż ten list. Czy on dotarł do ciebie w tej folii?
- Tak
- Wydaje mi się, że ktoś go otwierał przed tobą.

Zawiadomienie o castingu poszło do teatrów, zawodowych i studenckich. Rozklejone zostało na uczelniach. W teatrach nie zamieszczano go na tablicy ogłoszeń. Rozeszło się pocztą pantoflową.

„Komitet organizacyjny musicalu narodowego ogłasza nabór do spektaklu pod roboczym tytułem

„ W RYTMIE SERCA”

Konieczne są umiejętności śpiewu estradowego, sprawność taneczno- ruchowa, zdolności aktorskie. Nie muszą być potwierdzone dyplomami. Mile widziane wykształcenie muzyczne/ gra na fortepianie/.

Obsada ról:

Piętnaście w przedziale wiekowym 18- 35 lat, w tym 5 kobiecych

Pięć w wieku 40-60 lat, w tym trzy kobiece.

Casting odbędzie się w Klubie Muzyki i Literatury, plac Kościuszki 10, dnia...”

Już po pierwszym castingu w Klubie Muzyki, trzeba było wynająć inną salę. „ Same dziewczęta... A gdzie chłopcy ?” – denerwował się Ciasteczko, który właśnie otrzymał nominację na dyrektora, co podniosło rangę placówki i jego wymagania. Zresztą kandydatów było coraz więcej i trzeba było wynająć większą salę. To był już pierwszy wydatek z kwoty, która nieformalną drogą dotarła do Tadeusza. Trzeba było ją wydawać

ostrożnie, bo urząd skarbowy był czujny w takich wypadkach.

- W końcu, to darowizna syna dla matki, na polepszenie jej zdrowia.
- Kto to może potwierdzić – zapytał urzędnik.

- Pułkownik Tulikowski.
- Ten stamtąd...
- Dokładnie ten. On wie wszystko.

Tadeusz wiedział, że koszty dopiero się zaczną. Scenografia, kostiumy, aranżacje muzyczne. Potem honoraria dla aktorów, muzyków, choreografa, reżysera. Wreszcie wynajem dużej sali ze sceną. Próby... Procent dla Związku Autorów... Tylko Fryderyk Chopin nie będzie żądać honorarium - Czy to się choć trochę zwróci w biletach ?

Wracając do domu Tadeusz słyszał fortepian już od furtki. Grała Barbara. Tak jak kiedyś, w okupowanej Warszawie, w wigilijny wieczór. Nikt inny nie mógł to być. Wtedy grała scherzo h-moll. Teraz... Przystanął w korytarzu. Nie chciał jej przerywać. Jednak tym razem było to Larghetto z koncertu f-moll. Czułe jak pierwsza miłość Fryderyka do Konstancji. Zasłuchał się, choć znał ten utwór na pamięć. - Perlista pieśczoła przeszła w delikatny niepokój i znów wróciła do delikatności lekkiej jak powiew wiosennego wietrzyku. Tak... Chopin napisał ten fragment w maju 1830 roku. Miał tylko dwadzieścia lat. Te słowa, które napisał do Tytusa Wojciechowskiego... Tadeusz powtórzył je Barbarze, ile to już lat temu, w bielańskim zaśnieżonym lasku, kiedy... Kiedy poczęła się Kasia. „...Bo ja już - może na szczęście - mam swój ideał, któremu służę, który mi się śni...” Mógłby powtórzyć to za Fryderykiem raz jeszcze. Teraz. Gdy Barbara dograła do końca tą część koncertu, zdecydował się wejść. Nie odwróciła posrebrzonej głowy od fortepianu. Wiedziała po krokach, że to on. Suczka Daisy zasnęła.

- Basiu. Zagraj ten fragment jeszcze raz. Tylko ten kawałek... Poczekaj, wezmę długopis.

„...To ty  
To ty jesteś największym mym natchnieniem  
Jak świt, który się rodzi z nocy mroku  
Jak blask, który ogarnia niebo i ziemię  
Jak łza, która w oku  
I serca drżenie...”

- Styl brillant. Te perełki. Basiu, dziś nikt tak już nie komponuje. Tylko grają to. Na całym świecie. To jego miłosne wyznanie. Czy dziś ktoś tak kocha?
- Bądź cierpliwa. Ja to słyszę... Powtórz...

„ To przecież właśnie ty  
Jesteś moim natchnieniem  
Tym największym spośród  
Tego świata i innych światów  
Spośród...”

- Tadziu. Ty pewnie jesteś głodny. Odgrzeję...
- Czekaj Basiu... Ten moment jest jakby dramatyczny. Tak to czuję...  
„ Na przekór złym snom  
I złu co na jawie  
Jesteś mym światłem  
Promykiem co zbawia  
Miłości źródłem

Które wciąż bije  
Ponieważ żyjesz  
To powód, że żyję...

88

I żyć pragnę jeszcze  
Dłużej niż dzień  
Wiek...  
Jestem cały tobą  
Wiem..."

- Dla kogo ty Tadziu to piszesz. Jestem zazdrosna.
  - Dla ciebie głuptasku. Dla ciebie. Nie wiem co na to powie Fryderyk.  
Jeszcze to mi przegraj...I jeszcze raz...
  
  - „ Ta cząstka mała  
Jak przeogromny kosmos  
Jakże bym chciał  
Być taką cząstką  
Złączyć się z tobą  
Moim istnieniem...  
Czyż nierealne to me pragnienie...  
Nie śmieję się ze mnie  
Naiwnie wierzę  
Ty się uśmiechasz  
Ja wierzę szczerze  
Wierzę, że to cud...Wierzę, że to cud...Wierzę, że to cud !”
  
  - To trzykrotnie wyrażone przekonanie, wzmacnia się stopniowo do fortissimo.  
Taka jest coda samego Larghetto. Teraz zagraj jeszcze jeden raz, a ja będę tekst wygłaszał.
  - Tadeuszu, a kto miałby to zaśpiewać?
  - Ty.
  - Tadziu. Zanim zaśpiewam, muszę ci coś wyznać. Kasia...Tak bardzo się o nią martwię. Z tym Aleksandrem...Czy to ma sens. Ona ciągle sama. Starą panną zostanie...A on artysta...Szałamawia. Obywatel świata. Kasia powinna być z kimś kto myśli podobnie jak my. Teraz cała nadzieja w młodych. My już nie mamy sił by zmienić Polskę, by ją odzyskać...
  - Basiu. Skąd wiesz co ten Aleksander myśli. Jego matka to wspaniała kobieta, a ojciec...Rodziców się nie wybiera.  
Kasia wchodziła na palcach. Daisy ocknęła się i zaczęła szczeekać radośnie.
  - Mamo! Tato! Alek wraca do Polski. Pozwolili mu. Jutro ląduje w Warszawie.  
Tyle lat, tyle lat... Czy on mnie w ogóle pozna?
  - Dziecko. Ty tylko wypiękniałaś. No i pewnie zmądrzałaś. Czy Alicja już wie?
  - Nie to ma być niespodzianka. Jego ojciec jest w kraju od miesiąca, ale Alicja jeszcze nic nie wie.
  - To może być dla niej szok. Ciągle jest słaba. Te lekarstwa ją podtrzymują.
  - Skąd to wiesz Tadziu ? – zaciekawiła się Barbara.
  - Basiu. No przecież spotykamy się na castingach.
  - Jadę jutro do Warszawy i zabieram Aleksandra tutaj. Jeśli nic się nie zmieniło...
- Kasia głaskała nerwowo suczkę Daisy.

- Powiedz, że nic się nie zmieniło. Tak się boję.  
Barbara przygarnęła Kasię do siebie.

89

- Uspokój się. Alek kocha cię tak jak my... No może jednak inaczej. Kup wcześniej bilet. Teraz ludzie wracają z wakacji. Na kolei są jakieś strajki. Podobno w Lublinie zablokowano tory.
- Kasiu. Pojedziemy razem. Mam spotkać się z ministrem kultury, właściwie jego zastępczynią, panią... Och mniejsza o to. Najważniejsze, że Jan Szurmiej zdecydował się reżyserować musical. To zwiększa nasze szanse. Może coś dodadzą. Niechby choć nie przeszkadzali.
- Tato, mam... To dobry dzień. Tak was Kocham.

## BRAMA

Katarzyna była zarazem szczęśliwa i niespokojna także następnego dnia, kiedy o szóstej rano wyruszała expressesem „Odra” do Warszawy razem z ojcem. Wreszcie mieli okazję dłużej pogadać. W przedziale co prawda było pełno. Urzędnicy wyższego szczebla z województwa jechali zazwyczaj w poniedziałek do ministerstw. Posłowie na sesję sejmu. Młodzież studiująca w stolicy wracała do rodziców. Kasia pomachała ręką koleżance z wydziału wokalnego. Naczelny redaktor Polskiego Radia odkłonił się Tadeuszowi jakby niechętny, z odruchowym uśmieszkiem. Nie usiedli na razie na swych miejscach. Stali w korytarzu, przy oknie, patrząc na sierpniowe pola. Na niektórych od strony Wrocławia były już rżyska. Dalej, w porannych promieniach słońca uwijali się ludzie przy snopach i wozach. Szosą jechały traktory z przyczepami. Pociąg przelatywał z hukiem przez małe stacyjki tak szybko, że nie udawało się przeczytać ich nazw.

- Jak uda się wystawić musical, co będziesz robił potem?
- Potem? Tak. Mam plany... Chciałbym napisać słowa do muzyki innych, polskich kompozytorów. Nęci mnie bardzo „Pieta” Ludomira Różyckiego. W tym utworze jest odczuwalny cały dramat wojennej Warszawy. Ten Chrystus zwalony przez Niemców na Krakowskim Przedmieściu, nie daje mi spokoju.
- A potem?
- Karłowicz. To niezwykła postać i niepowtarzalna muzyka. Wiesz jak zginął?
- Dokładnie nie wiem. W Tatrach?
- Tak Kasiu. Tatry były jego przeznaczeniem. Kochał góry tak jak my. Tylko trochę wyższe. Wędrował po nich i fotografował. Znał każdy tatrzański szczyt i każdą dolinę. Jego fotografie robiły wówczas chyba większą furorę jak muzyka, chociaż... Dyrygował w filharmonii w Berlinie prezentując poemat symfoniczny „Odwieczne pieśni”. To był wielki sukces, otwierała się międzynarodowa kariera... Zginął w swoich Tatrach trzy tygodnie później.
- Spadł do przepaści?
- Nie. Lawina śnieżna. Szedł z Hali Gąsienicowej do Czarnego Stawu i koło Małego Kościelca ... To było w lutym, chyba 1908 roku. Szukali go górale... Czy wiesz, że do dzięki niemu powstał GOPR? Górskie pogotowie...
- Takie jak w Karkonoszach.
- Jak w Karkonoszach...- Tadeusz zamyślił się patrząc na uciekające na zachód miedze porośnięte złotą nawłocią.
- Tato. Powiedz... Ta muzyka Karłowicza jest inna niż Chopina. Czy też byś pisał do niej słowa odczytując frazy?
- Próbowałbym, choć jest odmienna.

- Nowocześniejsza?
- Co to znaczy ? Jest ponadczasowa. Tak jak Chopin. Inna przeminie z modą.
- Karłowicz pisał ją często do poezji Kazimierza Przerwy Tetmajera. Ja robię odwrotnie.

90

Wiesz Kasiu...Jest taki utwór „Na Anioł Pański”. Stworzony jako melorecytacja. Słowa Tetmajera wpisał w nuty. Z muzyką tworzą jedność. Tak też można.

Katarzyna pojechała na Okęcie. Tadeusz z nadzieją przekroczył bramę Ministerstwa Kultury na Krakowskim Przedmieściu. Sekretarka dopijała kawę.

- Tak, wiem. Był pan umówiony z panią wiceminister. Proszę wejść.
- Dobrze, że pan jest...To znaczy niedobrze, że pan się fatygował z tego Wrocławia. Ja muszę natychmiast wyjść i nie wiem czy wrócę. Wie pan pewnie co się dzieje. Pół Polski strajkuje. Minister polecał na Wybrzeże, a ja...Przyznaję, że przejrzałam tylko połowę pańskiego libretta i nie wiem kiedy przeczytam więcej. Dałam moim pracownikom do recenzji. Na wszelki wypadek. Powiem krótko... To nie jest kwestia pieniędzy, nawet jeśli pan je zdobył. Potrzebny jest teatr. Gdyby pan to jednak chciał wystawić w domu kultury, czy w stodole i tak nie ominie pan cenzury. Może tę drugą połowę by puścili, ale pierwsza...To reakcyjna interpretacja naszej historii. Teraz takie rozdrapywanie ran jest szczególnie destrukcyjne. Szkoda pańskiego niemałego talentu. Zapraszam, jeśli napisze pan coś weselszego, jakiś wodewil, farsę, kabaret. Niech pan weźmie przykład z Młynarskiego. On wie w co się bawić. i ... niech to już pozostanie całkiem między nami- Chopin poczeka. Kraj dziś naprawdę potrzebuje spokoju.

„... Teraz kiedy strajki wygasają, najważniejsze jest, żeby opinia publiczna w kraju, ale także zagranicą, wiedziała co naprawdę stało się w Stoczni Gdańskiej i niektórych innych zakładach pracy...”

Basia spała na fotelu przy włączonym telewizorze. Obudził ją jazgot „Daisy” na wejście pana. Przetarła oczy i zaczęła zbierać porozrzucane wokół fortepianu nuty.

- Przepraszam za ten bałagan.
- Tadeusz przytulił ją i długo nie wypuszczał z ramion.
- A Kasia?
- Wrócą jutro. Zostali jeszcze w Warszawie. Mieszkanie jego ojca jest puste. Podobno odkąd wrócił z Niemiec jeździ po kraju i coś załatwia. Czy we Wrocławiu też strajkują?
- Zobacz. To najnowszy Biuletyn Dolnośląski redagowany przez Kornela Morawieckiego.
- Zajeżdźnia MPK. Wybacz. Idę do nich zaraz.
- Tadziu. Na miły Bóg. Zostań. Pójdiesz jutro. Zauważ, że ja tu jeszcze jestem.

Zajeżdźnia MPK na Grabiszyńskiej zablokowana był autobusami- ogórkami, marki „Jelcz”. Biało-czerwone flagi zdobyły bramę. Była zamknięta. Napisy na niej mówiły wszystko. STRAJK, SOLIDARNOŚĆ, WYTRZYMAMY. Za ogrodzeniem przewijało się wiele osób. Na chwilę otworzono bramę, żeby wpuścić księdza. Dyżurni przymykali ją, gdy pojawili się Tadeusz oraz Kasia z Aleksandrem.

- Zaraz, zaraz. Wy dokąd?
- Do was. Nasi koledzy z Akademii Muzycznej już tu chyba weszli...
- Może i weszli. Wczoraj cała orkiestra z opery nam tu grała. Jeszcze nie zabrali fortepianu. Możecie otworzyć to pudło od gitary? Jakies dowody, legitymacje studenckie macie?
- Aleksander wyciągnął paszport.
- Obywatel z paszportem ? To co najmniej podejrzane. Pokażcie go...No, no...Tyle pieczętek.
- Grywało się tu i tam...Teraz chcielibyśmy tu...

- Pani dowód...Nie widzę pieczętki zakładu pracy.
  - Ja śpiewam. Na to nie ma pieczętki.
  - Wpuśćmy tych muzykantów. Ile dni można słuchać tych samych kawałów?
- 91
- Idźcie już dzieci, idźcie. Nie czekajcie na mnie. Zaraz się spotkamy.
  - A pan starszy do kogo?
  - Do strajkujących.
  - Gdzie pan jest zatrudniony?
  - Akademia Muzyczna.
  - Popatrz, znowu muzyk. W jakim charakterze jest pan tam zatrudniony?
  - Portier. Jestem portierem.
  - Proszę zaczekać. Musimy zapytać docenta Strunnickiego. On jest naszym doradcą. Niech sam zdecyduje.
- Dyżurny, który okazał się nad wyraz czujny, zagadał półgębkiem do swojego kolegi.
- Przecież na portierniach siedzą sami ubecy...
  - Coś jest na rzeczy. Nie widziałem portiera w białych rękawiczkach.
- O właśnie...Panie docencie. Tu mamy delikwenta, który chciałby wejść.
- Wpuście...Mój syn Aleksander powiedział mi, że pan czeka. Przepraszam za to zamieszanie, ale takie reguły tu obowiązują. Czy myśmy się już kiedyś nie widzieli?
  - Niewykluczone.
- Docent wyciągnął rękę do Tadeusza.
- Wie pan...nasze dzieci mają się ku sobie.
  - Mają prawo.
  - Nie wchodzi pan?
- Tadeusz powoli zdjął rękawiczki. Najpierw z lewej, potem z prawej dłoni. Rękę z zabliźnionymi kikutami dwóch palców podsunął rozmówcy pod nos.
- Wejść jak pan stąd wyjdzie...Majorze Strun.
- Kilka młodych osób podbiegło do bramy od strony strajkujących.
- Panie docencie. Zaraz po występie będziemy podpisywać porozumienie. Dokładnie te same 21 punktów co w Gdańsku. Chcielibyśmy, żeby pan jeszcze rzucił okiem na tekst. Proszę do nas wracać. Czekamy.
- Z hali zajezdni dobiegły dźwięki fortepianu. Początek Etiudy Rewolucyjnej Chopina.
- Ten Aleksander daje radę- pomyślał Tadeusz.- Moja szkoła...
- Posłuchał jeszcze jak Kasia zaczęła śpiewać.

„...Powstanie trwa

Trwa tak codziennie

Choć dzisiaj nam

Nie grozi śmierć

Wolność tą samą ma cenę...

Nigdy nie poddaj się !

Gdy ból, gdy żal

Los się odmieni

Muzyka ta

Rozpala krew...

Jak ten z popiołów feniks

Znów odradzamy się...

Ta etiuda... To miał być finał musicalu. Wszyscy na scenie. Soliści. Aktorzy. Chór. Instrument z rozświetloną, biało-czerwoną klawiaturą. Rockmeni z gitarami. Symfoniczna orkiestra ukryta w kanale, ale czyniąca z etiudy koncert fortepianowy. Tadeusz stał przez chwilę zapatrzony w bramę. Odszedł powoli, krokiem człowieka schodzącego z posterunku.

92

Tego dnia nie wrócił na portiernię, gdzie wieczorem miał dyżur. Nie wrócił także do domu. Sąsiadka powiedziała Basi, że pytał, czy ze stacyjki Wrocław Zachodni, kilometr od Oporowa, odchodzi jeszcze jakiś pociąg do Jeleniej Góry. Był taki pociąg.

- Gdzie tato? - Zdenerwowana Barbara, pytała Kasię, którą Aleksander odprowadził przed północą.

- Był na strajku, chociaż go nie widzieliśmy, ale tam tyle ludzi. Strajkują nadal.

- Mam inne przeczucia. Sądzę, że wybrał się do Przesieki.

- Na noc? Zadzwoń do Alicji, może ona coś wie.

Nie wiedziała. W Przesiece nikt go nie widział. Telefon do schroniska, „Odrodzenie”, na przełęcz wreszcie ktoś odebrał.

- Faktycznie był. Wieczorem. W schronisku wszystkie miejsca były zajęte. Radziliśmy mu żeby spał w sali jadalnej, ale wyszedł.

Jeszcze w nocy mgła spowiła cały grzbiet Karkonoszy. Była gęsta jak mleko. Katarzyna zdecydowała się zadzwonić do Siemaszki, kierownika „Samotni”, którego знаła z rajdów.

- Nie tu go nie było. Wyślę patrol GOPR w stronę „Odrodzenia”.

Odrodzenie... Kasia miała natychmiast skojarzenie z symfonią Karłowicza i jego śmiercią w Tatrach. Po kilku godzinach Tadeusza szukało już wiele osób. Z Przesieki wyruszyła grupa z młodym goprowcem Czernskim i rzeźbiarzem Zaradką. Mgła opadała powoli. Do południa przeszukano grzbiet od Śląskich Kamieni do Wielkiego Szyszaka.

- A jeśli poszedł w stronę Śnieżnych Kotłów? To najgorsze co mógłby zrobić. Tam mgła jeszcze zalega... - stwierdził Czernski.

Gazik z Przesieki, z Kasią, Alkiem i Barbarą wjechał na przełęcz dopiero w południe.

- Na miłość boską. On nigdy nie wyjeżdżał tak bez opowiedzenia. Dlaczego? Co się stało? Zawsze był szalony, ale żeby tak nagle... - nie potrafiła już opanować płaczu Barbara.

- Pani Barbaro. Spokojnie. Szukamy nadal. Znajdziemy go żywego, albo...

- Boże!

Wojciech Rohatyn Popkiewicz

Przesieka, lato 2020

